ISAAC
ASIMOV

Wydawnictwo Poznańskie

FUNDACJA I IMPERIUM

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Pierwsza Fundacja, za panowania Salvora Hardina i Hobera Mallowa, utrzymała suwerenność, a następnie pokonała Republikę Korelską. Wyszła również obronną ręką z następnego kryzysu, wywołanego przez utalentowanego generała imperialnego Bela Riose'a i znienawidzonego lorda Brodriga. Jej jedyny wróg — kurczące się Imperium Galaktyczne — wydaje się coraz słabszy. Wszystko przebiega zgodnie z Planem Seldona. Jednak siedemdziesiąt lat później autorytarna władza Fundacji popada w konflikt z opozycją demokratyczną oraz niezależnymi handlarzami. Ci chcą pozyskać dla siebie Muła, mutanta o niesamowitych zdolnościach psychicznych i wybitnego stratega. Nadciąga najgorszy z dotychczasowych kryzysów — kryzys, którego nie przewidział nawet sam Hari Seldon.

- Isaac Asimov
  - Prolog
  - Część I Generał
    - W poszukiwaniu magów
    - Magowie
    - Martwa ręka
    - Imperator
    - Zaczyna się wojna
    - Faworyt
    - Przekupstwo
    - Ku Trantorowi
    - Na Trantorze
    - Kończy się wojna
  - Część II Muł
    - Nowożeńcy
    - Kapitan i Burmistrz
    - Porucznik i błazen
    - Mutant
    - Psycholog
    - Konfederacja
    - Wizjofon
    - Upadek Fundacji
    - Początek poszukiwań
    - Konspirator
    - Interludium w przestrzeni
    - Śmierć na Neotrantorze
    - Ruiny Trantora
    - Odmieniony

- Śmierć psychologa
- Koniec poszukiwań

Isaac Asimov
Fundacja i Imperium

Prolog

Imperium Galaktyczne chyliło się ku upadkowi.

Było to kolosalne Imperium, obejmujące miliony światów i ciągnące się od końca do końca podwójnej spirali tworzącej Drogę Mleczną. Jego upadek był równie kolosalny, a przy tym powolny, gdyż taki kolos musi przebyć długą drogę, nim upadnie.

Proces ten trwał już setki lat, kiedy wreszcie znalazł się człowiek, który zorientował się, co się dzieje. Człowiekiem tym był Hari Seldon. Jego praca naukowa była nikłą iskierką w ogarniających Imperium mrokach. Stworzył on i wzniósł na najwyższy poziom rozwoju naukę zwaną psychohistorią.

Psychohistoria nie zajmowała się jednostkami ludzkimi, lecz masami. Była nauką o zachowaniu tłumu, tłumu liczącego miliardy jednostek. Mogła przewidzieć jego reakcje na działające nań bodźce z taką mniej więcej dokładnością, z jaką nauka niższej rangi mogłaby obliczyć kąt uderzenia kuli bilardowej. Nie ma takiej matematyki, która byłaby w stanie przewidzieć zachowanie pojedynczego człowieka, ale zachowanie miliarda ludzi to sprawa nieco inna.

Hari Seldon skonstruował matematyczny obraz społecznych i gospodarczych tendencji epoki, przeanalizował krzywe, i na tej podstawie doszedł do wniosku, że cywilizację czeka stopniowy i w miarę upływu czasu coraz szybciej postępujący upadek. Stwierdził też, że musi upłynąć trzydzieści tysięcy lat, nim powstanie z ruin nowe, prężne Imperium.

Było już za późno, aby powstrzymać ten upadek, ale był jeszcze czas, aby skrócić okres barbarzyństwa. Seldon założył na przeciwległych krańcach Galaktyki dwie Fundacje, których położenie zostało w taki sposób dobrane, aby w czasie zaledwie jednego tysiąclecia rozgrywające się w Galaktyce wypadki tak się wzajemnie zazębiły i splotły, by cały ten łańcuch wydarzeń doprowadził ostatecznie do powstania silniejszego i bardziej trwałego niż poprzednie Imperium.

Fundacja opisuje losy jednej z dwu Fundacji Seldona w czasie pierwszych dwustu lat jej istnienia. Zaczynała ona jako kolonia naukowców założona na Terminusie, planecie znajdującej się na końcu jednego ze spiralnych ramion Galaktyki. Odgrodzeni od zgiełku Imperium, pracowali oni nad ułożeniem i wydaniem całościowego kompendium wiedzy, Encyklopedii Galaktycznej, nieświadomi znacznie ważniejszej roli, jaką przeznaczył im do odegrania nieżyjący już Seldon.

W miarę jak Imperium rozpadało się, jego pobrzeża przechodziły we władanie niezależnych „królów". Zagrażali oni Fundacji. Jednakże,

wygrywając umiejętnie ich wzajemne animozje, mieszkańcy Fundacji pod wodzą pierwszego burmistrza Terminusa, Salvora Hardina, zdołali utrzymać, niepewną co prawda, suwerenność. Udało im się nawet zdobyć przewagę, gdyż byli jedyną społecznością dysponującą energią atomową pośród światów, na których nauka szła w zapomnienie i wracano do węgla i ropy naftowej. Fundacja stała się ośrodkiem kultu „religijnego" dla sąsiadujących z nią światów królestw.

Powoli Encyklopedia schodziła w cień, a Fundacja rozwijała gospodarkę opartą na handlu. Handlarze z Fundacji zajmujący się sprzedażą urządzeń o napędzie atomowym, których z powodu ich niewielkich rozmiarów nie byłoby w stanie naśladować Imperium nawet będąc u szczytu rozwoju, zapuszczali się setki lat świetlnych w głąb Peryferii.

Pod rządami Hobera Mallowa, pierwszego z magnatów handlowych Fundacji, rozwinęła ona technikę wojny gospodarczej do tego stopnia, że zdołała pokonać Republikę Korelijską, mimo iż ta ostatnia otrzymała pomoc ze strony kresowych prowincji kurczącego się Imperium.

Pod koniec drugiego stulecia Fundacja była najpotężniejszym państwem w Galaktyce i ustępowała tylko szczątkom Imperium, które, mimo iż ograniczało się teraz do jednej trzeciej — środkowej części Drogi Mlecznej, nadal sprawowało kontrolę nad trzema czwartymi ludności Galaktyki i miało w ręku trzy czwarte jej bogactw naturalnych.

Wydawało się, że następnym niebezpieczeństwem, któremu Fundacja będzie musiała nieuchronnie stawić czoła, będzie zrywające się do ostatniego zrywu Imperium.

Musi zostać przetarta droga do wojny Fundacji z Imperium.

Część I Generał

W poszukiwaniu magów

»Bel Riose… Mimo stosunkowo krótkiej kariery Riose otrzymał przydomek „Ostatni z Wielkich”, i trzeba przyznać, że nań zasłużył. Analiza jego kampanii wojennych wykazuje, że umiejętnościami strategicznymi dorównywał Peurifoyowi, a umiejętnością obchodzenia się z ludźmi chyba go nawet przewyższał. To, że nie został równie wielkim zdobywcą jak Peurifoy, było prostą konsekwencją faktu, iż przyszło mu żyć w dniach schyłku Imperium. Pojawiła się jednak i przed nim pewna szansa, kiedy to, jako pierwszy z generałów Imperium, zetknął się twarzą w twarz z Fundacją…«

Encyklopedia Galaktyczna

Bel Riose podróżował bez eskorty, co było pogwałceniem przepisów obowiązujących dowódcę floty stacjonującej w ponurym systemie gwiezdnym na kresach Imperium Galaktycznego.

Bel Riose był jednak młody i energiczny — wystarczająco energiczny, aby w opinii podejrzliwego i wyrachowanego dworu zasłużyć sobie na wysłanie w najdalszy koniec wszechświata. Poza tym był z natury ciekawy. Dziwne, nieprawdopodobne opowieści powtarzane z ust do ust w pewnych kręgach, a w zarysach znane tysiącom obywateli Imperium, rozpalały tę ciekawość i wzbudzały nadzieję na przygodę wojenną, której domagały się młodość i energia. Skutek był taki, że Bel Riose przestał zważać na przepisy.

Wyszedł ze sfatygowanego, wypożyczonego wehikułu i stanął przed wejściem do chylącego się ku ruinie dworu, celu swej podróży. Fotokomórka uruchamiająca drzwi wyglądała na sprawną, ale kiedy się otworzyły, okazało się, że pchnęła je ludzka ręka.

Bel Riose uśmiechnął się do stojącego w nich starca.

— Jestem Riose…

— Poznaję pana — rzekł starzec, ale nie wykonał żadnego ruchu. Jego twarz nie wyrażała najmniejszego zdziwienia. — Pan w jakiej sprawie?

Riose pokornie cofnął się o krok. — Pokojowej. Jeśli pan jest

Ducemem Barrem, proszę o rozmowę.

Ducem Barr odsunął się na bok, robiąc przejście i ściany wewnątrz budynku rozjarzyły się. Generał wszedł do pokoju, w którym było jasno jak na dworze w biały dzień.

Dotknął ściany gabinetu i obejrzał koniuszki palców.

— Macie to na Siwennie?

Barr uśmiechnął się lekko. — Myślę, że nie znajdzie pan tego nigdzie więcej. Naprawiam to sam, tak jak mogę. Przepraszam, że musiał pan czekać. Automat sygnalizuje gościa, ale niestety nie otwiera już drzwi.

— Pana naprawy nie pomagają? — w głosie generała zabrzmiała nutka drwiny.

— Nie można już dostać części. Może zechce pan usiąść? Napije się pan herbaty?

— Na Siwennie? Ależ, szanowny panie, byłby to wielki nietakt, gdybym odmówił.

Stary patrycjusz wyszedł bezszelestnie, z lekkim ukłonem, który należał do ceremoniału pozostawionego w spadku przez arystokrację z lepszych czasów minionego stulecia.

Riose patrzył na oddalającą się postać, czując, że traci pewność co do poprawności swych wystudiowanych manier. Jego wykształcenie ograniczało się do spraw czysto wojskowych, doświadczenie również. Stawał, jak to się mówi, niejeden raz twarzą w twarz ze śmiercią, ale było to zawsze niebezpieczeństwo znane, konkretne. Nie ma więc nic dziwnego w fakcie, że ubóstwiany wódz Dwudziestej Floty poczuł się trochę nieswojo w stęchłej atmosferze starodawnego dworu.

Generał stwierdził, że małe czarne pudełka stojące rzędami na półkach to książki. Tytuły były mu nieznane. Domyślił się, że potężne urządzenie w rogu pokoju jest aparaturą służącą do przekazywania treści książek za pomocą dźwięku i obrazu. Nigdy nie widział takiego urządzenia, ale słyszał o nim.

Mówił mu ktoś kiedyś, że dawno temu, w owym złotym wieku, kiedy to Imperium obejmowało obszar całej Galaktyki, w dziewięciu domach na dziesięć były takie urządzenia i takie rzędy książek.

Teraz jednak trzeba było strzec granic, książki były zajęciem odpowiednim dla starców. A zresztą połowa z opowieści o dawnych czasach to bajki. Nawet więcej niż połowa.

Ducem Barr wniósł herbatę i Riose usiadł. Barr podniósł filiżankę.

— Na zdrowie.

— Dziękuję. Na zdrowie. Ducem Barr rzekł z namysłem:

— Powiadają, że jest pan młody. Ile pan ma lat? Trzydzieści pięć?

— Prawie. Trzydzieści cztery.

— W takim razie — rzekł Barr z lekkim naciskiem — muszę poinformować pana, że niestety nie mam ani lubczyku, ani napoju czy

też filtrów miłości. Nie jestem również w stanie zapewnić panu względów żadnej młodej damy.

— W tych sprawach nie potrzebuję żadnych sztucznych środków. — Duma, wyraźnie wyczuwalna w głosie generała sąsiadowała ze szczerym zdziwieniem. — Często styka się pan z takimi prośbami?

— Dość często. Ludzie mają niestety skłonność do mylenia nauki z magią, a życie miłosne wydaje się być tą sferą, która szczególnie wymaga stosowania sztuczek magicznych.

— To chyba zupełnie naturalne. Ale ja myślę inaczej. Traktuję naukę jako środek na rozwiązywanie trudnych zagadnień i nic więcej.

Siweńczyk stwierdził ponuro:

— Może jest pan w błędzie, tak jak tamci.

— To się okaże.

Generał wstawił swą filiżankę w świecący koszyczek, w którym napełniła się ponownie. Przyjął od Barra pastylkę z aromatem i wrzucił ją do filiżanki. Wpadła z lekkim pluskiem.

— Niech mi pan powie, patrycjuszu — rzekł — kim są magowie? Ci prawdziwi.

Barr wydawał się zaskoczony dawno nie używanym tytułem. — Nie ma żadnych magów — powiedział.

— Ale ludzie o nich mówią. Siwenna pełna jest takich opowieści. Darzy się ich kultem. Jest pewien związek między tym zjawiskiem i tymi spośród pana rodaków, którzy marzą o dawnych czasach i plotą bzdury o czymś, co nazywają wolnością i autonomią. Mogłoby się w końcu okazać, że jest to niebezpieczne dla Państwa.

Starzec potrząsnął głową.

— Dlaczego mnie pan o to pyta? Obawia się pan powstania pod moim przywództwem?

Riose wzruszył ramionami.

— Skądże! Nic podobnego. Chociaż nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdybym tak pomyślał. Pana ojciec był banitą, pan, swego czasu, patriotą, a nawet szowinistą. Jestem tu gościem, więc niegrzecznie z mojej strony jest wspominać o tym, ale wymagają tego sprawy, w których tu przybyłem. Wątpię jednak, by istniał tu w tej chwili jakiś spisek. Trzy pokolenia temu wybito Siweńczykom z głowy takie myśli.

Starzec odparł z trudem:

— Będę równie niedelikatnym gospodarzem, jak pan gościem. Chciałbym przypomnieć panu, że kiedyś pewien wicekról myślał dokładnie tak jak pan i uważał, że Siweńczycy pogodzili się ze swym losem. To właśnie z polecenia tego wicekróla mój ojciec stał się nędznym wygnańcem, moi bracia męczennikami, a moja siostra samobójczynią. Ale ów wicekról poniósł straszną śmierć z rąk tych samych pogardzanych Siweńczyków.

— Owszem. Ale ja też mógłbym o tym coś powiedzieć. Trzy lata temu tajemnicza śmierć wicekróla przestała być dla mnie — zagadką. Do jego osobistej ochrony należał pewien młody żołnierz, którego poczynania były dość interesujące. Tym żołnierzem był pan, ale myślę, że możemy sobie darować szczegóły.

Barr odrzekł spokojnie:

— Owszem. Co pan proponuje?

— Żeby odpowiedział pan na moje — pytania.

— Groźby na nic się nie zdadzą. Jestem co prawda stary, ale nie aż tak bardzo, żebym przesadnie dbał o życie.

— Drogi panie, żyjemy w ciężkich czasach — rzekł znacząco Riose — a pan ma dzieci i przyjaciół. Ma pan kraj, o którym wyrażał się pan w przeszłości z miłością i niezbyt rozsądnie. Otóż, jeśli zdecyduję się użyć siły, to na pewno nie uderzę bezpośrednio w pana.

Barr spytał chłodno:

— Czego pan chce?

Riose uniósł do góry pustą filiżankę.

— Proszę posłuchać, patrycjuszu. Żyjemy w czasach, kiedy za żołnierzy, którym się powiodło, uważa się tych, których zadaniem jest przewodzenie paradom urządzanym w czasie świąt na terenie pałacu Imperatora i eskortowanie luksusowych statków wycieczkowych wiozących Jego Wysokość na letnie planety. Ja… ja jestem przegrany. Jestem przegrany w wieku trzydziestu czterech lat i takim już pozostanę. A jest tak dlatego, że chciałbym walczyć.

Właśnie dlatego wysłano mnie tutaj. Na dworze sprawiam za dużo kłopotów. Nie stosuję się do etykiety, obrażam fircyków i lordów admirałów, ale jestem zbyt dobrym dowódcą, żeby zesłać mnie na jakąś bezludną planetę gdzieś w otchłani kosmosu. No więc zdecydowano się na Siwennę. To świat pogranicza, niespokojna i słabo zaludniona prowincja. Daleko stąd do stolicy Imperium, wystarczająco daleko aby dwór mógł spać spokojnie.

Zgnuśnieję tutaj. Nie ma powstań, które trzeba by zdusić, a wicekrólowie pogranicza ostatnio nie zdradzają ochoty do buntu, przynajmniej od czasu jak nieodżałowanej pamięci nieboszczyk ojciec Jego Wysokości Imperatora dał wszystkim odstraszający przykład rozprawiając się z Mountelem Paramay.

— Silny Imperator — mruknął Barr.

— Tak, oby tacy rodzili się częściej. On jest moim panem, radzę o tym pamiętać. Strzegę tu jego interesów.

Barr wzruszył ramionami:

— Jaki to ma związek z przedmiotem naszej rozmowy?

— Wyjaśnię to w kilku słowach. Magowie, o których mówiłem, pochodzą z zewnątrz — z przestrzeni leżącej za strażnicami granicznymi, gdzie gwiazdy z rzadka są rozsiane…

— Gdzie gwiazdy z rzadka są rozsiane — wyrecytował Barr — i gdzie przestrzeni chłód przenika.

To poezja? — zmarszczył brwi Riose. W tej chwili wiersz wydawał mu się zupełnie nie na miejscu. — W każdym razie oni są z Peryferii, z jedynego sektora przestrzeni, w którym wolno mi walczyć ku chwale Imperatora.

— Służąc w ten sposób interesom Jego Wysokości Imperatora i zaspokajając wewnętrzną potrzebę walki.

— Właśnie. Ale muszę wiedzieć, z czym walczę, i właśnie w tym pan może mi pomóc.

— Skąd pan to wie?

Riose nadgryzł trzymane w ręku ciasteczko.

— Stąd, że od trzech lat zbieram wszystkie plotki, wszystkie legendy, a nawet luźne uwagi dotyczące magów i że wszyscy zgadzają się tylko co do dwu nie związanych z sobą faktów, co dowodzi, że muszą one być prawdziwe. Po pierwsze, magowie pochodzą ze skraju Galaktyki naprzeciw Siwenny, po drugie — pana ojciec spotkał kiedyś żywego, autentycznego maga i rozmawiał z nim.

Wiekowy Siweńczyk patrzył bez mrugnięcia okiem, a Riose mówił dalej:

— Lepiej będzie, jeśli powie mi pan, co pan wie… Barr rzekł z namysłem:

— Byłoby interesujące powiedzieć panu o kilku rzeczach. Byłby to mój prywatny eksperyment psychohistoryczny.

— Jaki?

— Psychohistoryczny — starzec uśmiechnął się cierpko, a potem rzekł szorstko: — Lepiej niech pan sobie naleje herbaty. Mam zamiar wygłosić krótką mowę.

Oparł się o miękkie poduszki fotela. Ściany jarzyły się różowo-białym światłem, w którego łagodnym blasku nawet ostry profil żołnierza nabrał pewnej miękkości.

Po chwili Ducem Barr zaczął swą opowieść.

— To, co wiem, jest wynikiem dwóch przypadkowych zdarzeń, a mianowicie tego, że jestem synem mego ojca i że urodziłem się w tym kraju. Zaczęło się to przeszło czterdzieści lat temu, tuż po Wielkiej Masakrze, kiedy to mój ojciec musiał szukać schronienia w lasach południa, a ja sam zostałem artylerzystą w osobistej flocie wicekróla. Nawiasem mówiąc, był to ten sam wicekról, który odpowiedzialny był za Masakrę, i który potem zmarł tak okropną śmiercią.

Barr uśmiechnął się ponuro i ciągnął dalej:

— Mój ojciec był patrycjuszem Imperium i senatorem Siwenny. Nazywał się Onum Barr.

Riose przerwał ze zniecierpliwieniem:

— Bardzo dobrze znam okoliczności jego wygnania. Nie musi pan

się nad tym rozwodzić.

Siweńczyk puścił tę uwagę mimo uszu i mówił dalej tym samym tonem:

— Kiedy był na wygnaniu, zjawił się u niego wędrowiec — kupiec ze skraju Galaktyki, młodzieniec, który mówił z obcym akcentem, zupełnie nie znał najnowszej historii Imperium i dysponował osobistym ekranem ochronnym.

— Osobistym ekranem ochronnym? — Riose wybałuszył oczy na Barra. — Bzdury pan opowiada. Jaki generator posiada taką moc, żeby skondensować pole siłowe do rozmiarów jednego człowieka? Na Wielką Galaktykę! Czyżby ten kupiec ciągnął za sobą na wózku źródło energii jądrowej o wadze pięciu tysięcy myriaton?

— To jest właśnie ten mag, o którym zbiera pan legendy i pogłoski — odparł spokojnie Barr. — Niełatwo jest zdobyć miano maga. Jego generator był tak mały, że nie było go widać, a mimo to najcięższa broń, jaką zdołałby pan unieść, nie naruszyłaby nawet jego ekranu.

— I to wszystko? Czyżby magowie byli tylko wytworem chorej wyobraźni starca złamanego wygnaniem i cierpieniami?

— Opowiadania o magach sięgają czasów znacznie wcześniejszych niż te, w których żył mój ojciec. I są konkretne dowody na ich istnienie. Wyszedłszy od mego ojca, ten kupiec, którego ludzie nazywają magiem, odwiedził techmana w mieście, do którego drogę wskazał mu mój ojciec i tam zostawił generator pola takiego samego typu, jak ten, którego sam używał. Mój ojciec odnalazł ten generator wróciwszy z zesłania po egzekucji krwawego wicekróla. Poszukiwania trwały długo…

Ten generator wisi za panem na ścianie. Nie działa. Działał tylko przez pierwsze dwa dni. Wystarczy spojrzeć na niego, by dojść do przekonania, że nie został zaprojektowany przez nikogo z Imperium.

Bel Riose sięgnął po pas z metalowych ogniw, który przylegał do wypukłej ściany. Połę przylegania ustąpiło pod naciskiem jego palców i pas oderwał się od ściany wydając odgłos podobny do mlaśnięcia. Uwagę Riose'a zwróciła elipsoida na końcu pasa. Była rozmiarów orzecha.

— To… — powiedział

— …był generator — skinął głową Barr. — Był. Zasada jego działania pozostanie już na zawsze tajemnicą. Badania subelektroniczne wykazały, że przekształcił się w jednolitą bryłkę metalu i nawet najbardziej szczegółowa analiza wzorów dyfrakcji nie pozwala wyodrębnić poszczególnych części istniejących tam przed jego stopieniem.

— A zatem pana „dowód” to w rzeczywistości nic prócz czczych słów nie popartych niczym konkretnym.

Barr wzruszył ramionami.

— Domagał się pan, żebym powiedział, co wiem. Groził pan, że wydrze tę wiedzę siłą. Jeśli woli się pan zapatrywać na to sceptycznie, to co mnie to obchodzi? Chce pan, żebym przestał?

Niech pan mówi dalej! — powiedział szorstko generał.

— Po śmierci ojca kontynuowałem jego badania. Wtedy właśnie pomógł mi drugi ze wspomnianych przypadków, jako że Siwenna była dobrze znana Hari Seldonowi.

— A kto to jest ten Hari Seldon?

— Hari Seldon był uczonym za panowania imperatora Dalubena IV. Był psychohistorykiem, ostatnim i największym z psychohistoryków. Odwiedził kiedyś Siwennę, która była wówczas wielkim ośrodkiem handlowym i miejscem, gdzie kwitła nauka.

— Ach — mruknął kwaśno Riose — czy jest jakaś planeta, która nie chwaliłaby się, że w dawnych czasach była krajem o niezmierzonych bogactwach?

— Mówię o czasach sprzed dwustu lat, kiedy to władza imperatora sięgała jeszcze do najodleglejszych gwiazd i Siwenna była światem w centrum Imperium, a nie półdziką prowincją kresową. Otóż Hari Seldon przewidział zmierzch potęgi Imperium i ostateczne pogrążenie się całej Galaktyki w mrokach barbarzyństwa.

Riose roześmiał się nagle.

— Tak? A zatem pomylił się, mój uczony panie. Myślę, że pan sam zdaje sobie z tego sprawę. Od tysiąca lat Imperium nie było tak potężne jak teraz. Chłód i smutek pogranicza przytępia pana wzrok. Powinien pan zobaczyć centralne regiony Imperium, poznać ich bogactwo i przytulne ciepło.

Starzec ponuro potrząsnął głową.

— Najpierw zaczynają obumierać obrzeża. Trzeba trochę czasu, nim rozkład sięgnie serca układu. To znaczy, ten wyraźny, widoczny dla wszystkich rozkład, a nie rozkład wewnętrzny, który zaczął się już dobre piętnaście wieków temu.

— A więc ten Hari Seldon przewidział powrót całej Galaktyki do stanu barbarzyństwa — stwierdził z rozbawieniem Riose. — A co potem, hę?

— Dlatego założył dwie fundacje na przeciwnych krańcach Galaktyki, fundacje, które zgromadziły najlepszych, najmłodszych i najsilniejszych, by mogli tam żyć i rozwijać się. Światy, na których zostały założone, zostały starannie wybrane, podobnie jak czas ich założenia i ich otoczenie. Wszystko zostało zaaranżowane w taki sposób, żeby zgodnie z tym, co przewidziała psychohistoria na podstawie całkowicie pewnych obliczeń matematycznych, fundacje straciły dostatecznie szybko całkowity kontakt z ośrodkami cywilizacji Imperium i stopniowo zaczęły się przekształcać w zalążki Drugiego

Imperium Galaktycznego, skracając nieuchronny okres barbarzyństwa z trzydziestu tysięcy do zaledwie jednego tysiąca lat.

— A gdzie pan znalazł to wszystko? Wydaje się pan znać to w szczegółach.

— Jest pan w błędzie — powiedział spokojnie patrycjusz. — Nigdy nie znałem szczegółów. To, o czym panu powiedziałem, jest wynikiem mozolnej pracy polegającej na układaniu pewnych wiadomości, które zdobył jeszcze mój ojciec i dowodów, które ja sam znalazłem, w jedną całość. Podstawa jest krucha, a jej nadbudowę stworzyłem tylko po to, by czymś zapełnić ogromne luki w materiale. Ale jestem przekonany, że w ogólnych zarysach odpowiada prawdzie.

— Łatwo się pan przekonuje.

— Czyżby? Poświęciłem na to czterdzieści lat.

— Hm. Czterdzieści lat! Ja rozwiązałbym ten problem w ciągu czterdziestu dni. Prawdę mówiąc, myślę, że powinienem to zrobić. Ale inaczej niż pan.

— Jak?

— W prosty sposób. Zostałbym podróżnikiem. Mógłbym znaleźć tę Fundację, o której pan mówi i zobaczyć wszystko na własne oczy. Powiada pan, że są dwie?

— Zapiski mówią o dwóch. Znalazłem dowody na istnienie tylko jednej, co jest zupełnie zrozumiałe, jeśli się zważy, że druga znajduje się na przeciwnym końcu dłuższej osi Galaktyki.

— No cóż, wobec tego odwiedzimy tę — bliższą — rzekł Generał podnosząc się i poprawiając pas.

— Wie pan, w którą stronę trzeba się udać? — spytał Barr.

— Z grubsza. W zapiskach przedostatniego wicekróla, tego, którego pan zamordował tak skutecznie, znajdują się podejrzane opowieści o barbarzyńcach z zewnątrz. Prawdę powiedziawszy, jedną z jego córek poślubił jakiś barbarzyński książę. Znajdę drogę.

Wyciągnął rękę:

— Dziękuję za gościnę.

Ducem Barr dotknął jego dłoni koniuszkami palców i skłonił się ceremonialnie.

— Pan wizyta była dla mnie zaszczytem.

— A jeśli chodzi o informacje, których mi pan udzielił — rzekł Bel Riose — będę wiedział jak panu podziękować, kiedy wrócę.

Ducem Barr pokornie odprowadził gościa do drzwi dworu i szepnął patrząc na znikający w dali pojazd:

— Jeśli wrócisz.

Magowie

»Fundacja… Po czterdziestu latach ekspansji Fundacja stanęła w obliczu niebezpieczeństwa grożącego jej ze strony Riose'a. Czasy Hardina i Mallowa odeszły w przeszłość, wraz z nimi odwaga i zdecydowanie…«

Encyklopedia Galaktyczna

W pokoju było czterech mężczyzn, a pokój znajdował się w miejscu, do którego nikt nie miał dostępu. Czterej mężczyźni obrzucili się krótkimi spojrzeniami, a potem wbili wzrok w stół, który ich rozdzielał. Na stole stały cztery butelki i tyleż napełnionych szklanek, ale nikt nie wyciągnął po nie ręki.

W końcu mężczyzna siedzący tuż przy drzwiach położył dłoń na stole i zaczął wystukiwać palcami jakiś rytm.

— Długo macie zamiar tak siedzieć i martwić się? — spytał. — Czy to ważne, kto zacznie?

— No to zacznij ty — powiedział potężny mężczyzna siedzący naprzeciw niego. — Ty masz najwięcej powodów, żeby się martwić.

Sennett Forell zachichotał bezgłośnie.

— Bo myślicie, że jestem najbogatszy. A może uważacie, że skoro zacząłem tę historię, to powinienem ciągnąć ją dalej. Nie przypuszczam, żebyście zapomnieli o tym, że to moja flota handlowa przechwyciła ten ich statek zwiadowczy.

— Ty masz największą flotę — rzekł trzeci — i najlepszych pilotów, co znaczy, że jesteś najbogatszy. To było diabelne ryzyko, ale byłoby jeszcze większe dla któregoś z nas.

Sennett Forell znowu zachichotał.

— Skłonność do podejmowania ryzyka odziedziczyłem po ojcu. W końcu ważne jest tylko to, czy opłaciło się ryzykować. A jeśli o to chodzi, to faktem jest, że nieprzyjacielski statek został odseparowany od reszty i przechwycony, zanim zdążył ostrzec inne, i że nie odnieśliśmy przy tym żadnych strat.

O tym, że Forell jest dalekim krewnym wielkiego Hobera Mallowa mówiło się otwarcie w całej Fundacji. O tym, że jest jego nieślubnym synem mówiło się równie szeroko, lecz po cichu.

Czwarty zmrużył swe małe oczka i spojrzał z ukosa. Wycedził wolno:

— Nie ma się co tak puszyć z powodu złapania jednego stateczku.

Najprawdopodobniej to tylko jeszcze bardziej rozwścieczy tego młodego człowieka.

— Myślisz, że szuka pretekstu do zwady? — zapytał szyderczo Forell.

— Myślę, że tak, a to mogłoby mu oszczędzić i może oszczędzi zachodu. Hober Mallow działał inaczej — mówił wolno czwarty. — I Salvor Hardin. Oni działanie siłą, które nigdy nie wiadomo czym się skończy, zostawiali innym, a sami po cichu, lecz skutecznie, snuli misterne intrygi.

Forell wzruszył ramionami.

— Ten statek wart był zachodu. Pretekst można zawsze znaleźć bez trudu, a z tego przynajmniej my też mamy jakiś zysk. — Powiedział to z zadowoleniem urodzonego handlarza. — Ten młody człowiek jest ze starego Imperium.

— Wiedzieliśmy o tym — rzekł drugi, z wyraźnym zniecierpliwieniem.

— Podejrzewaliśmy to — poprawił go łagodnie Forell. — Jeśli ktoś przybywa ze statkami i bogactwami, z zapewnieniami o przyjaźni i z ofertami, handlowymi, to trzeba starać się jak można, żeby go nie zrazić, dopóki się nie okaże, że przyjazna twarz to tylko maska. Ale teraz…

— Mogliśmy działać ostrożniej — wtrącił trzeci, W jego głosie zabrzmiała jakby z lekka płaczliwa nuta. — Mogliśmy najpierw go przejrzeć. Mogliśmy go rozszyfrować, zanim pozwoliliśmy mu odlecieć. To byłoby najmądrzejsze.

— Ta sprawa była dyskutowana i została odrzucona — powiedział Forell, podkreślając to wymownym ruchem ręki.

— Rząd jest miękki — biadolił dalej trzeci. — Burmistrz to idiota.

Czwarty popatrzył po kolei na pozostałych i wyjął z ust niedopałek cygara. Niedbałym ruchem wrzucił go do otworu po swej prawej ręce, gdzie bezgłośnie rozpadł się, zniknął w błysku anihilacji.

Powiedział sarkastycznie:

— Myślę, że gentleman, który mówił ostatni, powiedział tak tylko z przyzwyczajenia. Tutaj możemy mówić otwarcie — rząd to my.

Odpowiedział mu cichy pomruk zgody.

Czwarty skierował spojrzenie swoich małych oczek na stół. — Wobec tego zostawmy politykę rządu. Ten młody człowiek… ten przybysz mógł być potencjalnym klientem. Zdarzały się już takie przypadki. Wszyscy trzej próbowaliście namówić go do zawarcia wstępnej umowy. Zawarliśmy ciche porozumienie, że nikt z nas nie będzie tego robił, a mimo to próbowaliście.

— Ty też — warknął drugi.

— Wiem o tym — powiedział spokojnie czwarty.

— Więc zapomnijmy o tym, co powinniśmy byli zrobić wcześniej

— przerwał Forell z wyraźnym zniecierpliwieniem — i zastanówmy się, co powinniśmy zrobić teraz. Mogliśmy go uwięzić albo nawet zabić, ale co potem? Nawet teraz nie znamy jego, zamiarów, a w najgorszym razie i tak nie zdołalibyśmy zniszczyć Imperium pozbawiając życia jednego człowieka. Może niezliczona liczba flot czeka tylko na to, żeby nie powrócił.

— Właśnie — przytaknął czwarty. — Może się wreszcie dowiemy, co ci się udało wyciągnąć od ludzi z tego przechwyconego statku. Jestem za stary na takie gadanie.

— To się da ująć w paru słowach — powiedział ponuro Forell. — To generał Imperium czy ktoś w tym rodzaju. Młody człowiek, który wykazał się geniuszem wojskowym, tak mi przynajmniej mówiono, i jest bożyszczem swoich ludzi. Zupełnie romantyczna kariera. To, co o nim opowiadają, jest bez wątpienia w połowie zmyślone, ale nawet jeśli to odrzucić, i tak mamy do czynienia z niezwykłym człowiekiem.

— Kto to opowiada? — spytał drugi.

— Załoga przechwyconego statku. Wszystkie ich wypowiedzi mam zarejestrowane na mikrofilmie, który trzymam w bezpiecznym miejscu. Później, jeżeli chcecie, możecie go obejrzeć. Jeśli uważacie, że to konieczne, możecie sami z nimi porozmawiać. Podałem tylko najważniejsze szczegóły.

— Jak to od nich wydobyłeś? Skąd wiesz, że mówią prawdę?

Forell zmarszczył brwi:

— Nie cackałem się z nimi, mój panie. Dawałem im w kość, faszerowałem narkotykami tak, że prawie odchodzili od zmysłów, i bezlitośnie aplikowałem sondę.

— W dawnych czasach — powiedział trzeci, zmieniając nagle temat — zastosowano by czystą psychologię. Metoda bezbolesna, rozumiecie, ale bardzo pewna. Nie ma mowy o oszustwie.

— Można by dużo mówić o tym, co było w dawnych czasach — rzekł Forell sucho. — Teraz mamy nowe czasy.

— Ale czego chciał tutaj ten generał, ten romantyczny bohater? — spytał czwarty. Z jego pytań przebijał nieznośny, męczący upór.

Forell spojrzał na niego ostro.

— Myślisz, że opowiada swojej załodze o sekretach polityki państwa? Nic nie wiedzą. W tym względzie nie można było z nich absolutnie nic wydobyć, a Galaktyka świadkiem, że starałem się.

— Pozostaje nam wobec tego…

— Wyciągnąć wnioski. To oczywiste — Forell znowu zaczai bębnić palcami po stole. — Ten młody, człowiek jest jednym z dowódców wojskowych Imperium, ale udawał książątko z gwiazd zagubionych w jakimś zabitym deskami kącie Peryferii. Już samo to Wystarczy, żeby go zacząć podejrzewać o złe zamiary. Jeśli przy tym wziąć pod uwagę charakter jego profesji oraz to, że Imperium raz już,

za życia mego ojca, finansowało napaść na Fundację, to nasza przyszłość rysuje się niewesoło. Pierwszy atak nie powiódł się. Wątpię, żeby Imperium darzyło nas miłością.

— Nie znalazłeś nic — spytał ostrożnie czwarty — co dawałoby nam większą pewność? Niczego nie ukrywasz?

— Niczego nie mogę ukryć — odparł Forell, nie dając wytrącić się z równowagi. — Poczynając od tej chwili, partykularne interesy i konkurencja handlowa przestają się liczyć. Musimy działać wspólnie.

— Patriotyzm? — w głosie trzeciego brzmiała wyraźna drwina.

— Do diabła z patriotyzmem — rzekł spokojnie Forell. — Za przyszłe Drugie Imperium nie dałbym nawet krzty emanacji jądrowej. Myślisz, że zaryzykowałbym choćby jedną misję handlową, żeby utorować mu drogę? Ale chyba nie przypuszczasz, że podbój Fundacji przez Imperium pomoże mnie albo tobie w interesach? Jeśli Imperium zwycięży, to pojawi się tu zaraz zgraja sępów czyhających tylko na to, żeby wyrwać sobie dobry kąsek z trupa i podzielić się łupem.

— A tym łupem jesteśmy my — dodał sucho czwarty.

Drugi, który od pewnego czasu nie odzywał się, uniósł nagle z krzesła swe potężne ciało i rzekł gniewnie:

— Po co to całe gadanie? Imperium nie może zwyciężyć, prawda? Mamy gwarancję Seldona, że w końcu stworzymy Drugie Imperium. To tylko jeszcze jeden kryzys. Do tej pory zdarzyły się już trzy.

— Tylko jeszcze jeden kryzys! — powtórzył Forell. — Tak, ale w czasie dwóch pierwszych mieliśmy Salvora Hardina, podczas drugiego był tu Hober Mallow. A kogo mamy teraz?

Popatrzył ponuro na pozostałych i mówił dalej:

— Seldonowskie reguły psychohistorii, na których jest nam tak wygodnie polegać, zakładają prawdopodobnie jako jedną z ważnych zmiennych pewną normalną inicjatywę w podejmowaniu działań ze strony ludzi Fundacji. Prawa Seldona strzegą tych, którzy sami siebie strzegą.

— Okazja czyni bohatera — rzekł trzeci. — To też przysłowie.

— Nie można na to liczyć — mruknął Forell. — W każdym razie, nie jest to takie pewne. Według mnie, sprawa wygląda tak. Jeśli to jest czwarty kryzys, to Seldon go przewidział. A jeśli go przewidział, to można go przezwyciężyć i powinien być na to jakiś sposób.

Imperium jest teraz silniejsze niż my. Zresztą zawsze takie było. Ale teraz po raz pierwszy jesteśmy narażeni na bezpośredni atak z ich strony, tak że dopiero teraz ich siła naprawdę nam zagraża. A więc, jeśli można ich pokonać, to — jak w przypadku poprzednich kryzysów — nie można tego zrobić tylko siłą. Musi być jakiś inny sposób. Musimy znaleźć ich słaby punkt i tam uderzyć.

— A co jest tym słabym punktem? — spytał czwarty. — Masz jakiś pomysł?

— Nie. Właśnie do tego zmierzam. Nasi dawni przywódcy zawsze dostrzegali słabe strony wroga i mierzyli w nie. Ale teraz…

Urwał bezradnie. Przez chwilę nikt nie odzywał się.

W końcu czwarty przerwał milczenie:

— Potrzebujemy szpiegów. Forell podchwycił to skwapliwie:

— Tak jest! Nie wiem, kiedy Imperium zaatakuje. Może mamy jeszcze czas.

— Hober Mallow sam udał się do Imperium — poddał myśl drugi.

Forell pokręcił przecząco głową.

— To wykluczone. Żaden z nas nie jest już młody. Wyszliśmy z wprawy zajmując się biurową robotą i zarządzaniem. Potrzeba nam młodych ludzi, którzy orientują się w terenie…

— Niezależni handlarze? — spytał czwarty. Forell potakująco kiwnął głową i wyszeptał:

— Jeśli jeszcze mamy czas…

Martwa ręka

Bel Riose przestał nerwowo chodzić z kąta w kąt i spojrzał na wchodzącego adiutanta. — Wiadomo już coś o „Gwiazdce”?

— Nie. Grupa zwiadowcza przeczesała przestrzeń, ale aparatura nic nie wykryła. Komandor Yume melduje, że flota jest gotowa do natychmiastowego uderzenia odwetowego.

Generał potrząsnął głową.

— Nie, nie z powodu statku patrolowego. Jeszcze nie teraz. Przekaż mu, żeby podwoił… Zaczekaj! Napiszę rozkaz. Zaszyfrować i przesłać zwartą wiązką!

Mówiąc to, pisał. Potem rzucił kartkę czekającemu oficerowi.

— Jest już Siweńczyk? — Jeszcze nie.

— Chcę go widzieć tutaj, jak tylko przybędzie. Adiutant zasalutował i wyszedł. Riose znów zaczął krążyć po pokoju jak zwierz w klatce.

Kiedy drzwi otworzyły się ponownie, stanął w nich Ducem Barr. Wszedł wolnym krokiem za prowadzącym go adiutantem do jasno oświetlonego pokoju, na którego suficie znajdował się ozdobny, trójwymiarowy model Galaktyki. W rogu pokoju stał Bel Riose w mundurze polowym.

— Witaj, patrycjuszu! — Generał wysunął nogą krzesło ku niemu i odprawił adiutanta ruchem ręki, dodając: — Drzwi mają być zamknięte, dopóki sam ich nie otworzę.

Stanął przed Siweńczykiem na rozkraczonych nogach, z rękoma założonymi do tyłu i zaczai się wolno, w zamyśleniu, kołysać na piętach w przód i w tył. W końcu spytał szorstko:

— Patrycjuszu, czy jest pan wiernym poddanym imperatora?

Barr, który dotąd zachowywał obojętne milczenie, zmarszczył brwi i odparł:

— Nie mam najmniejszego powodu, żeby darzyć imperatora miłością.

— Z tego nie wynika jeszcze, że mógłby pan zostać zdrajcą.

— Istotnie. Ale z tego, że nie jestem zdrajcą, nie wynika jeszcze, że zgodziłbym się zostać sprzymierzeńcem.

— Zasadniczo tak. Ale jeśli odmówi mi pan swojej pomocy w tym punkcie — rzekł Riose niespiesznie — zostanie to uznane za zdradę i tak też potraktowane.

Barr ściągnął brwi.

— Proszę zostawić swoje pogróżki dla podwładnych. Mnie wystarczy, jeśli pan po prostu powie, czego pan chce ode mnie.

Riose usiadł i założył nogę na nogę.

— Rozmawialiśmy już pół roku temu, panie Barr.

— O tych pańskich magach?

— Tak. Pamięta pan, co zamierzałem zrobić? Bar skinął głową. Jego ręce spoczywały bezwładnie na brzuchu.

— Zamierzał pan poszukać ich w ich własnej siedzibie. Nie było pana przez ostatnie cztery miesiące. Znalazł ich pan?

— Czy ich znalazłem? Tak! — krzyknął Riose i zacisnął usta.

Wydawało się, że z trudem panuje nad tym, aby nie zacząć zgrzytać zębami. — Patrycjuszu, to nie magowie, to diabły! To nieprawdopodobne. Niech pan pomyśli! Świat rozmiarów chusteczki do nosa, nawet nie — rozmiarów paznokcia, o zasobach naturalnych tak małych, sile tak mikroskopijnej i ludności tak nielicznej, że nie wystarczyłoby to nawet najbardziej zacofanym prefekturom Czarnych Gwiazd, a jednak tak dumny i pyszny, że ośmiela się myśleć, i to wcale nie kryjąc tego, o panowaniu nad Galaktyką!

Ba, są tak pewni siebie, że nawet się nie spieszą z wykonaniem swoich zamiarów. Wszystko robią wolno, flegmatycznie, mówią, że potrzeba na to stuleci. Pochłaniają światy bez pośpiechu, pełznąc przez systemy gwiezdne z błogim i leniwym zadowoleniem z siebie.

I udaje się im. Nie ma nikogo, kto by ich powstrzymał. Stworzyli ohydną społeczność handlarzy, która obejmuje swoimi mackami systemy położone dalej, niż ośmielają się sięgać ich dziecinne stateczki. Ich handlarze, jak sami określają się ich agenci, penetrują całe parseki przestrzeni.

Ducem Barr przerwał potok gniewnych słów:

— Ile z tych informacji jest sprawdzonych, a ile wynika z wściekłości?

Generał zaczerpnął głęboko powietrza i uspokoił się trochę.

— Wściekłość mnie nie zaślepia. Powiem panu, że odwiedziłem światy leżące bliżej Siwenny niż Fundacji, gdzie Imperium jest odległym mitem, a handlarze namacalną prawdą. Nas samych brano za handlarzy.

— To sama Fundacja oświadczyła panu, że zmierza do panowania nad Galaktyką?

— Oświadczyła! — Riose znowu wybuchnął. — To nie była sprawa oświadczenia. Osoby oficjalne nic nie mówiły. Rozmawiali wyłącznie o interesach. Ale rozmawiałem ze zwykłymi ludźmi. Poznałem wyobrażenia prostego ludu o jego oczywistym przeznaczeniu i niewzruszoną wiarę w czekającą go wielką przyszłość. To jest rzecz, której nie można ukryć, ten powszechny optymizm. Zresztą nie starają się nawet tego ukrywać.

Siweńczyk rzekł z cichą satysfakcją:

— Raczy pan zauważyć, że jak dotąd wszystko zdaje się dokładnie zgadzać z obrazem wypadków zrekonstruowanym przeze mnie w oparciu o te mizerne dane, które udało mi się zebrać.

— Przynosi to niewątpliwie zaszczyt pańskiej zdolności myślenia analitycznego — odparł Riose z sarkazmem. — Jest to także, z ich strony, szczera, choć pyszałkowata ocena niebezpieczeństwa grożącego posiadłościom Jego Wysokości Imperatora.

Barr wzruszył ramionami, okazując brak zainteresowania i Riose pochylił się nagle, chwycił go za ramiona i spojrzał mu w oczy.

— No, patrycjuszu, dość tego! Nie chcę być barbarzyńcą. Jeśli o mnie chodzi, to wrogi stosunek Siweńczyków do Imperium jest mi nienawistnym ciężarem i zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, żeby wymazać złe wspomnienia. Niestety, polem mojego działania jest armia i nie mogę się mieszać do spraw cywilnych. Spowodowałoby to moje odwołanie i od razu przekreśliło całą moją użyteczność. Rozumie pan? Wiem, że tak. A więc, jeśli o nas dwóch chodzi, uznajmy, że zemścił się pan już za okrucieństwa sprzed czterdziestu lat na ich sprawcy, i zapomnijmy o tym. Potrzebuję pańskiej pomocy. Otwarcie to przyznaję.

W głosie generała brzmiała szczera prośba, ale Ducem Barr pokręcił przecząco głową. Gest był łagodny, lecz stanowczy.

Riose nie ustępował. Powiedział błagalnie:

— Nie rozumie mnie pan, patrycjuszu, i wątpię, czy potrafię pana przekonać. Nie podejmuję się dyskusji z panem. To pan jest uczonym, nie ja. Ale jedno powiem. Bez względu na to, co pan myśli o Imperium, nie może pan nie uznać jego zasług. Jego siły zbrojne dopuszczają się niekiedy zbrodni, ale ogólnie biorąc strzegą pokoju i cywilizacji. To flota wojenna Imperium zaprowadziła Pax Imperium, który zapanował w całej Galaktyce na dwa tysiące lat. Niech pan porówna te dwa tysiąclecia pokoju pod znakiem Słońca i Kosmolotu Imperium z dwoma tysiącleciami anarchii, która je poprzedziła. Niech pan pomyśli o wojnach i zniszczeniach tej dawnej epoki i powie mi, czy — przy wszystkich jego wadach — Imperium nie jest warte zachowania.

Niech pan pomyśli — mówił gwałtownie — w co zamieniły się obrzeża Galaktyki w naszych czasach, kiedy odrywają się od Imperium i zdobywają niezależność odległe światy, i niech pan spyta swego sumienia, czy dla drobnej zemsty zgodziłby się pan na zdegradowanie Siwenny z roli prowincji pozostającej pod ochroną potężnej floty wojennej do pozycji barbarzyńskiego świata w barbarzyńskiej Galaktyce, całkowicie pogrążonej, wraz z jej cząstkową wolnością, w powszechnej nędzy i nikczemności.

— Czy jest aż tak źle? — spytał Siweńczyk. — Już teraz?

— Nie — przyznał Riose. — My sami bylibyśmy bez wątpienia bezpieczni, nawet gdybyśmy mieli żyć czterokrotnie dłużej. Ale ja walczę dla Imperium, dla niego i dla tradycji wojskowej, co ma pewne znaczenie dla mnie osobiście i czego nie potrafię panu wytłumaczyć.

To jest tradycja instytucji, której służę.

— Zaczyna pan mówić jak mistyk, a mnie jest zawsze trudno zrozumieć mistycyzm innego człowieka.

— To nieważne. Pojmuje pan chyba, jakie niebezpieczeństwo grozi nam ze strony tej Fundacji.

— To przecież ja wskazałem panu na to, co nazywa pan niebezpieczeństwem, zanim jeszcze wytknął pan nos poza Siwennę.

— A zatem zdaje pan sobie sprawę z tego, że trzeba to zdusić w zarodku, bo w przeciwnym razie trzeba będzie być może pogodzić się z przegraną. Pan wiedział o tej Fundacji, zanim ktokolwiek o niej usłyszał. Pan wie o niej. więcej niż ktokolwiek inny w Imperium. Prawdopodobnie wie pan również jak najskuteczniej ich zaatakować, i prawdopodobnie może mnie pan ostrzec przed ich przeciwdziałaniem. No, proszę, zostańmy przyjaciółmi.

Ducem Barr wstał. Powiedział stanowczym tonem:

— Pomoc, której mógłbym panu udzielić, jest niewiele warta. A więc, wobec pana stanowczego żądania, obiecuję ją panu.

— To ja ocenię jej znaczenie.

— Mówię poważnie. Nawet cała potęga Imperium nie zdoła zniszczyć tego lilipuciego świata.

— A dlaczegóż to? — w oczach Bel Riose'a pojawił się gniewny błysk. — Nie, proszę zostać na miejscu. Powiem panu, kiedy będzie pan mógł odejść. Dlaczego? Jeśli sądzi pan, że nie doceniam wroga, którego odkryłem, to jest pan w błędzie. Patrycjuszu — rzekł z wahaniem — wracając, straciłem statek. Nie mam żadnego dowodu, że wpadł w ręce ludzi z Fundacji, ale do tej pory nie odnaleziono go, a gdyby był to zwykły wypadek, jego wrak znaleziono by na pewno gdzieś na tym szlaku, którym wracałem. Nie jest to poważna strata, nawet mniej bolesna niż ukąszenie pchły, ale może to znaczyć, że Fundacja podjęła już wrogie działania,. Taka popędliwość i takie nieliczenie się z konsekwencjami może oznaczać, że posiadają jakąś tajną broń, o której nic nie wiem. Czy może mi pan pomóc i odpowiedzieć na konkretne pytanie? Jaki mają potencjał militarny?

— Nie mam żadnego pojęcia.

— A zatem niech mi pan to wyjaśni, używając własnych terminów. Dlaczego powiedział pan, że Imperium nie może pokonać tak słabego przeciwnika?

Siweńczyk ponownie usiadł i odwrócił wzrok od wpatrującego się weń uważnie Riose'a. Powiedział ciężko:

— Ponieważ wierzę w zasady psychohistorii. To dziwna nauka. Osiągnęła pełnię rozwoju i matematyczną precyzję za sprawą jednego człowieka, Hari Seldona, i z nim odeszła, gdyż od tamtej pory nikt nie był w stanie poradzić sobie z jej zawiłymi wzorami. Ale w tym krótkim okresie dowiodła, że jest najpotężniejszym instrumentem, jaki

kiedykolwiek wynaleziono dla badań nad ludzkością. Nie kryjąc, że nie jest w stanie przewidzieć zachowań poszczególnych jednostek, sformułowała ścisłe prawa pozwalające przewidzieć i ukierunkować na drodze analizy matematycznej i ekstrapolacji masowe działania grup ludzi.

— A więc…

— Tej właśnie psychohistorii użył w całej rozciągłości Seldon i jego zespół do ustanowienia Fundacji. Miejsce, czas, warunki — wszystko to składa się matematycznie, a więc nieuchronnie, na pomyślność i rozwój Ogólnego Imperium. Głos Riose'a drżał z oburzenia:

— Chce pan powiedzieć, że ta jego sztuka przewiduje, że ja napadnę na Fundację i przegram taką i taką bitwę z takiego i takiego powodu?! Próbuje mi pan wmówić, że jestem głupim robotem podążającym ślepo ku zagładzie wcześniej ustaloną drogą?

— Nie — odparł ostro stary patrycjusz. — Powiedziałem już, że ta nauka nie zajmuje się indywidualnymi działaniami. Zostało przewidziane tylko szersze tło wydarzeń.

— A więc trzyma nas mocno w garści Bogini Historycznej Konieczności?

— Psychohistorycznej Konieczności — poprawił go spokojnie Barr.

— A jeśli skorzystam ze swej prerogatywy — z wolnej woli? Jeśli zdecyduję się uderzyć w przyszłym roku albo postanowię nie atakować w ogóle? Jak giętka jest ta Bogini? Jak zaradna? Barr wzruszył ramionami.

— Może pan zaatakować teraz lub nigdy, jednym statkiem lub wszystkimi siłami Imperium, może pan użyć presji ekonomicznej, wypowiedzieć otwarcie wojnę lub uderzyć podstępem. Niech pan robi, co pan zapragnie, korzystając w najwyższym stopniu z wolnej woli. I tak pan przegra.

— Z powodu martwej ręki Hariego Seldona?

— Z powodu martwej ręki — jeśli pan to tak określa — matematyki ludzkiego zachowania, ręki. której nie można ani powstrzymać, ani zwrócić w inną stronę, ani opóźnić jej ruchu.

Patrzyli sobie przez chwilę w oczy, nic nie mówiąc, aż w końcu generał odstąpił do tyłu. Powiedział:

— Podejmuję wyzwanie. Martwa ręka przeciw żywej woli.

Imperator

»Cleon II potocznie zwany Wielkim. Ostatni silny władca Pierwszego Imperium. Jego długie panowanie było okresem politycznego i kulturalnego odrodzenia. Najczęściej jednak jego imię pojawia się w fantastycznych opowieściach w związku z Bel Riosem, toteż dla zwykłych ludzi jest on po prostu „Panem Riose'a". Wypadki, które zdarzyły się w czasie ostatniego roku jego panowania nie powinny przesłonić czterdziestu lat…«

Encyklopedia Galaktyczna

Cleon II był Władcą Wszechświata. Cleon II cierpiał na bolesne, lecz nierozpoznane schorzenie. Dziwnym zbiegiem rzeczy, charakterystycznym dla ludzkich losów, te dwa stwierdzenia nie wykluczają się wzajemnie ani nie są szczególnie niespójne. Historia dostarcza aż nadto podobnych przykładów.

Nie było to jednak dla Cleona II żadną pociechą. Studiowanie długiej listy podobnych przypadków nie zmniejszało jego własnego cierpienia nawet o marny elektron. Równie mizerną pociechą była świadomość, że jeszcze jego dziad był zaledwie piratem rządzącym jakąś zagubioną planetą, a on sam rezydował w zbytkownym pałacu Ammenetika Wielkiego jako spadkobierca długiej linii władców Galaktyki, której początek ginął w pomroce dziejów. Nie sprawiała mu teraz żadnej radości myśl, że dzięki wysiłkom jego ojca zduszone zostały wszelkie odruchy rebelii i w Imperium zapanowały harmonia i pokój jak w czasach Stannela VI, i że skutkiem tego, podczas dwudziestu pięciu lat jego panowania najmniejszy przejaw buntu nie przesłonił ani na chwilę blasku jego sławy.

Władca Galaktyki i Pan Wszystkiego jęknął składając głowę na poduszki otoczone orzeźwiającym polem siłowym. Poddał się jego łagodnemu działaniu i czując przyjemne mrowienie, rozluźnił się nieco. Uniósł się z trudem, siadł na łożu i wpatrzył się smutnym wzrokiem w odległe ściany wielkiej komnaty. Nie był to odpowiedni pokój dla samotnej osoby. Był zbyt duży. Wszystkie pokoje były zbyt duże.

Lepiej wszakże być samotnym podczas tych okropnych napadów

bólu niż znosić widok napuszonych dworaków, ich niezmierne współczucie i pokorne przygnębienie. Lepiej cierpieć samotnie niż oglądać te przygnębione twarze będące maskami, które kryją zwykłe wyrachowanie i spekulacje na temat czasu jego śmierci i losów korony.

Ta myśl przygnębiła go jeszcze bardziej. Miał trzech synów, trzech dorodnych i obiecujących młodzieńców. Gdzie się oni podziewają? Na pewno czekają. Jeden śledzi drugiego, a wszyscy bacznie obserwują ojca.

Poruszył się niespokojnie. A teraz Brodrig błaga o audiencję. Nisko urodzony, wierny Brodrig. Wierny, ponieważ serdecznie znienawidzony przez tuzin dworskich koterii całkowicie zgodnych w tym jednym jedynym punkcie.

Brodrig — faworyt, który musi być wierny, gdyż jedynie posiadanie najszybszego statku w Imperium i dotarcie do niego w dniu śmierci Imperatora mogłoby go uchronić przed komorą atomową.

Cleon II dotknął gładkiej gałki umieszczonej na oparciu otomany i potężne drzwi w końcu komnaty rozpłynęły się jak obłok mgły.

Pojawił się w nich Brodrig. Przeszedł po purpurowym dywanie i przyklęknął, aby ucałować zwisającą bezwładnie dłoń Imperatora.

— Jak zdrowie, panie? — spytał Tajny Sekretarz z obawą w głosie.

— Żyję — burknął Imperator z rozdrażnieniem — jeśli można tak określić fakt, że każdy łotr, który potrafi przeczytać książkę lekarską, traktuje mnie jak poligon doświadczalny. Jeśli jest jeszcze w ogóle jakiś środek, chemiczny, fizyczny czy jądrowy, którego na mnie nie wypróbowano, to założę się, że jutro przybędzie tu gdzieś z odległego kąta Imperium jakiś uczony gaduła, aby sprawdzić jego działanie. I znowu będzie się powoływał na autorytet jakiejś nowo odkrytej, a raczej podrobionej książki.

Na pamięć mego ojca! — krzyknął z wściekłością — zdaje się, że nie ma już ani jednego medyka, który by potrafił badać chorego, patrząc nań własnymi oczyma! Żaden z nich nie potrafi nawet zmierzyć pulsu bez pomocy starożytnych ksiąg. Jesteśmy chorzy, a oni nie wiedzą na co. Głupcy! Jeśli pojawią się nowe choroby, to jako nierozpoznane i nieopisane przez starożytnych, pozostaną na zawsze nieuleczalne. Starożytni powinni żyć teraz albo ja wtedy.

Imperator zaklął cicho. Brodrig czekał pokornie. Cleon II spytał z rozdrażnieniem wskazując ruchem głowy drzwi:

— Ilu czeka?

— Wielka Sala pomieściła normalną liczbę — odparł cierpliwie Brodrig.

— Niech czekają. Jestem zajęty sprawami państwa. Niech to oznajmi dowódca straży. Albo nie, niech nie mówi o sprawach

państwa. Niech powie po prostu, że nie udzielam żadnych audiencji i niech, mówiąc to, wygląda na zmartwionego. Może te hieny, które tam są, same się zdradzą — dodał złośliwie.

— Krąży plotka, panie — rzekł gładko Brodrig — że chorujesz na serce.

Imperator uśmiechnął się szyderczo:

— Jeśli ktoś, opierając się na tej plotce, zacznie działać przedwcześnie, to inni odczują to boleśniej niż ja. Ale mów, czego chcesz. Niech to już będzie za nami.

Brodrig podniósł się z klęczek i stanął w pokornej postawie.

— To dotyczy generała Bel Riose'a, Wojskowego Gubernatora Siwenny — rzekł.

— Riose'a? — Cleon II zmarszczył brwi. — Nic mi nie mówi to nazwisko. Zaczekaj, to ten, który przysłał ten donkiszotowski meldunek kilka miesięcy temu? Tak, teraz sobie przypominam. Pragnął zostać zdobywcą ku chwale Imperium i Imperatora i prosił o zgodę na to.

— Istotnie, panie. Imperator zaśmiał się krótko.

— Czy przypuszczałeś, Brodrig, że mam jeszcze takich generałów? On zdaje się być dziwnym przeżytkiem. Jaka była odpowiedź? Mam nadzieję, że zająłeś się tym.

— Tak, panie. Polecono mu, aby przysłał dodatkowe informacje i nie podejmował żadnych działań zbrojnych bez rozkazu z Imperium.

— Hmm… Dość przezornie. Kto to jest ten Riose? Czy był kiedyś na dworze?

Brodrig kiwnął twierdząco głową, a jego usta lekko się wykrzywiły.

— Zaczynał jako kadet gwardii dziesięć lat temu. Miał udział w tej sprawie w pobliżu Skupiska Lemula.

— Skupiska Lemula? Pamięć mi niezupełnie… Czy to było wtedy, kiedy jakiś młody żołnierz uchronił dwa liniowce przed zderzeniem czołowym robiąc… no… coś tam? — Machnął ręką ze zniecierpliwieniem. — Nie pamiętam szczegółów. Był to jakiś bohaterski wyczyn.

— Tym żołnierzem był Riose. Dostał za to awans — powiedział sucho Brodrig — i nominację na kapitana statku.

— A teraz, w tak młodym wieku, jest już Gubernatorem Wojskowym systemu gwiezdnego na pograniczu. Zdolny człowiek!

— Niebezpieczny, panie. On żyje przeszłością. Marzy o dawnych czasach, a raczej o ich mitycznym obrazie. Tacy ludzie są sami w sobie nieszkodliwi, ale ich zupełny brak realizmu sprawia, że stają się narzędziami w rękach innych.

Jego ludzie — dodał — są, jak mi wiadomo, całkowicie pod jego urokiem. On jest jednym z lubianych generałów.

Tak? — rzekł Imperator z zadumą. — No, cóż, Brodrig, nie chciałbym, żeby służyli mi tylko ignoranci. Ci ostatni z pewnością nie są wzorem wierności.

— Zdrajca-ignorant nie stwarza żadnego zagrożenia. To raczej przed zdolnymi trzeba mieć się na baczności.

— Przed tobą również, Brodrig? — roześmiał się Cleon II, ale zaraz wykrzywił mu twarz grymas bólu. — A zatem daruj sobie na razie ten wykład. Co nowego w spawie tego młodego zdobywcy? Mam nadzieję, że nie przyszedłeś tu tylko po to, żeby mi o nim przypomnieć.

— Otrzymaliśmy, panie, następny meldunek od generała Riose'a.

— Ach, tak? O czym?

— Odkrył kraj tych barbarzyńców i zaleca ekspedycję wojskową. Przedstawia liczne i nudne argumenty na rzecz takiego działania. Nie warto nimi teraz zanudzać Waszej Imperatorskiej Mości. Tym bardziej, że zostaną one szczegółowo omówione na posiedzeniu Rady. — Spojrzał z ukosa na Imperatora.

Cleon II zachmurzył się.

— Rady? Czy to sprawa dla nich, Brodrig? Będzie to oznaczać dalsze żądania szerszego zastosowania Karty Praw. Zawsze się na tym kończy.

— Nie można tego uniknąć, panie. Byłoby lepiej, gdyby czcigodny dziad Waszej Wysokości rozprawił się z ostatnią rebelią bez przyznawania Karty Praw. Skoro jednak stało się inaczej, musimy jeszcze przez pewien czas liczyć się z nią.

— Myślę, że masz rację. Zatem musi to przejść przez Radę Lordów. Ale, człowieku, skąd to namaszczenie? To w końcu sprawa mniejszej wagi. Zwycięstwo gdzieś na dalekiej granicy odniesione przy udziale małej liczby wojska nie jest sprawą wagi państwowej.

Brodrig uśmiechnął się lekko. Powiedział chłodno:

— To sprawa romantycznego idioty, ale nawet romantyczny idiota może się stać śmiertelnie niebezpieczną bronią w rękach nieromantycznego rebelianta. Panie, ten człowiek był popularny tutaj i popularny jest tam. Jest młody. Jeśli przyłączy do Imperium jedną czy dwie barbarzyńskie planety, to stanie się zdobywcą. Otóż młody zdobywca, który dowiódł, że jest zdolny wzbudzić entuzjazm pilotów, górników, sprzedawców i innej hołoty, jest zawsze niebezpieczny. Nawet gdyby nie miał ochoty postąpić z tobą, panie, tak, jak twój czcigodny ojciec postąpił z tym uzurpatorem Rickertem, to i tak któryś z lojalnych Panów Imperium nie omieszkałby posłużyć się nim jako swym narzędziem.

Cleon II poruszył szybko ręką i zamarł z bólu. Powoli wracał do siebie, ale uśmiech jego był nikły, a głos przeszedł w szept:

— Jesteś nieocenionym sługą, Brodrig. Wszędzie węszysz

niebezpieczeństwo i wystarczy, jeśli zastosuję tylko połowę z zalecanych przez ciebie środków ostrożności, żebym był całkowicie bezpieczny — Przekażemy to Radzie Lordów. Zobaczymy, co powiedzą i podejmiemy odpowiednie kroki. Mam nadzieję, że ten młody człowiek nie rozpoczął jeszcze działań zbrojnych.

— Nie donosi o żadnych działaniach. Ale już prosi o posiłki.

— O posiłki! — Imperator otworzył szeroko oczy ze zdumienia. — Jaką siłą rozporządza?

— Dziesięć liniowców, panie, i pełna obsada statków pomocniczych. Dwa statki wyposażone są w silniki uratowane ze statków starej Wielkiej Floty, a jeden ma baterię dział z tego samego źródła. Pozostałe statki to produkcja ostatnich pięćdziesięciu lat, ale wszystkie są w pełni sprawne.

— Wydawałoby się, że dziesięć statków powinno wystarczyć do każdego rozsądnego przedsięwzięcia. Przecież mój ojciec miał mniej statków, gdy odnosił swoje pierwsze zwycięstwa nad uzurpatorem. Kim są ci barbarzyńcy, z którymi chce walczyć?

Tajny Sekretarz uniósł dumne brwi.

— Określa ich mianem Fundacji.

— Fundacji? A co to takiego?

— Nie ma o nich żadnej wzmianki, panie. Dokładnie przeszukałem archiwa. Są pewne luki w dokumentach odnoszących się do obszaru Galaktyki, który dawniej był Prowincją Anakreona, a dwa wieki temu stał się terenem rozbojów i pogrążył się w barbarzyństwie i anarchii. Jednakże, nie ma w tej prowincji planety, która znana byłaby jako Fundacja. Jest tam jakaś luźna wzmianka o grupie uczonych wysłanej do tej prowincji na krótko przed jej oderwaniem się od Imperium. Mieli oni przygotować jakąś encyklopedię — uśmiechnął się lekko. — Zdaje mi się, że nazywało się to Fundacja Encyklopedyczna.

— No, cóż — Imperator zasępił się — to jest zbyt nikły trop, żeby nim podążać.

— Nie podążam nim, panie. Po nastaniu anarchii w tym regionie nie otrzymano od nich żadnej wieści. Jeśli jeszcze żyją ich potomkowie i jeśli zachowali tę nazwę, to najprawdopodobniej stali się barbarzyńcami.

— A więc chce posiłków — Imperator spojrzał zbolałym wzrokiem na swego sekretarza. — To zastanawiające — chcieć walczyć z dzikusami siłą dziesięciu statków i prosić o wsparcie zanim się zadało pierwszy cios. A jednak przypominam sobie tego Riose'a — był to przystojny chłopiec z porządnej i lojalnej rodziny. Brodrig, są tu jakieś niejasności, których nie mogę rozwikłać. To może być ważniejsze niż się wydaje.

Jego palce poruszały się machinalnie po błyszczącym

prześcieradle, które okrywało jego sztywniejące nogi.

— Potrzebuję tam człowieka, który potrafi dobrze patrzeć, umie myśleć i jest lojalny — rzekł. — Brodrig, Sekretarz pokornie pochylił głowę.

— A co ze statkami, panie?

— Jeszcze nie teraz! — Imperator jęknął lekko, wolno zmieniając pozycję. Podniósł drżący palec. — Poczekamy, aż będziemy wiedzieć więcej. Zwołaj posiedzenie Rady Lordów od dziś za tydzień. Będzie to również dobra okazja do wystąpienia o nowe kredyty. Albo je uzyskam, albo polecą głowy.

Złożył obolałą głowę na łagodzącą cierpienie poduszkę otoczoną polem siłowym.

— Idź już, Brodrig, i przyślij tu lekarza. To najgorszy krętacz z tej całej bandy.

Zaczyna się wojna

Z promieniującego punktu oznaczającego Siwennę siły zbrojne Imperium zapuszczały się ostrożnie w czarną, nieznaną otchłań Peryferii. Olbrzymie statki przemierzały rozległe obszary przestrzeni między rozrzuconymi na skraju Galaktyki gwiazdami otaczając przypuszczalne granice strefy wpływów Fundacji.

Ziemie światów pogrążonych od dwóch stuleci w mrokach barbarzyństwa znowu deptały stopy władców Imperium. Pod presją potężnych dział wymierzonych w miasta stołeczne, ich mieszkańcy składali przysięgę na wierność Imperatorowi.

Zakładano bazy wojskowe, w których stacjonowali ludzie w cesarskich mundurach ze znakiem Kosmolotu i Słońca na ramieniu. Na ich widok starcy przypominali sobie snute przez dziadów ich ojców opowieści o czasach, kiedy wszechświat był wielki i bogaty, kiedy nie było wojen i kiedy nad całą Galaktyką panował ten sam Kosmolot i Słońce.

A potem statki odlatywały, aby dalej snuć swą sieć wokół Fundacji. W miarę jak kolejne światy stawały się okami tej sieci, napływały meldunki do Kwatery Głównej, którą Bel Riose założył na skalistej połaci pogrążonej w wiecznych mrokach planety.

Riose rozluźnił się i uśmiechnął do Barra.

— No i co pan o tym sądzi, patrycjuszu?

— Ja? Cóż jest wart mój sąd? Nie jestem żołnierzem.

Obrzucił zmęczonym i niechętnym spojrzeniem zagracone różnorakim sprzętem pomieszczenie wykute w ścianie jaskini. Ta grota napełniona sztucznym powietrzem, światłem i ciepłem, była pojedynczym pęcherzykiem życia zagubionym wśród bezmiernych przestrzeni niegościnnej planety.

— Pomoc, którą mógłbym czy chciałbym panu ofiarować, jest tyle warta, że równie dobrze mógłby mnie pan odesłać z powrotem na Siwennę! — mruknął.

— Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie teraz. — Generał obrócił się z krzesłem w stronę umieszczonej w rogu doskonale przeźroczystej kuli, przedstawiającej dawną Prefekturę Anakreona i sąsiadujące z nią sektory. — Później, kiedy będziemy mieć to już za sobą, wróci pan do swoich ksiąg i nie tylko do nich. Dopilnuję, żeby zwrócono panu i pańskim dzieciom posiadłości rodowe.

— Dziękuję — rzekł Barr z lekką ironią — ale nie podzielam pańskiej wiary w szczęśliwe zakończenie tej sprawy.

Riose zaśmiał się szorstko:

— Niech pan nie zaczyna znowu swojego krakania. Bardziej przemawia do mnie ta mapa niż pana katastroficzne przepowiednie —

pogładził czule jej niewidzialną, wypukłą powierzchnię. — Zna się pan na mapach o rzucie radialnym? Tak? No więc, proszę, niech pan sam zobaczy. Te złote gwiazdki oznaczają ziemię Imperium. Czerwonymi oznaczone są terytoria podlegające Fundacji, a różowymi te, które znajdują się prawdopodobnie w strefie jej wpływów gospodarczych. Teraz niech pan uważa… Riose nacisnął okrągły guzik i powoli obszar pokryty wyraźnymi białymi punktami zmienił barwę na ciemny błękit. Czerwone i różowe gwiazdki wyglądały teraz tak, jak gdyby nakryto je kubkiem.

— Te niebieskie gwiazdki to miejsca zajęte przez moje wojska — rzekł Riose z cichą satysfakcją — które stale się posuwają. Nigdzie nie napotkaliśmy oporu. Barbarzyńcy siedzą cicho. I co szczególnie ważne, nie wystąpiły przeciwko nam siły Fundacji. Śpią spokojnie.

— Chyba rozprasza pan swoje siły — zauważył Barr.

— W rzeczywistości — powiedział Riose — wbrew pozorom, nie robię, tego. Obsadzam wojskiem i umacniam kluczowe punkty, których jest stosunkowo mało, ale które zostały starannie wybrane. Skutek jest taki, że liczba żołnierzy jest mała, ale efekt strategiczny wielki. Daje to wiele korzyści, więcej niż mogłoby się wydawać komuś, kto nie jest obeznany z zasadami taktyki kosmicznej, ale na przykład jasne jest dla każdego, że mogę wyprowadzić atak z dowolnego punktu kuli otaczającej Fundację i że kiedy zakończę okrążenie, Fundacja nie będzie mogła uderzyć ani na moje flanki, ani na tyły. W stosunku do nich nie będę miał żadnej flanki ani tyłów.

Tę strategię uprzedniego zamknięcia przeciwnika próbowano stosować już wcześniej, mianowicie podczas wypraw Lorisa VI, jakieś dwa tysiące lat temu, ale zawsze robiono to niedoskonale, zawsze przeciwnik zorientował się w porę i usiłował przeszkodzić w zakończeniu operacji. Tym razem jest inaczej. — idealny, podręcznikowy przypadek? — spytał Barr obojętnym tonem.

Riose zirytował się:

— Pan nadal myśli, że moje wojska przegrają?

— Muszą przegrać.

— Niech pan zrozumie, że nie było przypadku w historii wojen, żeby, otoczywszy przeciwnika, strona nacierająca w końcu nie wygrała, chyba że na zewnątrz pozostała flota wystarczająco silna, aby przerwać okrążenie.

— Jeśli pan tak mówi…

— A pan nadal myśli swoje.

— Tak.

Riose wzruszył ramionami.

— Trudno.

Zapanowało przygnębiające milczenie. Po dłuższej chwili Barr spytał cicho:

— Czy otrzymał pan odpowiedź z Imperium? Riose odwrócił się, wyjął papierosa ze skrytki w ścianie i powoli zapalił.

— Ma pan na myśli moją prośbę o posiłki? — rzekł. — Tak, otrzymałem. Ale tylko odpowiedź.

— Bez statków.

— Bez. Spodziewałem się tego. Szczerze mówiąc, nie powinienem się był dać zasugerować pańskimi teoriami i od razu prosić o posiłki. Stawia mnie to w złym świetle.

— Doprawdy?

— Z pewnością. Statki są w cenie. Wojny domowe ostatnich dwustu lat kosztowały Wielką Flotę więcej niż połowę jej statków, a to, co zostało, jest raczej w kiepskim stanie. Widzi pan, te statki, które dzisiaj budujemy, są niewiele warte. Nie sądzę, żeby znalazł się teraz w Galaktyce ktoś, kto potrafiłby zbudować silnik hiperatomowy pierwszej klasy.

— Wiedziałem o tym — powiedział Siweńczyk. Patrzył na Riose'a nie widzącym wzrokiem, jakby zastanawiał się nad czymś. — Ale nie wiedziałem, że pan o tym wie… A więc Jego Wysokość Imperator nie może przysłać żadnych statków. Psychohistoria mogła to przewidzieć. Szczerze mówiąc, prawdopodobnie przewidziała. Rzekłbym, że martwa ręka Hariego Seldona wygrywa pierwszą rundę.

— Mam dosyć statków — odparł ostro Riose. — Pański Seldon niczego nie wygrywa. Gdyby sytuacja stała się poważna, znalazłoby się więcej statków. Na razie Imperator nie zna jeszcze całej sprawy.

— Naprawdę? O czym mu pan nie doniósł?

— Oczywiście o pańskich teoriach — Riose roześmiał się sardonicznie. — Pozostając z całym szacunkiem dla pana osoby, muszę powiedzieć, że ta historia jest zupełnie nieprawdopodobna. Jeśli rozwój wypadków da mi jakąś podstawę do tego, jeśli będę miał na to jakiś dowód, to wtedy, ale tylko wtedy, dojdę do wniosku, że mamy do czynienia ze śmiertelnym niebezpieczeństwem.

A w dodatku — rzekł na koniec niedbale — ta historia, nie poparta faktami, ma posmak obrazy majestatu, co raczej nie byłoby przyjemne dla Imperatora.

Stary patrycjusz uśmiechnął się.

— Chce pan powiedzieć, że wiadomość o tym, iż może zostać zrzucony ze swego wyniosłego tronu przez bandę obdartych barbarzyńców gdzieś z krańca wszechświata wyda mu się tak fantastyczna, że ani w nią nie uwierzy, ani jej nie doceni. Zatem nie spodziewa się pan od niego niczego.

— Jeśli nie liczyć specjalnego wysłannika.

— A po co tu specjalny wysłannik?

— To stary zwyczaj. Bezpośredni przedstawiciel korony uczestniczy w każdej kampanii wojennej prowadzonej pod sztandarem

Imperium.

— Naprawdę? Dlaczego?

— To symbol. Ma to znaczyć, że Imperator osobiście dowodzi wojskiem podczas kampanii. Od pewnego czasu ma to też jeszcze inne znaczenie — utrzymanie generałów w wierności Imperatorowi. W tym względzie nie zawsze spełnia swoje zadanie.

— Będzie to dla pana niewygodne, generale. To znaczy, narzucona władza.

— Nie wątpię w to — Riose lekko poczerwieniał — ale nic na to nie można poradzić…

Odbiornik obok ręki generała rozgrzał się i w jego otworze pojawiła się z lekkim zgrzytem cylindryczna przesyłka. Riose otworzył ją.

— Znakomicie! To jest to!

Ducem — Barr uniósł pytająco brwi w górę.

— Wie pan o tym, że schwytaliśmy jednego z tych handlarzy? Żywcem, i to wraz z nienaruszonym statkiem.

— Słyszałem, jak ktoś o tym mówił.

— Właśnie sprowadzono go tutaj i za chwilę go ujrzymy. Proszę zostać na miejscu, patrycjuszu. Chcę, żeby pan był obecny przy przesłuchaniu. To był główny powód, dla którego wezwałem pana dzisiaj. Może pan uchwyci jakąś ważną informację, która mogłaby umknąć mojej uwadze.

Rozległ się sygnał przy drzwiach i generał otworzył je naciśnięciem stopy. W progu stanął potężny, brodaty mężczyzna, ubrany w krótką kurtkę z miękkiego skóropodobnego plastiku, z kapturem odrzuconym na plecy. Ręce miał wolne i nic w jego zachowaniu nie wskazywało, żeby przejął się faktem, iż otaczają go uzbrojeni ludzie.

Wszedł do pokoju swobodnym krokiem i obrzucił wnętrze taksującym spojrzeniem. Pozdrowił generała niedbałym machnięciem ręki i lekkim skinięciem głowy.

— Nazwisko? — rzucił szorstko Riose.

— Lathan Devers. — Handlarz zatknął kciuki za szeroki, jaskrawy pas. — Ty tu jesteś szefem?

— Jesteś handlarzem z Fundacji?

— Zgadza się. Słuchaj, jeśli jesteś szefem, to lepiej powiedz swoim ludziom, żeby zwolnili mój ładunek.

Generał uniósł głowę i zmierzył jeńca zimnym wzrokiem.

— Odpowiadaj na pytania. Nie gadaj bez zezwolenia.

— W porządku. Zgodny ze mnie człowiek. Ale jeden z twoich chłopców zdążył już sobie wywalić dwustopową dziurę w brzuchu, pchając palce tam, gdzie nie trzeba.

Riose przeniósł wzrok na porucznika.

— Yrank, czy to prawda, co mówi ten człowiek? Meldowałeś, że nikt nie zginął.

— Wtedy nie — powiedział drętwym głosem, z widoczną obawą, porucznik. — Później ludzie postanowili przeszukać statek, bo ktoś rzucił plotkę, że na pokładzie jest kobieta. Zamiast niej znaleziono mnóstwo nieznanych narzędzi. Według jeńca to towar, którym handluje.

Generał odwrócił się do handlarza.

— Twój statek przewozi jądrowe materiały wybuchowe?

— Na Galaktykę, nie! Po co? Ten idiota złapał wiertarkę atomową za zły koniec i nastawił na maksymalne rozproszenie. Tego się nie robi. Równie dobrze można sobie przystawić do głowy miotacz. Gdyby nie siedziało na mnie pięciu ludzi, to bym go powstrzymał.

Riose skinął na wartowników:

— Wyjść. Zabezpieczyć schwytany statek przed intruzami. Siadaj, Devers.

Handlarz usiadł na wskazanym miejscu, nie przejmując się badawczym spojrzeniem generała i zaciekawionym wzrokiem Siweńczyka.

— Jesteś rozsądnym człowiekiem, Devers — rzekł Riose.

— Dziękuję. Widać to z mojej twarzy? A może chcesz czegoś? Powiem ci coś. Jestem człowiekiem interesu.

— Na jedno wychodzi. Poddałeś statek zamiast narażać nas na stratę amunicji, a siebie na rozwalenie w elektronowy pył. Zostaniesz dobrze potraktowany, jeśli nadal będziesz miał taki stosunek do życia.

— Dobre traktowanie, szefie, akurat najbardziej mi pasuje.

— Dobrze, a mnie akurat najbardziej pasuje współpraca — Riose uśmiechnął się i rzekł szeptem do Barra: — Mam nadzieję, że „pasuje" znaczy to, o co mi chodzi. Słyszał pan kiedy taki barbarzyński żargon?

— W porządku — powiedział Devers. — Rozumiem. Ale o jaką współpracę chodzi, szefie? Powiem wprost — nie wiem, na czym stoję. — Rozejrzał się. — Na przykład, co to za miejsce i co w ogóle jest grane?

— A racja, zapomniałem się przedstawić. Proszę mi wybaczyć — Riose był w dobrym humorze. — Ten gentleman to Ducem Barr, patrycjusz Imperium. Ja jestem Bel Riose, par Imperium i generał trzeciej klasy w siłach zbrojnych Jego Imperatorskiej Mości.

Handlarzowi opadła szczęka.

— Imperium? Tego Imperium, o którym uczono mnie w szkole? Ha! Zabawne! Zawsze mi się jakoś wydawało, że jego już nie ma.

— Rozejrzyj się. Jest — rzekł Riose groźnie.

— Chociaż mogłem się domyślić — Lathan Devers odchylił się do tyłu, celując brodą w sufit. — To był bardzo zgrabny komplet, te statki, które zatrzymały moją balię. Nie mogło ich zrobić żadne

królestwo na Peryferiach. — Zmarszczył brwi. — Co jest grane, szefie? A może muszę mówić „generale”?

— Wojna.

— Imperium przeciw Fundacji, znaczy się? — Zgadza się.

— Dlaczego?

— Myślę, że wiesz dlaczego.

Handlarz popatrzył na niego ze zdumieniem i pokręcił głową. Riose dał mu czas na zastanowienie się, a potem rzekł słodko:

— Jestem pewien, że wiesz.

— Gorąco tutaj — mruknął Devers i wstał, żeby zdjąć kurtkę. Potem znowu usiadł i wyciągnął nogi.

— Wiesz co. — powiedział bynajmniej nie stroskanym głosem — zdaje mi się, że czekasz, żebym się zerwał z dzikim okrzykiem i rzucił na ciebie. Jeśli wybiorę odpowiedni moment, to nie zdążysz nawet ruszyć palcem. Ten starszy gość, który nic nie mówi, nie byłby w stanie ci pomóc.

— Ale nie zrobisz tego — rzekł Riose pewnym głosem.

— Nie zrobię — zgodził się Devers. — Po pierwsze, przypuszczam, że twoja śmierć nie przerwałaby wojny. Tam, skąd przybywasz, jest więcej generałów.

— Rozumujesz prawidłowo.

— A poza tym, gdybym cię załatwił, to w dwie sekundy potem miałbym na karku tuzin ludzi i byłoby po mnie, szybko albo wolno, to zależy. — W każdym razie byłbym trup, a to mnie nie interesuje.

— Mówiłem, że jesteś rozsądnym człowiekiem.

— Ale chciałbym coś wiedzieć, szefie. Chciałbym, żebyś mi wyjaśnił, co masz na myśli mówiąc, że wiem dlaczego napadacie na nas. Ja tego naprawdę nie wiem, a zagadki cholernie mnie nużą.

— Tak? Słyszałeś kiedy o Harim Seldonie?

— Nie. Powiedziałem, że nie lubię takich gier. Riose zerknął z ukosa na Ducema Barra, który uśmiechnął się lekko, ale zaraz przybrał ponownie minę człowieka zatopionego w marzeniach. Riose skrzywił się.

— Ty sam grasz, Devers. — powiedział. — U was, w Fundacji, krąży podanie czy bajka, a może poważny projekt — mniejsza o to — że w końcu założycie Drugie Imperium. Znam całkiem dobrze psychohistoryczne frazesy Seldona i wasze plany napaści na Imperium.

— Coś takiego! — Devers w zamyśleniu pokiwał głową. — A kto ci nagadał takich rzeczy?

— Czy to ważne? — rzekł Riose tonem, w którym czaiła się groźba. — Nie jesteś tu po to, żeby zadawać pytania. Mów, co wiesz o bajce Seldona.

— Ale jeśli to bajka…

— Nie łap mnie za słówka, Devers.

— Skądże znowu. Dobrze, powiem uczciwie. Prawdę mówiąc, wiesz o tym tyle, co ja. To bzdurna historia, zupełnie bez sensu. Każdy świat ma takie historyjki, ludzie nie mogą się bez nich obyć. Owszem słyszałem o tym — Seldon, Drugie Imperium i tak dalej. Opowiadają to dzieciom do poduszki. Smarkacze zamykają się w swoich pokojach z kieszonkowymi projektorami i pochłaniają z wypiekami na twarzy dreszczowce Seldona. Ale to nie jest dla dorosłych. W każdym razie, dla myślących dorosłych — handlarz pokręcił głową.

Oczy generała pociemniały.

— Naprawdę? Niepotrzebnie kłamiesz. Byłem na Terminusie. Znam waszą Fundację. Przyjrzałem się wam z bliska.

— I mnie o to pytasz? Mnie? Od dziesięciu lat nie byłem w Fundacji dłużej niż dwa miesiące. Tracisz czas. Ale prowadź sobie swoją wojnę, jeśli to, czego szukasz, to bajki.

Wtedy po raz pierwszy odezwał się Barr. Spytał miękkim głosem:

— Więc jest pan taki pewny, że Fundacja zwycięży?

Handlarz odwrócił się do niego. Zaczerwienił się lekko i wyraźnie widać teraz było starą bliznę na jego skroni.

— Aha, odezwał się milczący towarzysz. Jak na to wpadłeś, doktorku?

Riose nieznacznie skinął głową i Barr mówił dalej cichym głosem:

— Nie wygląda pan na zmartwionego. Gdyby pan choć przez chwilę przypuszczał, że wasz świat może przegrać tę wojnę i odczuwać dotkliwe skutki klęski, to nie zachowywałby się pan tak niefrasobliwie. Mój świat przegrał, i jeszcze dzisiaj to odczuwa. Lathan Devers skubał brodę, spoglądał to na jednego, to na drugiego, a potem zaśmiał się krótko.

— On zawsze tak mówi, szefie? Słuchaj — spoważniał — co to jest klęska? Widziałem wojny i widziałem klęski. I co z tego, że zwycięzca przejmuje władzę? Kogo to martwi? Mnie? Facetów takich jak ja? — spytał drwiąco. — Pomyśl tylko — handlarz mówił szczerze i z przekonaniem — przeciętną planetą rządzi zazwyczaj pięciu czy sześciu opasłych facetów. Oni dostają po karku, ale ja się tym nie przejmuję. Widzisz. Lud? Zwykli faceci? Pewnie, niektórzy giną, a reszta przez pewien czas płaci dodatkowe podatki. Ale to mija, to przechodzi. Potem wraca stary układ, tyle że na górze jest już innych pięciu czy sześciu.

Nozdrza Ducema Barra zadrgały, a jego prawa dłoń zacisnęła się, ale nic nie powiedział.

Lathan Devers bacznie go obserwował. Niczego nie przeoczył. Powiedział:

— Słuchaj, całe życie włóczę się po przestrzeni, od planety do planety, sprzedając te swoje maszynki po piątaku sztuka i dostaję za

to od Kartelu akurat na piwo z zakąską. Tam, za mną — wskazał kciukiem do tyłu — są tłuści faceci, którzy siedzą wygodnie w domu i w minutę zarabiają tyle, co ja przez rok — zdzierając skórę ze mnie i takich jak ja. Przypuśćmy, że to ty rządzisz Fundacją. Ty też nas będziesz potrzebował. Będziesz nas potrzebował bardziej niż Kartel, bo nie wiesz, jak zrobić forsę, a my możemy dostarczyć żywą gotówkę. Z Imperium zrobilibyśmy lepszy interes. Tak, lepszy, a ja jestem człowiekiem interesu. Jeśli mogę na czymś wyjść na plus, to jestem za tym czymś.

Skończył i popatrzył na nich wyzywająco. Zapanowała długa cisza. Przerwał ją grzechot metalowego cylindra w otworze odbiornika. Generał otworzył go pstryknięciem palca, spojrzał na staranny druk i zasłonił depeszę ręką.

„Przygotować plan wskazujący stanowisko każdego statku w akcji.

Czekać na dalsze rozkazy na stanowiskach obronnych.”

Sięgnął po pelerynę. Zakładając ją na ramiona, szepnął nieznacznie do Barra:

— Zostawiam go panu. Oczekuję wyników. Jest wojna i potrafię być okrutny w stosunku do tych, którzy zawiedli. Niech pan pamięta!

Zasalutował i wyszedł, Lathan Devers popatrzył za nim.

— Coś go ukłuło w czułe miejsce. Co się dzieje?

— Na pewno bitwa — burknął Barr. — Armia Fundacji szykuje się do swej pierwszej bitwy. Lepiej chodźmy stąd.

W pokoju byli uzbrojeni żołnierze. W ich zachowaniu widać było szacunek dla Barra, ale twarze mieli groźne. Devers wyszedł za dumnym patriarchą siweńskim.

Pokój, do którego ich zaprowadzono, był mniejszy i skromniejszy. Były tam dwa łóżka, ekran, prysznic i urządzenia sanitarne. Żołnierze odmaszerowali i masywne drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

— Hmm — Devers rozglądał się z niezadowoloną miną. — Zanosi się na dłuższy pobyt.

— To jest dłuższy pobyt — powiedział Barr i odwrócił się tyłem.

Handlarz rzekł poirytowanym głosem:

— Co ty grasz, doktorku?

— Nic. Jest pan pod moją opieką. To wszystko. Handlarz podniósł się i podszedł do Barra. Jego masywna sylwetka górowała nad patrycjuszem, który siedział nieporuszony.

— Tak? Ale ty też jesteś w tej celi, a kiedy prowadzono nas tutaj, ich miotacze były wycelowane również w ciebie. Słuchaj, widziałem, że wszystko się w tobie gotuje, kiedy mówiłem, co myślę o wojnie i

pokoju.

Bezskutecznie czekał na odpowiedź.

— W porządku. Pozwól mi o coś zapytać. Powiedziałeś, że twój kraj został pobity. Przez kogo? Przez mieszkańców komety z nieznanej mgławicy?

Barr podniósł głowę.

— Przez Imperium.

— Coś takiego. No to co robisz tutaj? Barr zachował wymowne milczenie. Handlarz wysunął dolną wargę i wolno pokiwał

głową. Zdjął z przegubu prawej ręki łańcuszek o płaskich ogniwach i wyciągnął w stronę Barra.

— Co o tym myślisz? — spytał. Identyczny miał na lewej ręce.

Barr wziął bransoletkę. Idąc za gestem handlarza, wolno założył ją na swój przegub. Nieprzyjemne swędzenie szybko minęło.

Devers od razu zmienił ton.

— W porządku, doktorku, teraz możesz mówić. Mów swobodnie. Jeśli jest tu podsłuch, to teraz nic nie wyłapią. To, co tam masz, to zniekształcacz pola, według oryginalnego wzoru Mallowa. Biorę za to po 25 kredytów w każdym świecie, stąd aż do skraju Galaktyki. Ty masz to gratis. Staraj się nie poruszać wargami, kiedy mówisz i nie przejmuj się. Musisz się do tego przyzwyczaić.

Ducem Barr poczuł nagłe znużenie. Handlarz świdrował go wzrokiem. Barr nie czuł się na siłach, żeby spełnić nieme żądanie kryjące się w przenikliwym spojrzeniu Deversa. — Czego chcesz? — spytał. Dziwnie brzmiały słowa wydobywające się spomiędzy nieruchomych warg.

— Powiedziałem ci. Gadasz jak taki facet, którego u nas nazywają patriotą. Ale twój świat został pobity przez Imperium, a ty jakby nigdy nic masz spółkę z jego generałem. To się nie trzyma kupy, co?

— Ja już swoje zrobiłem — rzekł Barr. — Wicekról, który nas podbił, poniósł śmierć z mojej ręki.

— Coś takiego! Dawno?

— Czterdzieści lat temu.

— Czterdzieści lat temu! — Wyglądało na to, że słowa te wywarły wrażenie na Handlarzu. Zmarszczył czoło. — Taki kawał czasu żyć wspomnieniami. Ten bubek w generalskim mundurze wie o tym?

Barr skinął głową.

— Chcesz, żeby Imperium wygrało? — Devers patrzył na starca w napięciu.

Opanowany dotąd Siweńczyk wybuchnął nagle gniewem.

— Oby spadła zagłada na Imperium i jego dzieło! Cała Siwenna codziennie modli się o to. Miałem kiedyś braci, siostrę, ojca. A teraz mam dzieci i wnuki. Generał wie, gdzie ich znaleźć.

Devers nie przerywał.

— Ale nawet to by mnie nie powstrzymało, gdybym miał gwarancję, że ta ofiara nie pójdzie na marne. Oni wiedzieliby, jak umierać — dokończył cicho.

— A więc zabiłeś wicekróla, tak? — spytał handlarz łagodnie. — Wiesz, to mi się z czymś kojarzy. Mieliśmy kiedyś burmistrza. Nazywał się Hober Mallow. Był na Siwennie, to twój kraj, prawda? Poznał tam człowieka o nazwisku Barr.

Ducem Barr spojrzał na Deversa podejrzliwie.

— Co o tym wiesz?

— To, co wie każdy handlarz w Fundacji. Może cię za niego podstawiono. Oczywiście trzymają cię na muszce, ty nienawidzisz Imperium i całą duszą pragniesz, żeby przegrało, ja nabieram do ciebie zaufania i otwieram przed tobą swoje serce, a generał zaciera ręce z zadowolenia. Nic z tego, doktorku.

Tym niemniej ciekaw jestem jak chcesz udowodnić, że jesteś synem Onuma Barra, jego szóstym i najmłodszym synem — jedynym, który Wyszedł cało z masakry.

Ducemowi Barrowi drżała ręka, gdy otwierał płaskie, metalowe pudełko leżące we wnęce w ścianie. Wyjął stamtąd jakiś brzęczący przedmiot i rzucił handlarzowi.

— Spójrz na to — powiedział.

Devers dokładnie oglądał metalowy łańcuszek. Podniósł do oczu jego centralne, grubsze od innych ogniwo i cicho zaklął.

— Niech mnie przestrzeń pochłonie, jeśli to nie jest monogram Mallowa. Wzór sprzed pięćdziesięciu lat, to jasne jak słońce.

Podniósł głowę i uśmiechnął się.

— Daj grabę, doktorku. Atomowa tarcza w sam raz dla jednego człowieka to dowód, który mi wystarcza — powiedział i wyciągnął swą wielką dłoń.

Faworyt

Gdzieś z głębi przestrzeni wypłynęły niewielkie stateczki i rzuciły się w sam środek Armady. Nie oddając ani jednego strzału, kluczyły zwinnie między potężnymi statkami Imperium, a potem oddały salwę i rzuciły się do ucieczki. Cesarskie kosmoloty puściły się za nimi jak niezdarne bestie. Przestrzeń rozświetliły dwa bezgłośne błyski i dwa ze stateczków skurczyły się jak zwęglone liście i rozpadły na drobne szczątki w płomieniu jądrowej eksplozji.

Jeszcze przez pewien czas potężne liniowce przeczesywały przestrzeń, a potem wróciły do swoich zadań i zaczęły dalej snuć misterną sieć wokół Fundacji, zagarniając jeden świat po drugim.

Mundur Brodriga był okazały i świetnie uszyty. Jego właściciel nosił go też z odpowiednią godnością. Przechadzał się leniwie, z poważną miną, po ogrodach nieznanej mu planety, Wandy, gdzie mieścił się czasowo sztab główny.

Towarzyszył mu Bel Riose, odziany w przygnębiający swą czernią i szarością mundur polowy z rozpiętym kołnierzem.

Riose wskazał na gładką czarną ławkę stojącą pod roztaczającą przyjemną woń paprocią drzewiastą, której wielkie pierzaste liście wznosiły się w stronę białego słońca.

— Spójrz na to, panie. To pozostałość po Imperium. Ozdobne ławki, ustawione tu kiedyś dla zakochanych, trwają nadal i wyglądają jak nowe, podczas gdy fabryki i pałace zamieniły się w ruiny.

Siadł na ławce. Tajny Sekretarz Cleona II stał przed nim sztywno wyprostowany i ścinał liście z drzewa precyzyjnymi uderzeniami laski z kości słoniowej.

Riose założył nogę na nogę i poczęstował Sekretarza papierosem. Sam też wydłubał papierosa z paczki mówiąc:

— Znając wspaniałą mądrość Jego Imperatorskiej Mości, można się było spodziewać, że przyśle tak znającego się na rzeczy obserwatora, jak pan. Z prawdziwą przyjemnością stwierdzam, iż moje pewne obawy, że ważniejsze i pilniejsze sprawy usuną w cień moją skromną wyprawę na Peryferie, okazały się przedwczesne.

— Oczy Imperatora widzą wszystko — powiedział machinalnie Brodrig. — Bynajmniej nie lekceważymy tej wyprawy, jednak wydaje się, że obraz trudów z nią związanych jest przesadzony. Ich małe statki nie są z pewnością aż tak wielką przeszkodą, żebyśmy musieli wykonywać skomplikowany manewr zamknięcia przeciwnika.

Riose zarumienił się, ale nie dał się wytrącić z równowagi.

— Nie mogę narażać życia moich ludzi, których i tak nie jest zbyt wielu, ani ryzykować zniszczenia statków, których nie dałoby się niczym zastąpić, zaczynając zbyt wcześnie atak. Wykonanie

zamknięcia zmniejszy moje straty podczas ostatecznego ataku o trzy czwarte, bez względu na to, jak silny będzie opór wroga. Przemawiające za tym względy czysto wojskowej natury pozwoliłem sobie wyjaśnić panu wczoraj.

— No dobrze już, dobrze. Nie jestem wojskowym. W tym przypadku zapewnia mnie pan, że to, co wydaje się niewątpliwe i oczywiście słuszne, jest w istocie błędne. Przyjmiemy to wyjaśnienie. Jednak i tak jest pan przesadnie ostrożny. W swojej drugiej depeszy żądał pan posiłków. Posiłków przeciw słabym, ubogim barbarzyńcom, z którymi nie miał pan jeszcze wówczas nawet najmniejszej utarczki. Domaganie się posiłków w takiej sytuacji wskazywałoby na pana niedołęstwo lub nawet na coś gorszego, gdyby nie fakt, że dowiódł pan wcześniej, że ma odwagę i dość wyobraźni.

— Dziękuję panu — rzekł zimno generał — ale pozwolę sobie zauważyć, że odwaga nie oznacza ślepoty. Można zaryzykować i zdecydować się na ostateczne, rozstrzygające posunięcie, kiedy zna się przeciwnika i potrafi się chociaż w przybliżeniu obliczyć szansę wygranej, ale porywać się bez odpowiedniego przygotowania na wroga, którego się w ogóle nie zna, to odwaga dla samej odwagi. Równie dobrze mógłby pan się spytać, dlaczego człowiek, który w dzień swobodnie pokonuje tor przeszkód, w nocy potyka się o meble w swoim własnym pokoju.

Brodrig pomachał palcami, jakby opędzał się od słów Riose'a.

— Wyjaśnienie efektowne, ale nie przekonujące. Pan przecież był w tym ich barbarzyńskim świecie. W dodatku ma pan jeńca, tego handlarza. I nie znajduje się pan z nim w nocnej ciemności.

— Nie? Chciałbym, żeby pan zrozumiał, że świata, który przez dwa stulecia rozwijał się w zupełnej izolacji nie można w czasie miesięcznego w nim pobytu poznać na tyle, żeby można było wybrać skuteczną metodę jego podboju. Jestem żołnierzem, a nie, supermanem z jakiegoś trójwymiarowego komiksu. A pojedynczy jeniec, który w dodatku jest przedstawicielem grupy nie mającej ścisłych kontaktów z wrogim światem, nie może mi wydać ścisłych sekretów jego strategii.

— Badał go pan?

— Badałem.

— No i?

— Przydał się, ale nie na wiele. Statek ma mały, nie wart uwagi. Sprzedaje drobiazgi, owszem, interesujące, ale to wszystko. Mam kilka najbardziej przemyślnych i zamierzam je przesłać imperatorowi jako osobliwości. Jest, naturalnie, trochę spraw związanych z tym statkiem i jego funkcjonowaniem, których nie rozumiem, ale przecież nie jestem techmanem.

— Ale ma pan wśród swoich ludzi takich, którzy nimi są —

zwrócił mu uwagę Brodrig.

— Ja też wiem o tym — odparł nieco złośliwie generał. — Ale ci durnie musieliby się jeszcze dużo nauczyć, żeby spełnić moje żądania. Posłałem już po ludzi, którzy mogliby rozszyfrować zasady dziwnych obwodów pola, które są na tym statku. Dotąd nie mam żadnej wieści.

— Nie można się pozbywać ludzi tego rodzaju, generale. Musi przecież być wśród pana ludzi ktoś, kto się zna na atomistyce.

— Gdyby był, to poleciłbym mu naprawić dychawiczne silniki napędzające dwa z moich statków. Dwa z mojej skromnej dziesiątki, które nie mogą brać udziału w żadnej większej bitwie, bo nie mają dostatecznej mocy. Jedna piąta mojej floty jest skazana na ustawiczne ubezpieczanie tyłów.

Sekretarz niecierpliwie zatrzepotał palcami.

— Pod tym względem, generale, pana sytuacja wcale nie jest wyjątkowa. Imperator ma podobne kłopoty.

Generał odrzucił wymiętoszonego papierosa, którego nie zdążył nawet zapalić, wyjął nowego, zapalił i wzruszył ramionami.

— No cóż, brak techmanów z prawdziwego zdarzenia nie jest teraz sprawą najpilniejszą. Chociaż gdybym ich miał, to może sonda psychiczna byłaby we właściwym stanie i udałoby mi się wyciągnąć coś więcej z jeńca.

Sekretarz uniósł brwi w górę.

— Ma pan sondę?

— Starą. Wysłużone urządzenie, które zawiodło mnie akurat ten jeden jedyny raz, kiedy go potrzebowałem. Uruchomiłem ją, kiedy jeniec spał i nic nie uzyskałem. Tyle, jeśli chodzi o sondę. Próbowałem jej na swoich ludziach i działała zupełnie prawidłowo, ale tu znowu żaden z moich techmanów nie potrafił mi wyjaśnić, dlaczego zawiodła w przypadku jeńca. Ducem Barr, który jest dobrym teoretykiem, chociaż nie potrafi swojej wiedzy zastosować w praktyce, mówi, że sonda może nie działać na strukturę psychiczną jeńca, gdyż jest ona przystosowana do zupełnie innego środowiska i innych bodźców nerwowych. Nie wiem. Ale jeniec może się jeszcze przydać. Dlatego go oszczędziłem.

Brodrig wsparł się na lasce.

— Sprawdzę, czy nie można znaleźć fachowca w stolicy. A co z tym drugim, którego pan wspomniał? Z tym Siweńczykiem? Zbyt wielu wrogów jest u pana w łaskach.

— On zna naszego wroga. Tego również trzymam na wszelki wypadek. Jego pomoc może się przydać.

— Ale to Siweńczyk i syn wygnanego rebelianta.

— Jest stary i bezsilny, a poza tym mam jego rodzinę jako zakładników.

— Rozumiem. Ale myślę, że sam powinienem porozmawiać z tym

handlarzem.

— Oczywiście.

— Bez świadków — dodał zimno Sekretarz stawiając jasno sprawę.

— Oczywiście — powtórzył uprzejmie Riose. — Jako wierny poddany Imperatora, uznaję jego osobistego przedstawiciela za swego zwierzchnika. Ale ponieważ handlarz znajduje się w stałej bazie, musiałby pan opuścić front w interesującym momencie.

— Tak? Dlaczego w interesującym?

— Dlatego, że dzisiaj kończymy operację zamknięcia. Dlatego, że w tym tygodniu Dwudziesta Flota Pogranicza zacznie się posuwać w kierunku centrum oporu — powiedział z uśmiechem Riose i odwrócił się.

Brodrig czuł się w pewnym sensie pokonany.

Przekupstwo

Sierżant Mori Luk był idealnym żołnierzem. Pochodził z wielkich rolniczych planet z konstelacji Plejad. Dla ludzi stamtąd jedyną szansą uwolnienia się od wiecznej harówki, jaką jest praca na roli, było wstąpienie do wojska. Sierżant Mori Luk był typowym przedstawicielem tamtejszej społeczności. Na tyle pozbawiony wyobraźni, żeby nie odczuwać strachu w obliczu niebezpieczeństwa, był jednocześnie wystarczająco silny i zwinny, aby wyjść cało z każdej opresji. Wykonywał rozkazy bez chwili zwłoki, krótko trzymał podwładnych i bezgranicznie uwielbiał swego generała.

Przy tym wszystkim, był z natury pogodny. Jeśli obowiązki wymagały tego, zabijał bez wahania, ale też bez cienia nienawiści.

To, że sierżant Luk zapalił sygnał nad drzwiami, zanim wszedł do pokoju, świadczyło również o jego takcie, gdyż miał absolutne prawo wejść bez pukania.

Dwaj mężczyźni siedzący w pokoju podnieśli głowy znad talerzy. Jeden z nich wyłączył nogą poobijany kieszonkowy odtwarzacz, z którego płynął skrzeczący głos rozprawiający o czymś z wielkim zapałem.

— Książki? — spytał Lathan Devers. Sierżant wyjął ciasno zwiniętą rolkę filmu i podrapał się w głowę.

— To własność inżyniera Orre'a, ale on musi dostać to z powrotem.

Chce to posłać dzieciom, taki upominek, wiecie. Ducem Barr obracał z zainteresowaniem rolkę w ręku.

— A skąd inżynier to ma? On chyba nie ma odtwarzacza, co?

Sierżant stanowczo pokręcił głową. Wskazał na poobijany grat w nogach łóżka:

— To jedyny tutaj. Ten gość, to znaczy Orre, zabrał tę książkę z któregoś z tych zakichanych światów, które tu zajęliśmy. Trzymali to w takim osobnym wielkim budynku i musiał zabić paru krajowców, bo próbowali go powstrzymać.

Spojrzał na książkę z uznaniem.

— To będzie dobry prezent dla dzieci. Przerwał, a potem rzekł ściszonym głosem:

— Przy okazji, powiem wam nowinę. Jeszcze dokładnie nie wiem co i jak, ale to za dobre, żebym miał trzymać tylko dla siebie. Generał znowu to zrobił. — I pokręcił z zadowoleniem głową.

Tak? — rzekł Devers. — A co takiego zrobił?

— Po prostu zakończył zamykanie — sierżant zachichotał radośnie, jak ojciec, którego rozpiera duma z osiągnięć syna. — To jest gość, co? Ładnie to zrobił, może nie? Taki jeden tutaj, co umie

wstawiać fantastyczne gadki, mówi, że to poszło tak gładko i pięknie jak muzyka sfer, choć diabli wiedzą, co to takiego te sfery.

— Teraz zacznie się wielka ofensywa? — spytał łagodnym głosem Barr.

— No, myślę — odparł buńczucznie sierżant. — Teraz, kiedy moja ręka jest już w porządku, chcę się z powrotem znaleźć na swoim statku. Mam już dosyć siedzenia tu na wylocie.

— Ja też — syknął nagle Devers z nagłą złością, ale zaraz pożałował tego i ugryzł się w język.

Sierżant spojrzał na niego niepewnie i powiedział:

— Lepiej już pójdę. Zaraz ma obchód kapitan i wolę, żeby mnie tu nie zastał.

Zatrzymał się w drzwiach.

— Aha, proszę pana — zwrócił się do handlarza z nagłym i dziwnym onieśmieleniem. — Dostałem wiadomość od żony. Mówi, że ta mała zamrażarka, którą pan mi dał dla niej, działa. Nic ją to nie kosztuje, a trzyma tam cały miesięczny zapas jedzenia, i wszystko jest dokładnie zamrożone. Bardzo panu dziękuję.

— W porządku, nie ma za co.

Za szczerzącym zęby sierżantem zamknęły się bezgłośnie drzwi.

Ducem Barr podniósł się z krzesła.

— No, zrewanżował się za tę zamrażarkę. Zerknijmy na tę nową książkę. Ach, nie ma tytułu.

Odwinął dobry metr filmu i obejrzał pod światło.

— Niech mi wsadzą igłę w wylot, jak mówi sierżant. To jest „Summijski Ogród", Devers.

— Tak? — rzekł handlarz bez zainteresowania. Odsunął na bok resztki kolacji. — Usiądź Barr. Słuchanie tej staroświeckiej literatury nie poprawia mi humoru. Słyszałeś, co mówił sierżant?

— Tak, słyszałem. I co z tego?

— Zacznie się ofensywa. A my tu siedzimy!

— A gdzie chcesz siedzieć?

— Wiesz, o co mi chodzi. Z czekania nic nam nie przyjdzie.

— Nic? — Barr ostrożnie wyjął stary film z odtwarzacza i założył nowy. — Przez ostatni miesiąc opowiedziałeś mi kawał historii Fundacji. Zdaje mi się, że podczas ubiegłych kryzysów wasi wielcy przywódcy nie robili raczej nic innego, jak tylko siedzieli i… czekali.

— Ależ, Barr, oni wiedzieli, co robią.

— Wiedzieli? Myślę, że mówili tak, kiedy było już po wszystkim i z tego, co wiem, być może mówili prawdę. Ale nie można udowodnić, że sprawy nie potoczyłyby się tak samo, a może nawet lepiej, gdyby oni nie wiedzieli, co robią. Jednostki nie mają żadnego wpływu na działanie ukrytych mechanizmów gospodarczych i społecznych.

Devers uśmiechnął się drwiąco.

— Ale też nie można wykazać, że nie skończyłoby się gorzej. Odwracasz kota ogonem. — Zamyślił się. — Wiesz co, a gdybym go tak rąbnął?

— Kogo? Riose'a? — Tak.

Barr westchnął głośno. Przed jego oczyma przesunęły się wspomnienia z przeszłości. — Zabójstwo nie jest żadnym wyjściem, Devers. Kiedyś tego spróbowałem — zostałem sprowokowany. Miałem wtedy dwadzieścia lat. Ale to niczego nie rozwiązało. Uwolniłem Siwennę od jednego łotra, ale nie od jarzma Imperium, a naprawdę ważne było właśnie to jarzmo, a nie ten łotr.

— Ale Riose nie jest zwykłym łotrem. On to cała ta przeklęta armia. Bez niego pójdzie w rozsypkę. Trzymają się go za rękę jak dzieciaki. Ten sierżant wpada w zachwyt za każdym razem, kiedy wymienia jego nazwisko.

— Nie szkodzi. Są inne armie i inni dowódcy. Musisz szukać wyżej. Jest, na przykład, ten Brodrig. Nikt się nie cieszy takim zaufaniem imperatora jak on. Riose musi walczyć dziesięcioma statkami, a on mógłby mieć ich setki. Znam go ze słyszenia.

— Tak? No i co powiesz o nim? — ożywił się handlarz. W miejsce przygnębienia pojawiło się wyraźne zainteresowanie.

— Chcesz usłyszeć krótką charakterystykę? To drań z dołów społecznych, który ciągłymi pochlebstwami i zaspokajaniem kaprysów imperatora wkradł się w jego łaski. Jest znienawidzony przez arystokrację, też zresztą niezłych łotrów, bo nie może się wykazać ani urodzeniem, ani pokorą. Jest doradcą imperatora we wszystkim i jego narzędziem w najbardziej nikczemnych poczynaniach. Jest zdrajcą z własnego wyboru, ale wiernym sługą — z konieczności. Nie ma w Imperium człowieka, którego łotrostwa byłyby równie wyrafinowane, a uciechy równie wulgarne. Powiadają, że do imperatora można się dostać tylko przez niego, a do niego tylko przez podłość.

— Oho! — Devers w zamyśleniu skubał brodę. — I to właśnie jego przysłał tutaj imperator, żeby miał oko na Riose'a. Mam pomysł, wiesz?

— Teraz już wiem.

— Przyjmijmy, że ten Brodrig nabierze niechęci do naszego pupilka.

— Prawdopodobnie już jej nabrał. Nie słyszano jeszcze, żeby poczuł do kogoś sympatię.

— Przypuśćmy, że sprawy nie układają się pomyślnie. Mógłby się o tym dowiedzieć imperator, a wtedy Riose mógłby się znaleźć w tarapatach.

— Tak, tak, to zupełnie możliwe. Ale jak masz zamiar doprowadzić do tego?

— Jeszcze nie wiem. Chyba można go przekupić? Patrycjusz

roześmiał się szczerze.

— Tak, w pewnym sensie, ale nie w taki sposób, jak przekupiłeś tego sierżanta, nie zamrażarką. Zresztą, nawet gdyby ci się udało sprostać jego wymaganiom, to i tak niewiele by to dało. Prawdopodobnie nikogo nie można tak łatwo przekupić jak jego, ale on nawet w tym nie przestrzega zasad gry. Pieniądze weźmie chętnie, ale nic nie zrobi. Bez względu na sumę. Pomyśl o czymś innym.

Devers zarzucił nogę na nogę i zaczął kołysać stopą.

— To tylko pierwszy, luźny pomysł… Przerwał, bo znowu zapaliło się światło nad drzwiami i w progu jeszcze raz stanął sierżant. Zdradzał wyraźnie podniecenie, twarz miał przejętą i poważną.

— Proszę pana — zaczął, starając się okazać szacunek — jestem bardzo wdzięczny za tę zamrażarkę… i zawsze odnosił się pan do mnie tak uprzejmie, chociaż jestem synem chłopa, a wy jesteście wielkimi panami.

Niepostrzeżenie przeszedł na gwarę plejadzką, tak — że ledwie można było go zrozumieć. Pod wpływem podniecenia jego tak uporczywie ćwiczona postawa żołnierska nagle gdzieś się zapodziała i oto stał przed nimi typowy wieśniak.

— O co chodzi, sierżancie? — spytał łagodnie Barr.

— Lord Brodrig przybywa tu, aby was zobaczyć. Jutro! Wiem, bo kapitan polecił mi przygotować żołnierzy na jego powitanie. Pomyślałem, że warto was ostrzec.

— Dziękujemy, sierżancie — rzekł Barr. Doceniamy to. Ale nic się nie stało, nie ma potrzeby…

Wyraz twarzy sierżanta Luka zdradzał strach. Rzekł ochrypłym szeptem:

— Nie znacie tego, co ludzie o nim mówią. On się zaprzedał diabłu przestrzeni. Nie śmiejcie się. Krążą o nim straszne opowieści. Mówią, że ma ludzi z miotaczami, którzy chodzą za nim krok w krok i kiedy chce się zabawić, to po prostu każe im strzelać do pierwszego, który się nawinie. I oni to robią… a on się śmieje. Mówią, że boi się go nawet imperator i że on zmusza imperatora do podnoszenia podatków i nie pozwala mu słuchać skarg ludu. I mówią, że nienawidzi generała. Mówią, że chce zabić generała, bo generał jest taki potężny i taki mądry. Ale nie może, bo nasz generał nie ma równego sobie przeciwnika i wie, że lord Brodrig to zły człowiek.

Sierżant zamrugał oczami, uśmiechnął się niepewnie, jakby wstydząc się swego wybuchu i podszedł do drzwi. Pokręcił głową.

— Zapamiętajcie moje słowa. Strzeżcie się go. Wyszedł.

Devers spojrzał na Barra. Wzrok miał twardy.

— To nam na rękę, co, doktorku?

— To zależy — odparł sucho Barr — od Brodriga, co?

Ale Devers nie słuchał. Myślał intensywnie.

Lord Brodrig pochylił głowę wchodząc do ciasnej części mieszkalnej statku handlowego. Za nim weszło szybko dwóch uzbrojonych ludzi z jego ochrony osobistej, z wyciągniętymi miotaczami i zawodowo groźnymi minami wynajętych zbirów.

W tej chwili Tajny Sekretarz nie przypominał człowieka, który sprzedał swą duszę. Jeśli kupił go diabeł przestrzeni, to na pewno nie opatrzył go żadnym widocznym znakiem swego posiadania. Lord Brodrig wyglądał raczej na wykwintnisia, który wniósł ze sobą powiew mody dworskiej ożywiający surową, nagą brzydotę bazy wojskowej.

Sztywne, proste linie jego błyszczącego, nieskazitelnego munduru sprawiały, że wydawał się bardzo wysoki. Z owej sztucznej wysokości wzdłuż pochyłości długiego nosa spoglądały na handlarza zimne, nieczułe oczy. Wokół przegubów jego rąk powiewały perłowe, przeźroczyste jak mgiełka koronkowe mankiety, gdy wykwintnym ruchem postawił swą laskę z kości słoniowej na ziemi i wsparł się na niej.

— Nie — powiedział, wykonawszy lekki ruch dłonią — pozostaniesz tutaj. Zapomnij o swoich zabawkach, nie interesują mnie.

Wysunął krzesło, przetarł je dokładnie kawałkiem mieniącej się tkaniny przymocowanej do rączki laski i usiadł na nim. Devers spojrzał na drugie krzesło, ale Brodrig rzekł leniwie:

— Będziesz stał w obecności para Imperium.

I uśmiechnął się. Devers wzruszył ramionami.

— Jeśli nie interesuje cię mój towar, to po co tu jestem potrzebny?

Tajny Sekretarz milczał wymownie, więc Devers dodał wolno:

— Panie.

— Po to, żeby uniknąć rozgłosu — rzekł sekretarz. — Myślisz, że przebyłbym dwa tysiące parseków po to, żeby obejrzeć świecidełka? To ciebie chciałem zobaczyć — wyjął różową pastylkę z ozdobnego pudełka i delikatnie włożył do ust. Ssał ją wolno i z wyraźnym smakiem.

— Na przykład — rzekł — kim jesteś? Czy rzeczywiście jesteś obywatelem tego barbarzyńskiego świata, który budzi tyle emocji i stał się przyczyną tego wojennego obłędu?

Devers poważnie skinął głową.

— I zostałeś naprawdę schwytany przez niego po wszczęciu tej sprzeczki, którą on nazywa wojną? Mówię o naszym młodym generale.

Devers ponownie potwierdził skinieniem głowy.

— Ach tak! Bardzo dobrze, mój drogi cudzoziemcze. Widzę, że nie jesteś zbyt rozmowny. Pomogę ci. Wydaje się, że nasz generał prowadzi ewidentnie bezsensowną wojnę, zużywając na to

przerażające ilości energii… i to dla zdobycia jakiegoś zapomnianego przez ludzi niewielkiego świata gdzieś na końcu nicości, dla kawałka ziemi, który dla logicznie myślącego człowieka nie wart byłby jednego wystrzału z miotacza. A przecież generał nie jest idiotą. Przeciwnie, rzekłbym, że jest nadzwyczaj inteligentny. Rozumiesz mnie?

— Nie mogę tego powiedzieć, panie. Sekretarz obejrzał dokładnie swoje paznokcie i powiedział:

— Wobec tego słuchaj dalej. Generał nie traciłby ludzi i statków dla czczej sławy. Wiem, że mówi o sławie i honorze Imperium, ale jest oczywistym, że nie chodzi tu o pragnienie dorównania dumnym półbogom z zamierzchłych bohaterskich czasów.

On pragnie czegoś więcej niż sławy… a przy tym przejawia on dziwną, zbyteczną troskę o ciebie. Otóż, gdybyś był moim jeńcem i powiedział mi tak niewiele, jak powiedziałeś jemu, to kazałbym ci rozpruć brzuch i owinąć cię twoimi własnymi flakami.

Devers nawet nie mrugnął powieką. Jego wzrok przesunął się wolno na jednego, potem na drugiego z goryli sekretarza. Zdawali się tylko czekać, byli gotowi, piekielnie gotowi.

Sekretarz uśmiechnął się.

— No, Devers, milczysz, ale siedzi w tobie diabeł. Według naszego generała, nawet sonda psychiczna nie wywarła na tobie wrażenia. To był błąd z jego strony, bo utwierdziłem się w przekonaniu, że nasz wojskowy narwaniec kłamie.

Sekretarz wydawał się mieć świetny humor.

— Mój ty uczciwy handlarzu — powiedział — ja mam swoją własną sondę psychiczną, taką, która powinna szczególnie poskutkować w twoim przypadku. Widzisz to…

Między kciukiem a palcem wskazującym prawej ręki sekretarza pojawiły się, niedbale trzymane, różowo-żółte prostokąciki o zawiłym wzorze, których przeznaczenie było całkowicie oczywiste.

— Wygląda to na pieniądze — powiedział Devers.

— To są pieniądze… najlepsze pieniądze w Imperium, bo mają pokrycie w moich dobrach, które są większe niż dobra cesarza. Sto tysięcy kredytów. Tutaj! Między tymi dwoma palcami! Są twoje!

— Za co, panie? Jestem niezłym handlarzem, ale każdy handel odbywa się w dwie strony.

— Za co? Za prawdę! Czego chce generał? Dlaczego prowadzi tę wojnę?

Lathan Devers westchnął i pogładził w zamyśleniu brodę.

— Czego chce? — Jego wzrok wędrował za ruchami ręki sekretarza liczącego wolno, banknot po banknocie, pieniądze, — Krótko mówiąc, Imperium.

— Hmm! Jakie to proste. W końcu zawsze przychodzi do tego. Ale jak? Jakaż to szeroka i tak zachęcająca droga prowadzi z krańca

Galaktyki na szczyt Imperium?

— Fundacja — rzekł cierpko Devers — ma swoje sekrety. Mają księgi, stare księgi — tak stare, że język, w którym są napisane, zna tylko kilka najwyżej postawionych osób. Ale by dotrzeć do tych sekretów, trzeba się przedrzeć przez otoczkę religijnego rytuału, a poza tym nikt nie może tej wiedzy zastosować w praktyce. Ja próbowałem to zrobić i teraz jestem tutaj, a tam czeka na mnie kara śmierci.

— Rozumiem. A co to za sekrety? No dalej, za sto tysięcy kredytów mogę chyba poznać szczegóły.

— To sekret transmutacji pierwiastków — powiedział krótko Devers.

Oczy sekretarza zwęziły się i nie patrzyły już tak obojętnie.

— Mówiono mi, że zgodnie z prawami atomistyki transmutacja jest praktycznie niemożliwa.

— Tak, jeśli używa się energii jądrowej. Ale starożytni byli niezłymi spryciarzami. Są źródła energii potężniejsze niż atom. Gdyby Fundacja sięgnęła do tych źródeł, jak sugerowałem…

Deversowi żołądek podszedł do gardła. Spławik tańczył po wodzie — ryba szczypała przynętę.

— Mów dalej — rzekł nagle sekretarz. — Jestem pewien, że generał doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Ale co zamierza zrobić, kiedy już zakończy tę operetkową wojnę?

Głos Deversa był twardy jak skała:

— Transmutacja da mu kontrolę nad całą strukturą gospodarczą Imperium. Kopalnie minerałów staną się guzik warte, kiedy Riose będzie mógł otrzymać tungsten z aluminium albo iryd z żelaza. Cały system produkcji opierający się na niedostatku pewnych pierwiastków i nadmiarze innych ulegnie rozprzężeniu. Nastanie taki chaos, jakiego Imperium jeszcze nie widziało i tylko Riose będzie w stanie przywrócić porządek. No i jest jeszcze sprawa tej nowej energii, o której wspomniałem, a z której Riose będzie mógł korzystać bez obawy wzbudzenia histerii religijnej.

Teraz nic go już nie powstrzyma. Złapał Fundację za kark i nim miną dwa lata, zostanie imperatorem.

— A więc to tak — Brodrig roześmiał się lekko. — Iryd z żelaza, tak chyba powiedziałeś? Słuchaj, zdradzę ci tajemnicę państwową. Czy wiesz, że Fundacja już się skontaktowała z generałem?

Devers zesztywniał.

— Wyglądasz na zaskoczonego. Dlaczego? Teraz wydaje się to układać w logiczną całość. Zaproponowali sto ton irydu rocznie w zamian za pokój. Sto ton żelaza przemienionego w iryd z pogwałceniem zasad ich religii dla ocalenia własnej szyi. Ładna oferta, ale nic dziwnego, że nasz nieprzekupny generał odmówił, skoro może

mieć i iryd, i Imperium. A biedny Cleon nazwał go swym jedynym uczciwym generałem. No, mój brodaczu, zasłużyłeś na zapłatę.

Rzucił pieniądze i Devers puścił się w pogoń za fruwającymi banknotami.

Lord Brodrig odwrócił się w drzwiach.

— Jeszcze jedno, handlarzu. Ci dwaj tutaj, z miotaczami, towarzysze moich zabaw, nie mają ani słuchu, ani daru wymowy, ani wykształcenia, ani inteligencji. Nie słyszą, nie mówią, nie piszą i nawet sonda psychiczna nic by z nich nie wyciągnęła. Ale są za to ekspertami od ciekawych egzekucji. Kupiłem cię za sto tysięcy kredytów. Będziesz dobrym i wartościowym nabytkiem. Gdybyś jednak kiedyś zapomniał, że cię kupiłem i spróbował… powiedzmy… powtórzyć naszą rozmowę Riose'owi, to koniec z tobą. Ale ten koniec ja sam obmyślę.

Na jego delikatnej twarzy pojawił się nagle wyraz bezwzględnego okrucieństwa, który zmienił wystudiowany uśmiech w przerażający grymas. Przez ułamek sekundy Deversowi wydawało się, że diabeł przestrzeni, kupiec jego kupca, wygląda mu z oczu.

Czując lufy miotaczy „towarzyszy zabaw" Brodriga miedzy żebrami, ruszył w milczeniu do swojej kabiny.

Na pytanie Ducema Barra odpowiedział z wyraźną satysfakcją:

— Najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że to o n przekupił mnie.

Dwa miesiące trudnej wojny pozostawiły swój ślad na Bel Riosie. Był niesamowicie poważny i łatwo wybuchał gniewem. Do wpatrzonego weń jak w obraz sierżanta Luka rzekł z wyraźnym zniecierpliwieniem:

— Zaczekacie na zewnątrz, żołnierzu, i odprowadzicie tych ludzi z powrotem do ich kabiny, kiedy skończę. Nikt nie może wejść bez mojego wezwania. Zupełnie nikt, zrozumiano?

Sierżant zasalutował i sztywnym krokiem wyszedł z pokoju, a generał mrucząc coś pod nosem z obrzydzeniem zgarnął czekające na załatwienie papiery z biurka do szuflady i zatrzasnął ją.

— Siadajcie — rzekł krótko do stojącej przed nim pary. — Nie mam dużo czasu. Dokładniej mówiąc, w ogóle nie powinno mnie tu być, ale musiałem się z wami zobaczyć.

Zwrócił się do Barra, który z zainteresowaniem gładził swymi długimi palcami kryształowy sześcian z umieszczoną wewnątrz podobizną surowej, pobrużdżonej twarzy Jego Imperatorskiej Mości, Cleona II.

— Przede wszystkim, patrycjuszu — powiedział — pański Seldon przegrywa. Z pewnością, bije się dobrze, bo ludzie z Fundacji kręcą się wokół mnie jak rozwścieczone pszczoły i walczą jak szaleńcy. Każda planeta broni się zaciekle, a kiedy którąś zdobędziemy, to zaraz

wybucha powstanie, tak że równie trudno jest ją utrzymać, jak zdobyć. Ale zdobyliśmy je i trzymamy. Pański Seldon przegrywa.

— Ale jeszcze nie przegrał — mruknął Barr.

— Fundacja ma mniej optymizmu. Dają mi miliony, żebym tylko nie wystawiał, tego Seldona na ostateczną próbę.

— Tak wieść niesie.

— Ach, więc wieści docierają tu przede mną. Najświeższe też już dotarły?

— A jakie to wieści?

— A takie, że lord Brodrig, ulubieniec cesarza, został, na swoje własne życzenie, moim zastępcą.

Po raz pierwszy odezwał się Devers.

— Na własne życzenie, szefie? Jak to możliwe? Czyżbyś zaczynał lubić tego faceta? — zachichotał.

— Nie, nie powiem, żeby tak się stało — odparł spokojnie Riose. — Ale po prostu kupił sobie tę funkcję za godziwą, jak sądzę, zapłatę.

— A mianowicie?

— A mianowicie za skierowanie do imperatora prośby o posiłki.

Devers uśmiechnął się szyderczo.

— Skontaktował się z imperatorem, ha? I wyobrażam sobie, szefie, że teraz czekacie na posiłki, które przyjdą lada dzień. Mam rację?

— Nie! Już nadeszły. Pięć pięknych liniowców, z osobistymi gratulacjami od imperatora. Reszta jest w drodze. Coś się stało, handlarzu? — spytał z drwiną w głosie.

— Nie — odparł Devers, z trudem poruszając nagle zesztywniałym językiem.

Riose wyszedł zza biurka i zajrzał z bliska w twarz handlarzowi, kładąc dłoń na kolbie miotacza.

— Pytam, co się stało, handlarzu? Wydaje się, że ta wiadomość zaniepokoiła cię. Chyba nie poczułeś nagłego przypływu zainteresowania Fundacją?

— Nie poczułem.

Taaak… Są w twojej postawie pewne niejasne punkty.

— Naprawdę, szefie? — Devers uśmiechnął się sztywno i zacisnął pięści, ale nie wyjął rąk z kieszeni. — Ustaw je rzędem, a obalę je za jednym zamachem.

— Proszę bardzo. Ujęliśmy cię bez trudu. Poddałeś się po pierwszym strzale, ze spaloną osłoną. Jesteś gotowy zdradzić swój świat, i to bez zapłaty. To ciekawe, co?

— Najbardziej mi pasuje, żeby znaleźć się po tej stronie, która wygrywa. Jestem rozsądnym człowiekiem, sam mnie tak nazwałeś.

— Zgoda! — rzekł Riose ochrypłym głosem. — Ale od tamtej pory nie schwytaliśmy żadnego handlarza. Każdy spotkany przez nas statek

handlowy miał dość szybkości, żeby uciec, jeśli jego załoga tego chciała. Każdy statek handlowy miał ekran, który mógł zatrzymać całą salwę z lekkiego krążownika, jeśli załoga zdecydowała się przyjąć walkę. I każdy handlarz walczył na śmierć i życie, jeśli zaistniała odpowiednia sytuacja. Co więcej, okazało się, że to handlarze przewodzą powstańcom na okupowanych planetach i że to oni inicjują wypady w okupowaną przez nas przestrzeń.

A więc jesteś jedynym rozsądnym handlarzem? Ani nie walczysz, ani nie uciekasz, za to, bez żadnego nalegania z naszej strony, zostajesz zdrajcą. Jesteś wyjątkiem, zadziwiającym… a prawdę powiedziawszy, podejrzanym wyjątkiem.

— Wiem, co masz na myśli — rzekł cicho Devers — ale nie możesz mi nic zarzucić. Jestem tu już pół roku i jestem grzeczny.

— Istotnie, toteż odpłaciłem ci dobrym traktowaniem. Twój statek jest w nienaruszonym stanie, a z tobą samym obchodziłem się dobrze pod każdym względem. Mimo to, zawiodłem się na tobie. Mogłyby mi się, na przykład, przydać szczegółowe informacje o przyrządach, którymi handlujesz. Zasady fizyki jądrowej, według których je zbudowano, są, zdaje się, wykorzystywane również w konstrukcji najgroźniejszych broni Fundacji. Zgadza, się?

— Jestem tylko handlarzem — powiedział Devers — a nie jednym z tych ważnych inżynierów. Sprzedaję towar, nie robię go.

— O tym się niedługo przekonamy. Właśnie po to tu przybyłem. Twój statek zostanie przeszukany w celu stwierdzenia, czy nie ma na nim osobistego ekranu. Nigdy takiego nie nosiłeś, ale mają je wszyscy żołnierze Fundacji. Jeśli go znajdziemy, to będzie to dowód, że jednak mogłeś, lecz nie chciałeś dostarczyć mi pewnych informacji. Zgadza się?

Devers nie odpowiedział, więc Riose mówił dalej:

— Uzyskamy też bardziej bezpośredni dowód.

Mam tu ze sobą sondę psychiczną. Pierwsza próba nie powiodła się, ale kontakt z wrogiem jest dobrą szkołą.

Ostatnie słowa generał wyrzekł groźnym tonem i w tej samej chwili Devers poczuł między żebrami lufę jego miotacza.

— Zdejmij bransoletkę i wszystkie inne metalowe ozdoby i oddaj mi. Powoli! Widzisz, pola atomowe można odkształcać, a sondy psychiczne mogą skutecznie działać tylko w polu statycznym. W porządku. Wezmę to.

Odbiornik na biurku generała rozjarzył się i w jego otworze, obok którego stał Barr z dłonią spoczywającą na trójwymiarowym popiersiu cesarza, pojawiła się kapsuła z depeszą.

Riose cofnął się za biurko z miotaczem gotowym do strzału. — Pan też, patrycjuszu — rzekł do Barra. — Zdradza pana bransoletka na ręku. Jednak wcześniej pomógł mi pan, a ja nie jestem mściwy, więc o

losie pańskiej rodziny zadecyduje wynik sondowania.

Generał schylił się, aby wziąć kapsułkę, a wtedy Barr uniósł do góry zamknięte w krysztale popiersie Cleona II i z całym spokojem spuścił je na jego głowę.

Odbyło się to tak szybko, że Devers nie zdążył nawet mrugnąć okiem. W starca jakby nagle wstąpił diabeł.

— Uciekamy! — rzucił Barr przez zaciśnięte zęby. — Szybko! — Chwycił miotacz, który wysunął się Riose'owi z ręki i schował go za swą bluzę.

Sierżant Luk obrócił się na skrzypnięcie drzwi, w których pojawili się Barr i Devers. Barr rzekł swobodnym tonem:

— Prowadź, sierżancie. Devers zamknął drzwi.

Sierżant w milczeniu wiódł ich do kabiny, gdzie zatrzymał się, lecz po chwili ruszył dalej, bo poczuł pod żebrem lufę miotacza i usłyszał „Do statku handlarza".

Devers wysunął się do przodu, aby otworzyć luk powietrzny, a Barr powiedział:

— Nie ruszaj się, Luk. Zachowywałeś się przyzwoicie, więc nie chcielibyśmy cię zabijać.

Ale w tej samej chwili sierżant rozpoznał monogram wyryty na miotaczu. Krzyknął zduszonym głosem: — Zabiliście generała!

Z dzikim, nieartykułowanym rykiem skoczył wprost na ziejący ogniem miotacz i na ziemię osunęły się jego zwęglone szczątki.

Kiedy zaczęły migotać światła sygnalizacyjne, statek handlarza unosił się już ponad martwą powierzchnią planety. Na mlecznym tle widniejącej na niebie wielkiej soczewki, która była Galaktyką, pojawiły się czarne kształty.

— Trzymaj się, Barr — rzekł z zaciętą miną Devers. — Zobaczymy, czy zdołają dogonić mój statek.

Dobrze wiedział, że nie zdołają. A kiedy znaleźli się już w otwartej przestrzeni, powiedział głuchym i jakby nieswoim głosem:

— Trochę przedobrzyłem z Brodrigiem. Zdaje się, że skumał się z generałem.

Pędzili w głąb masy gwiazd tworzących Galaktykę.

Ku Trantorowi

Devers nachylił statek ku powierzchni małej, martwej planety, wypatrując śladów życia. Promień detektora kierunkowego wolno i dokładnie przeczesywał przestrzeń.

Barr cierpliwie obserwował ekran ze swej niskiej koi w kącie kabiny. — Nie widać ich już? — spytał.

— Chłopców z Imperium? Nie — mruknął handlarz z wyraźną irytacją. — Już dawno zostawiliśmy tych niedojdów za sobą. Na Galaktykę! Mamy szczęście, że przy tych skokach na ślepo przez nadprzestrzeń nie wylądowaliśmy w środku jakiegoś słońca. Nie mogliby nas złapać, nawet gdyby mieli większy zasięg niż my, a nie mają.

Poprawił się w fotelu i szarpnięciem rozluźnił kołnierz.

— Nie wiem, co ci chłopcy z Imperium tutaj robili. Zdaje mi się, że są luki w tej sieci.

— Domyślam się zatem, że chcesz się dostać do Fundacji.

— Wywołuję Związek… a przynajmniej próbuję to zrobić.

— Jaki związek?

— Związek Niezależnych Handlarzy. Nigdy o nim nie słyszałeś, co? Nie ty jeden. Jeszcze nie pokazaliśmy, na co nas stać!

Przez chwilę nie odzywali się, skupiając uwagę na Kontroli Odbioru. Potem Barr spytał:

— Jesteś w ich zasięgu?

— Nie wiem. Nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie się znajdujemy. Nie mogę się zorientować z wyliczenia. Właśnie dlatego muszę korzystać z detektora kierunkowego. To może trwać lata.

— Czy to nie to? — wskazał palcem Barr. Devers skoczył i założył słuchawki. We wnętrzu małej ciemnej kuli pojawił się świecący biały punkcik.

Przez pół godziny Devers starał się podtrzymać nikłą, słabą nitkę połączenia, biegnącą w nadprzestrzeni między dwoma punktami leżącymi od siebie w odległości, na przebycie której powolne światło potrzebowałoby pięciuset lat.

W końcu dał za wygraną i wyprostował się. Podniósł głowę i odsunął słuchawki.

— Zjedzmy coś, doktorku. Jeśli masz na to ochotę, to jest tu prysznic, ale nie licz na gorącą wodę.

Kucnął przed jedną z szafek ciągnących się wzdłuż ściany kabiny i zaczął przeglądać jej zawartość.

— Mam nadzieję, że nie jesteś jaroszem?

— Jestem wszystkożerny — odparł Barr. — Ale co ze Związkiem? Połączenie się urwało?

— Na to wygląda. To duża odległość, trochę za, duża na mój zakres. Zresztą, to nieważne. Wiem już wszystko, co trzeba.

Wyprostował się i postawił na stole dwa metalowe pojemniki.

— Zaczekaj pięć minut, a potem otwórz naciskając kontakt. W środku jest talerz, jedzenie i widelec… poręczna rzecz, bo kiedy człowiek się spieszy, nie zawraca sobie głowy takimi drobiazgami jak serwetki. Myślę, że jesteś ciekaw, czego dowiedziałem się od Związku.

— Jeśli to nie tajemnica… Devers pokręcił głową.

— Przed tobą nie muszę jej kryć. Riose mówił prawdę.

— O propozycji okupu?

— Hmm. Proponowali mu, ale odmówił. Sprawy źle stoją. Toczą się walki wokół zewnętrznych słońc Loris.

— Loris leży blisko od Fundacji?

— Co? Ach racja, nie wiesz. To jedno z dawnych Czterech Królestw. Można ją nazwać wewnętrzna linią obrony. Ale nie to jest najgorsze Walczyli z tak dużymi statkami, jakich dotąd jeszcze nie widzieli.

To znaczy, że Riose nie udawał. On naprawdę otrzymał nowe statki. Brodrig trzyma jego stronę, a ja wszystko popsułem.

Z przygnębioną miną nacisnął przycisk pojemnika z żywnością i patrzył, jak otwiera się jego wieko. Po kabinie rozszedł się zapach pieczonego mięsa. Ducem Barr zajęty już był jedzeniem.

— No to na razie koniec z improwizacją — rzekł Barr. — Tutaj nie możemy nic zrobić. Nie możemy się przedrzeć przez kordon wojsk Riose'a do Fundacji. Pozostaje nam tylko jedno rozsądne wyjście — siedzieć i cierpliwie czekać. Myślę jednak, że skoro Riose dotarł już do wewnętrznej linii obrony, to czekanie nie potrwa długo.

Devers odłożył widelec. — Czekać, tak? — warknął z groźną miną. — To dobre dla ciebie. Ty nic nie tracisz.

— Nic? — Barr uśmiechnął się blado.

— Nic. Chcesz, to ci powiem — Devers zdenerwował się nie na żarty. — Mam już dosyć przyglądania się tej całej sprawie, jakby to był jakiś preparat pod mikroskopem. Gdzieś tam umierają moi przyjaciele, cały świat, moja ojczyzna kona. Ty jesteś obcy. Ciebie to nie obchodzi.

— Patrzyłem na śmierć przyjaciół Barr przymknął oczy, a jego ręce leżały bezwładnie na stole. — Jesteś żonaty?

— Handlarze nie żenią się.

— Mam dwóch synów i siostrzeńca. Zostali ostrzeżeni, ale z pewnych względów nie mogli nic przedsięwziąć. Nasza ucieczka oznacza dla nich śmierć. Mam nadzieję, że przynajmniej córce i wnukom udało się już opuścić planetę, ale i tak zaryzykowałem więcej i straciłem więcej niż ty.

To, co powiedział Devers, zabrzmiało okrutnie.

— Wiem. Ale to był twój wybór. Mogłeś trzymać spółkę z generałem. Nie prosiłem cię o to.

Barr pokręcił głową.

— Nie mam wyboru, Devers. Możesz być spokojny — nie narażałbym dla ciebie moich synów na śmierć. Współpracowałem z Riose'm tak długo, jak mogłem. Aż do czasu, kiedy zjawił się z tą sondą.

Siweńczyk otworzył oczy. Malował się w nich głęboki ból.

— Pewnego razu zjawił się u mnie Riose. Było to rok temu. Mówił o kulcie, którym otacza się „magów", ale nie znał prawdy. To nie jest kult. Widzisz, Siwenna już czterdzieści lat jęczy w stalowym uścisku tego kolosa, który teraz zagraża twemu światu. Wybuchło i zostało zduszonych pięć powstań. Potem odkryłem dawne zapiski Hariego Seldona… i powstał ten „kult". Trwa w gotowości i czeka.

Czeka na przybycie „magów" i na odpowiednią chwilę. Tym, którzy czekają, przewodzą moi synowie. To jest ten sekret, który musiałem uchronić przed sondą. I dlatego moi synowie muszą zginąć jako zakładnicy, bo w przeciwnym wypadku zginęliby jako rebelianci, a z nimi pół Siwenny. Widzisz więc, że nie miałem wyboru. I nie jestem obcym.

Devers spuścił wzrok, a Barr mówił dalej:

To ze zwycięstwem Fundacji Siwenna wiąże swoje nadzieje. To dla zwycięstwa Fundacji poświęciłem swych synów. A Hart Seldon nie przewidział w swych obliczeniach nieuchronnego zwycięstwa Siwenny, lecz zwycięstwo Fundacji. Nie jestem pewien, jaki los czeka mój naród… mam tylko nadzieję.

— A jednak zadowala cię czekanie. Nawet teraz, kiedy flota Imperium jest już na Loris.

— Czekałbym z niezachwianą wiarą w zwycięstwo — odparł Barr — nawet gdyby wylądowali na samym Terminusie.

Handlarz zmarszczył czoło i rzekł bezradnie:

— Nie wiem. Przecież to nie może działać w ten sposób, to nie magia. Psychohistoria czy nie, faktem jest, że oni są strasznie silni, a my słabi. I co tu może zrobić Seldon?

— Nie ma nic do zrobienia. Wszystko zostało już zrobione. A teraz nadchodzi. To, że nie słyszysz turkotu kół i bicia w dzwony, wcale nie oznacza, że coś się zepsuło. To absolutnie pewne.

— Być może, ale wolałbym, żebyś wtedy roztrzaskał Riose'owi czaszkę na dobre. On jest groźniejszym wrogiem niż cała jego armia.

— Żebym roztrzaskał mu czaszkę? I żeby jego miejsce zajął Brodrig? — twarz patrycjusza wykrzywiła nienawiść. — Zapłaciłaby za to cała Siwenna. Brodrig już dawno pokazał, na co go stać. Jest taki świat, gdzie pięć lat temu zabito co dziesiątego mężczyznę, za to tylko, że nie mogli zapłacić zbyt dużych podatków. A podatki ściągał

właśnie Brodrig. Nie, lepiej, że Riose żyje. W porównaniu z tym, co robi Brodrig, jego zemsta to dobrodziejstwo.

— Ale siedzieć pół roku w bazie wroga i nic nie wskórać! Pół roku bez żadnego wyniku!

Devers zacisnął swe potężne dłonie, aż chrupnęło. — Bez ładnego wyniku!

— Zaraz, zaczekaj. Przypomniałeś mi o czymś… — Barr sięgnął do kieszeni. — Może to jest jakiś wynik — rzekł i rzucił na stół małą metalową kulkę.

Devers złapał ją.

— Co to jest?

— Kapsułka z depeszą. Ta, którą otrzymał Riose, zanim go rąbnąłem. Czy można to uważać za jakiś wynik?

— Nie wiem. Zależy od tego, co jest w środku — Devers usiadł i zaczął ją ostrożnie obracać w dłoni.

Kiedy Barr wyszedł spod zimnego prysznica wprost w przyjemny strumień ciepłego powietrza bijący z suszarki, zastał Deversa pochylonego w skupieniu nad warsztatem.

Siweńczyk spytał, masując ciało miarowymi uderzeniami dłoni:

— Co robisz?

Devers uniósł głowę. Na brodzie osiadły mu krople potu.

— Mam zamiar otworzyć kapsułkę.

— Potrafisz ją otworzyć bez linii papilarnych Riose'a? — w glosie Siweńczyka brzmiało zdziwienie.

— Jeśli nie otworzę, to wycofuję się ze Związku i już do końca życia nie zasiądę za sterami statku. Zrobiłem trójkierunkową analizę elektroniczną wnętrza i mam tu takie przyrządziki, o których nigdy nie słyszano w Imperium… specjalnie zrobione dla otwierania cudzych kapsułek. Widzisz, przedtem byłem włamywaczem. Handlarz musi znać się na wszystkim po trochu.

Pochylił się nisko nad kapsułką i zaczął ją delikatnie badać jakimś małym, płaskim przyrządem, który przy każdym zetknięciu z jej powierzchnią iskrzył czerwono.

— W każdym razie, to toporna robota — powiedział. — Chłopcy z Imperium to partacze. To widać. Widziałeś kiedy kapsułkę z Fundacji? Jest o połowę mniejsza, a przede wszystkim niedostępna dla analizy elektronicznej.

Przerwał. Widać było jak naprężyły się mięśnie pod tuniką. Wolno naciskał kapsułkę, swą małą sondą…

Otworzyła się bezgłośnie. Devers rozluźnił mięśnie i głęboko odetchnął. W ręku trzymał lśniącą kapsułkę i depeszę rozwiniętą jak skrawek pergaminu.

— To od Brodriga — powiedział. — Trwały materiał — dodał z pogardą. W kapsułce z Fundacji depesza utleniłaby się i wyparowała

w ciągu minuty.

Ale Ducem Barr uciszył go ruchem ręki. Szybko odczytał depeszę.

„Nadawca: Ammel Brodrig, Poseł Nadzwyczajny Jego Wysokości Imperatora, Tajny Sekretarz Rady, Par Królestwa

Odbiorca: Bel Riose, Wojskowy Gubernator Siwenny, Generał Wojsk Cesarskich, Par Królestwa

Pozdrawiam.

Planeta # 1120 nie stawia już oporu. Ofensywa rozwija się bez przeszkód, zgodnie z planem. Nieprzyjaciel wyraźnie słabnie i cel ostateczny z pewnością zostanie osiągnięty.”

Barr oderwał wzrok od niemal mikroskopijnego druku i krzyknął ze złością:

— Dureń! Ten przeklęty fircyk! To ma być depesza?

— Ha? — mruknął Devers. Miał także uczucie, jakby został oszukany.

— To nic nie mówi — zazgrzytał zębami Barr. — Nasz cesarski wazeliniarz bawi się teraz w generała. Kiedy nie ma Riose'a, on jest dowódcą i musi ulżyć swej nikczemnej, próżnej duszy, rzygając raportami dotyczącymi spraw wojskowych, o których nie ma najmniejszego pojęcia. Taka i taka planeta nie stawia już oporu! Ofensywa posuwa się. Nieprzyjaciel słabnie. Nadęty błazen!

— Zaraz, chwileczkę. Zaczekaj…

— Wyrzuć to — starzec odwrócił się ze wstydem. — Galaktyka jedna wie, że nie spodziewałem się, żeby to było nadzwyczaj ważne, ale podczas wojny można przypuszczać, że niedostarczenie nawet zwykłego rutynowego raportu opóźni działania i spowoduje jakieś komplikacje. Dlatego to zabrałem. Ale to śmieć! Lepiej by było, żebym to zostawił. Riose straciłby na to przynajmniej minutę ze swego cennego czasu, który teraz przeznaczy na bardziej konstruktywne działanie.

Devers podniósł się z miejsca.

— Może wreszcie przestaniesz się ciskać? Na Seldona…

Podetknął rozwiniętą depeszę pod nos Barrowi.

— Przeczytaj to jeszcze raz. Co znaczy „ostateczny cel”?

— Podbój Fundacji. A co?

— Tak? A może podbój Imperium? Wiesz przecież, że Brodrig jest przekonany, że to właśnie jest ostateczny cel.

— No i co z tego?

— Co z tego! — Devers uśmiechnął się półgębkiem. — Uważaj, zaraz ci pokażę. — Wsunął palcem ozdobioną zawiłym monogramem

Brodriga depeszę w otwór w kapsułce. Rozległ się lekki brzęk i kapsułka przybrała znowu swój pierwotny wygląd. Na jej gładkiej i lśniącej powierzchni nie było najmniejszego śladu wskazującego, że ktoś się do niej dobierał. Z jej wnętrza dobiegały jeszcze przez pewien czas lekkie trzaski świadczące o tym, że części mechanizmu zabezpieczającego ją przed otwarciem zaskakują z powrotem na swoje miejsce.

— Teraz nie ma żadnego sposobu, żeby ją otworzyć bez linii papilarnych Riose'a, prawda?

— Zgodnie z wiedzą Imperium, tak.

— Wobec tego, jej zawartość jest całkowicie autentyczna i nic o niej nie wiemy.

— Zgodnie z wiedzą Imperium, tak.

— Ale imperator może ją otworzyć, prawda? Linie papilarne członków rządu muszą być w ich aktach. Przynajmniej tak jest w Fundacji.

— W stolicy Imperium też — przyznał Barr.

— A więc jeśli ty, patrycjusz z Siwenny i par Imperium, powiesz temu Cleonowi, że jego oddany faworyt i jego najświetniejszy generał spiknęli się, żeby go zrzucić z tronu, to jak on zrozumie ten „ostateczny cel"?

Barr usiadł niepewnie na krześle.

— Zaczekaj, nie bardzo rozumiem. — Potarł dłonią chudy policzek i rzekł: — Chyba nie mówisz tego poważnie?

— Jak najbardziej poważnie — Devers był podekscytowany. — Słuchaj, na dziesięciu ostatnich imperatorów dziewięciu poderżnięto gardła lub wypruto flaki, i za każdym razem zrobił to jakiś generał z głową pełną ambitnych pomysłów. Sam mi to mówiłeś wiele razy. Staruszek imperator chętnie nam uwierzy i poleci głowa Riose'a.

— On mówi poważnie — mruknął z niedowierzaniem Barr. — Na Galaktykę, człowieku, nie można pokonać kryzysu Seldona za pomocą takiej naciąganej, fantastycznej intrygi. Przypuśćmy, że nie wpadłaby nam w ręce ta kapsułka. Przypuśćmy, że Brodrig nie użyłby słowa „ostateczny"… Seldon nie brał pod uwagę niezwykłych zbiegów okoliczności.

— Ale żadne prawo nie mówi, że jeśli zdarzy się sprzyjający, niezwykły zbieg okoliczności, to Seldon nie może z niego skorzystać.

— Oczywiście. Ale… ale — Barr przerwał, a potem rzekł spokojnie, ale z wyraźnym oporem — słuchaj, po pierwsze, jak chcesz się dostać na Trantora? Nie znasz jego położenia, a ja nie pamiętam współrzędnych, nie mówiąc już o efemerydach. Nie wiesz nawet, w jakim miejscu przestrzeni sami się teraz znajdujemy.

— W przestrzeni nie można się zgubić — wyszczerzył zęby w uśmiechu Devers. Był już przy sterach. — Polecimy teraz na najbliższą

planetę i wrócimy z dokładną znajomością naszego położenia i najlepszymi mapami nawigacyjnymi, jakie można będzie kupić za sto tysięcy kredytów Brodriga.

— I z miotaczem w brzuchu. Nasze rysopisy są już prawdopodobnie na każdej planecie w tej części Imperium.

— Doktorku — rzekł Devers pobłażliwie — nie bądź ćwokiem z prowincji. Riose powiedział, że poddałem swój statek zbyt łatwo i miał rację, bracie! Ten statek dysponuje wystarczającą siłą ognia i wystarczająco silnym ekranem, żeby nauczyć respektu każdego, kogo możemy spotkać taki kawał drogi od granicy. Mamy też ekrany osobiste. Nie znaleźli ich chłopcy z Imperium, ale nie miałem tego w planie.

— W porządku — rzeki Barr. — W porządku. Powiedzmy, że jesteś na Trantorze. Jak chcesz zobaczyć się z imperatorem? Myślisz, że ma godziny urzędowania?

— Powiedzmy, że będziemy się o to martwić, jak już się tam znajdziemy — odparł Devers.

— No więc, zgoda — mruknął z rezygnacją Barr. — Chciałem zobaczyć jeszcze Trantor przed śmiercią. Lecimy.

Zagrał hiperatomowy silnik. Zamigotały światła, a Barr poczuł lekki skurcz żołądka, który oznaczał, że wchodzą w nadprzestrzeń.

Na Trantorze

Gwiazd było niczym zielska na zaniedbanym polu i Lathan Devers, obliczając parametry skoków przez nadprzestrzeń, po raz pierwszy przekonał się, jak ważne są cyfry po przecinku. Konieczność wykonywania skoków nie przekraczających jednego roku świetlnego przyprawiała go o uczucie podobne klaustrofobii. Niebo otaczające ich ze wszystkich stron milionami ogników wywierało na nim niekorzystne i nieprzyjemne wrażenie. Byli zagubieni w morzu promieniowania.

W środku skupiska dziesięciu tysięcy gwiazd, których światło rozrywało na strzępy otaczający je skąpy mrok, krążyła olbrzymia cesarska planeta — Trantor.

Był on czymś więcej niż planetą — był bijącym sercem Imperium obejmującego dwadzieścia milionów systemów słonecznych. Miał tylko jedno zadanie — zarządzanie, tylko jeden cel — rządzenie i wytwarzał tylko jeden produkt — prawo. Wszystko na Trantorze było temu podporządkowane, przez co cały ów świat był funkcjonalnie zdeformowany. Oprócz ludzi, ich zwierzątek domowych i ich pasożytów, nie było na planecie żadnych żywych istot. Poza stu milami kwadratowymi zieleni otaczającej pałac cesarski nie było na Trantorze ani piędzi nie zabudowanej ziemi, ani źdźbła trawy. Poza terenami pałacowymi nie było też ani skrawka otwartej wody. Woda dla potrzeb mieszkańców planety zgromadzona była w wielkich podziemnych cysternach.

Lśniący, nierdzewny i niezniszczalny metal pokrywający całą powierzchnię planety był podłożem dla potężnych konstrukcji tworzących niezmierzony labirynt. Budowle te połączone były ze sobą nadziemnymi trasami, powiązane korytarzami i naszpikowane biurami. Pod nimi ciągnęły się całymi milami centra handlowe, na ich dachach znajdowały się lokale rozrywkowe tętniące nocnym życiem.

Można było obejść Trantor dookoła nie wychylając nosa na zewnątrz i nie widząc w ogóle miasta.

Potężna flota handlowa, licząca więcej statków niż wszystkie, razem Wzięte, floty wojenne, jakie kiedykolwiek posiadało Imperium, dostarczała codziennie żywności dla czterdziestu miliardów ludzi, których jedynym zajęciem było rozsupływanie niezliczonego mnóstwa nici łączących wszystkie zakątki Imperium z centralnymi urzędami najbardziej rozbudowanej administracji w dziejach ludzkości.

Dwadzieścia rolniczych światów było spichlerzem Trantora. Wszechświat był jego sługą.

Potężne metalowe ramiona silnie ujęły z obu stron statek handlowy i delikatnie opuściły go na pochylnię wiodącą do hangaru.

Devers zdołał już poznać skomplikowane formalności świata pogrążonego w papierkach i hołdującego zasadzie, że nic nie można zrobić bez wypełnienia odpowiedniego formularza w czterech egzemplarzach.

Najpierw był krótki postój w przestrzeni, gdzie Devers wypełnił kwestionariusz, który — jak się wkrótce okazało — był zaledwie wstępem do właściwej procedury. Potem była setka innych kwestionariuszy, sto szczegółowych przesłuchań, rutynowa prosta sonda psychiczna, zdjęcie statku, analiza cech charakterystycznych jego i Barra i ich odnotowanie, kontrola celna, opłata za prawo wejścia do portu i na koniec sprawa dowodów tożsamości i wiz pobytowych.

Ducem Barr był Siweńczykiem i poddanym cesarza, ale Lathan Devers był osobą nieznaną i w dodatku nie miał niezbędnych dokumentów. Urzędnik, który ich akurat załatwiał, rzekł z nieopisanie smutną miną, iż niezmiernie mu przykro, ale nie może przepuścić Deversa. Właściwie będzie go musiał zatrzymać i wszcząć oficjalne śledztwo.

W tym momencie pojawiło się w ręku Deversa i szybko zniknęło w kieszeni urzędnika sto kredytów w nowiutkich, szeleszczących banknotach mających pokrycie w posiadłościach lorda Brodriga. Oblicze urzędnika rozpogodziło się. Chrząknął, zakręcił się i wyjął z odpowiedniej przegródki nowy formularz, który został szybko i sprawnie wypełniony i uzupełniony jak najbardziej prawidłową i zgodną z przepisami charakterystyką Deversa.

Handlarz i patrycjusz znaleźli się na Trantorze.

W hangarze czekały ich dalsze formalności. Sfotografowano i wciągnięto do rejestru statek, sporządzono kopie ich dowodów tożsamości, które następnie potwierdzono i ostemplowano. Za wszystko musieli uiścić stosowną opłatę.

W końcu Devers znalazł się na rozległym tarasie pogrążonym w blasku białego słońca. Otaczały go plotkujące kobiety, wrzeszczące dzieci i mężczyźni sączący wolno swoje drinki i słuchający wiadomości dopływających z ogromnych, ryczących telewizorów.

Barr podszedł do stosu gazet, położył odpowiednią ilość irydowych monet i wziął pierwsze z brzegu pismo. Były to trantorskie „Nowiny Imperium”, oficjalny organ rządu. Z głębi czytelni dobiegało ciche stukanie maszyn drukujących dodatkowy nakład, sprzężonych z takimi samymi urządzeniami w redakcji „Nowin” odległej o dziesięć tysięcy mil korytarzem, a o sześć tysięcy w linii prostej. W rozsianych po całej planecie dziesięciu tysiącach czytelni wychodziło w tej samej chwili spod maszyn sto milionów egzemplarzy.

Barr rzucił okiem na nagłówki i spytał:

— Od czego zaczniemy?

Devers starał się otrząsnąć z przygnębiającego wrażenia, jakie wywarł na nim Trantor. Znajdował się w obcym, zupełnie innym od ojczystego świecie, który przygniatał go swą złożonością, wśród ludzi, którzy zachowywali się w zupełnie niezrozumiały sposób i którzy mówili prawie zupełnie niezrozumiałym językiem. Lśniące, metaliczne wieżowce, które otaczały go ze wszystkich stron i ciągnęły się nieskończonymi szeregami aż poza horyzont, przytłaczały go swym ogromem. Cała ta ruchliwa metropolia wszechświata, wypełniona kłębiącym się i obojętnym tłumem przyprawiała go o uczucie przeraźliwej samotności i nicości.

— Chyba lepiej zostawię to tobie, doktorku. Barr rzekł swym zwykłym, opanowanym głosem:

— Próbowałem to wytłumaczyć, ale wiem, że trzeba to zobaczyć na własne oczy, żeby uwierzyć. Wiesz, ilu ludzi stara się codziennie o audiencję u imperatora? Około miliona. A wiesz iłują uzyskuje? Około dziesięciu. Będziemy musieli przejść przez różne urzędy, a to trudna droga. Ale niestety nie stać nas na to, żeby zaprotegował nas ktoś z arystokracji.

— Mamy prawie sto tysięcy.

— Tyle wziąłby jeden par Imperium, a trzeba przynajmniej trzech lub czterech, żeby się dostać do imperatora. To samo może załatwić pięćdziesięciu głównych komisarzy i wyższych urzędników, ale być może każdy z nich weźmie tylko sto. Rozmawiać z nimi będę ja. Po pierwsze, nie zrozumieliby cię ze względu na twój akcent, a po drugie nie znasz łapowniczej etykiety Imperium. To prawdziwa sztuka, zapewniam cię. Ach!

Trzecia strona „Nowin Imperium" zawierała to, czego szukał. Podał gazetę Deversowi.

Devers czytał powoli. Nie rozumiał poszczególnych słów, ale zrozumiał całość. Podniósł głowę. W oczach miał niepokój. Uderzył ze zdenerwowaniem dłonią w gazetę. — Myślisz, że to prawda?

— W pewnym stopniu — odparł Barr spokojnie. — Jest mało prawdopodobne, żeby flota Fundacji została zniszczona. Jeśli stosują zwykłe metody przekazywania doniesień z linii frontu, to prawdopodobnie pisali już o tym wiele razy. Znaczy to jednak, że Riose wygrał kolejną bitwę, co zresztą nietrudno było przewidzieć. Pisze tu, że zdobył Loris. To stołeczna planeta Królestwa Loris?

— Tak — rzekł posępnie Devers. — Raczej tego, co było Królestwem Loris. Stamtąd nie ma nawet dwudziestu parseków do Fundacji. Musimy działać szybko, doktorku.

Barr wzruszył ramionami.

— Nie na Trantorze. Jeśli będziesz się spieszył, to jak nic znajdziesz się na muszce miotacza.

— Ile czasu to zajmie?

— Miesiąc, jeśli szczęście będzie nam sprzyjać. Miesiąc i nasze sto tysięcy kredytów… jeśli to wystarczy. A i to tylko wtedy, jeśli imperatorowi nie przyjdzie tymczasem do głowy podróż do Letnich Planet, gdzie nie przyjmuje żadnych petentów.

— Ale Fundacja…

— … będzie sama dbała o siebie, jak dotąd. No, teraz pomyślmy o obiedzie. Jestem głodny. A potem będziemy mieli wolny wieczór i będziemy mogli się trochę rozejrzeć po planecie. Widzisz, to jedyna okazja, bo nie zobaczysz już nigdy Trantora ani żadnego podobnego do niego świata.

Krajowy Komisarz Prowincji Zewnętrznych bezradnie rozłożył swe grube tece i zmierzył ich wzrokiem krótkowidza.

— Niestety, panowie, imperator jest niedysponowany. Naprawdę nie ma sensu, żebym mówił w tej sprawie ze swoim przełożonym. Jego Wysokość Imperator już od tygodnia nie przyjmuje nikogo.

— Nas przyjmie — rzekł Barr pewnym siebie głosem. — Wystarczy, żebyśmy się zobaczyli z kimś z biura Tajnego Sekretarza.

— To niemożliwe — powiedział z naciskiem komisarz. — To mnie może kosztować posadę. Gdybyście, panowie, przedstawili trochę jaśniej charakter waszej sprawy… Musicie zrozumieć, że chcę wam pomóc, ale muszę mieć coś bardziej konkretnego, coś, co mógłbym przedstawić swemu szefowi na dowód, że warto tę sprawę przekazać wyżej.

— Gdyby sprawa, z którą przychodzę — rzekł Barr przymilnie — była tego rodzaju, że nie musiałbym się z nią zwracać do najwyżej postawionych osób, to nie zabiegałbym o audiencję u Jego Wysokości Imperatora. Chciałbym zauważyć, że jeśli Jego Wysokość Imperator doceni wagę naszej sprawy, a gwarantuję, że tak będzie, to może być pan pewien odpowiedniej nagrody za udzielenie nam pomocy.

— Tak, ale… — komisarz urwał i wzruszył ramionami.

— To ryzykowne — dokończył za niego Barr. — Naturalnie, nikt nie ryzykuje za darmo. To dla nas wielki zaszczyt prosić pana, ale i tak jesteśmy bardzo wdzięczni za uprzejmość, którą pan wykazał dając nam okazję wyjaśnienia na czym polega nasza sprawa. Gdyby zechciał pan przyjąć od nas drobny upominek w dowód wdzięczności…

Devers jęknął w głębi duszy. Przez ostatni miesiąc słyszał już to dwadzieścia razy, z nieznacznymi tylko zmianami. I jak zwykle, Barr szybkim, ukradkowym ruchem podał zwitek banknotów. Ale tym razem zakończenie było inne. Zazwyczaj banknoty znikały równie szybko, jak się pojawiały — teraz pozostały na widoku. Komisarz zaczął je wolno liczyć, dokładnie oglądając każdy.

W jego głosie zaszła subtelna zmiana:

— Gwarantowane przez Tajnego Sekretarza, oho! Dobry pieniądz!

— Wracając do przedmiotu… — zaczął delikatnie Barr.

— Zaraz, chwileczkę — przerwał komisarz. — Wrócimy, ale powoli. Ja naprawdę chcę wiedzieć, jaki możecie mieć interes. To nowiutkie pieniądze, nie używane. Musicie mieć ich niezły zapas, bo uderzyło mnie, że przede mną rozmawialiście już z innymi urzędnikami. No, śmiało, o co chodzi?

— Nie rozumiem do czego pan zmierza — rzekł Barr.

— Na przykład, można by dowieść, że przebywacie na Trantorze nielegalnie, gdyż dowód tożsamości i przepustka pańskiego milczącego przyjaciela są fałszywe. On nie jest poddanym imperatora.

— Stanowczo temu zaprzeczam.

— To, że pan zaprzecza, nie ma żadnego znaczenia — rzekł bezceremonialnie komisarz. — Urzędnik, który złożył podpis na jego dokumentach za sumę stu kredytów, przyznał się, pod odpowiednim naciskiem i wiemy o was więcej, niż się spodziewacie.

— Jeśli chce pan nam dać do zrozumienia, że suma, którą panu wręczyliśmy nie wystarcza ! w obliczu ryzyka…

Komisarz uśmiechnął się. — Przeciwnie, jest więcej niż wystarczająca — odsunął pieniądze na bok. — Wracając do tego, co mówiłem… Sam imperator zainteresował się wami. Może to nieprawda, panowie, że byliście niedawno gośćmi generała Riose'a? Może to nieprawda, że uciekliście i z samego środka jego obozu z — mówiąc oględnie — zadziwiającą łatwością? Może to nieprawda, że posiadacie małą fortunę w banknotach mających pokrycie w posiadłościach lorda Brodriga? Mówiąc krótko, może to nieprawda, że jesteście szpiegami i mordercami przysłanymi tutaj po to, żeby… No, sami nam powiecie, kto wam zapłacił i za co!

— No, wie pan… — powiedział Barr wyniośle. — Protestuję, żeby jakiś mizerny komisarz oskarżał nas o zbrodnie. Wychodzimy.

— Nie wyjdziecie — komisarz podniósł się. Nie patrzył już jak krótkowidz. — Nie musicie teraz odpowiadać na żadne pytania, na to przyjdzie czas. Zmusimy was. A ja nie jestem komisarzem. Jestem porucznikiem policji imperialnej. Jesteście aresztowani.

Uśmiechnął się, a w jego dłoni pojawił się lśniący i niewątpliwie skuteczny miotacz. — Dzisiaj znaleźli się w areszcie więksi niż wy. Usuwamy gniazdo os.

Devers zacisnął usta i sięgnął wolno po swój miotacz. Porucznik uśmiechnął się szerzej i wcisnął kontakt. Oślepiający strumień straszliwej energii trysnął prosto w pierś Deversa i odbił się od jego ekranu osobistego niezliczonymi drobinami światła.

Teraz strzelił Devers i górna część tułowia porucznika zniknęła, a jego głowa, jak zdmuchnięta, potoczyła się na podłogę. W smudze światła słonecznego przedostającego się przez dziurę w ścianie martwa twarz porucznika wciąż szczerzyła zęby w uśmiechu.

Wyszli przez tylne drzwi.

— Szybko na statek — rzucił ochryple Devers. — Zaraz będzie alarm. Następny plan spalił na panewce — zaklął wściekle. — Przysiągłbym, że diabeł przestrzeni uwziął się na mnie.

Na zewnątrz podekscytowany tłum kłębił się wokół ogromnych telewizorów. Nie mieli czasu do stracenia, więc nie zwracali uwagi na donośny głos spikera. Barr zdążył tylko chwycić „Nowiny Imperium", nim wpadli do potężnego budynku hangaru. Ich statek szybko wzniósł się przez ogromną dziurę wypaloną w sklepieniu.

— Zdołasz im uciec? — spytał Barr. Dziesięć statków policji drogowej pędziło za uciekającym kosmolotem, który wypadł nagle z prawidłowej, wyznaczonej radiem ścieżki ruchu dla odlatujących łamiąc wszelkie przepisy o dozwolonej prędkości. Za nimi wznosiły się już w przestrzeń lśniące statki wywiadu w poszukiwaniu dokładnie opisanego statku pilotowanego przez dwóch nieomylnie zidentyfikowanych morderców.

— Uważaj! — rzekł Devers i gwałtownie przeniósł statek w nadprzestrzeń, dwa tysiące mil od powierzchni Trantora. Przemieszczenie to, przeprowadzone tak blisko masy planety, Barr przypłacił utratą przytomności, a Devers potężną falą bólu, ale o parę lat świetlnych dalej przestrzeń była pusta.

Mimo ponurego nastroju, Devers nie mógł ukryć uczucia dumy ze swego statku. — W całym Imperium nie ma maszyny, która by mogła mnie dogonić.

Zaraz jednak dodał gorzko:

— Ale nie mamy dokąd uciec i nie możemy ich wszystkich pokonać. Co nam pozostaje? Co tu w ogóle można zrobić?

Barr poruszył się ostrożnie na swej koi. Czuł jeszcze skutki gwałtownego wejścia w nadprzestrzeń. Bolał go każdy mięsień. Powiedział słabym głosem:

— Nic nie trzeba robić. Wszystko skończone. Czytaj!

Podał Deversowi „Nowiny Imperium", które do tej pory kurczowo ściskał w dłoni. Wystarczyło, że handlarz rzucił okiem na nagłówki.

— Riose i Brodrig odwołani i aresztowani — wybąkał. — Dlaczego? — spojrzał pytająco na Barra.

— Nie piszą, ale czy to ważne? Wojna z Fundacją skończyła się i w tej chwili na Siwennie zaczęło się powstanie. Przeczytaj artykuł i sam się przekonaj — rzekł cicho. — Zatrzymamy się w jakiejś prowincji i dowiemy się szczegółów. Jeśli nie masz nic przeciw temu, to prześpię się teraz.

Zasnął.

Skokami konika polnego o coraz większej długości statek handlowy pokonywał Galaktykę wracając do Fundacji.

Kończy się wojna

Lathan Devers czuł się zdecydowanie nieswojo i był dziwnie rozdrażniony. Otrzymał odznaczenie i zniósł ze stoickim spokojem pompatyczną przemowę burmistrza towarzyszącą przyjęciu purpurowej wstążki. Na tym właściwie skończył się jego udział w ceremonii, ale protokół zmuszał go do pozostania. Były to nudne formalności i Devers marzył o tym, żeby wreszcie znaleźć się w przestrzeni, gdzie było jego miejsce. Na domiar złego, z racji roli, jaka przypadła mu w tym wszystkim, nie wypadało mu głośno ziewać ani rozsiąść się wygodnie z nogą zarzuconą swobodnie na siedzenie drugiego krzesła.

Poselstwo siweńskie, z traktowanym z najwyższym szacunkiem Ducemem Barrem, na czele, podpisało konwencję i Siwenna stała się pierwszą prowincją, która miała przejść bezpośrednio spod politycznej władzy Imperium do strefy gospodarczego panowania Fundacji.

Pięć potężnych imperialnych liniowców, które dostały się w ręce Siweńczyków podczas powstania wznieconego na tyłach Pogranicznej Floty Imperium, przemknęło ponad miastem, oddając grzmiący salut artyleryjski.

Wokół sztywna etykieta, toasty i nudne rozmowy… Ktoś go zawołał. Był to Forell, człowiek, który — jak chłodno stwierdził Devers — mógł kupić dwudziestu takich jak on za dochody z jednego ranka, a który teraz kiwał na niego palcem z jowialną dobrodusznością.

Wyszedł na balkon, gdzie czuło się orzeźwiający wieczorny wietrzyk i złożył przepisowy ukłon, kryjąc niechętny grymas pod szorstką brodą. Był tam też uśmiechnięty Barr. Rzekł do Deversa:

— Musisz mnie ratować. Oskarża się mnie o skromność, okropny występek przeciw naturze.

— Devers — Forell wyjął z kącika ust grube cygaro — Lord Barr utrzymuje, że wasza podróż do stolicy Cleona nie miała nic wspólnego z odwołaniem Riose'a.

— Zupełnie nic, proszę pana — odparł krótko Devers. — Nie widzieliśmy się z imperatorem. Z artykułów, które zebraliśmy w drodze powrotnej jasno wynikało, że jego proces był sfingowany. Gazety doniosły o jego powiązaniach ze spiskowcami na dworze, ale było to puste gadanie, w którym nic się nie trzymało kupy.

— On był niewinny?

— Riose? — odezwał się Barr. — Tak! Przysięgam na Galaktykę! Brodrig był w zasadzie zdrajcą, ale i on nie popełnił tego, co mu zarzucano. To była farsa, nie proces, ale musiało do tego dojść. Było to konieczne i nieuchronne i można to było przewidzieć.

— Na zasadzie konieczności psychohistorycznej, jak przypuszczam — rzekł Forell z uśmieszkiem, jakby recytował oklepaną formułkę.

— Tak — odparł poważnie Barr. — Wcześniej trudno to było dostrzec, ale kiedy ta historia już się skończyła i mogłem… hmm… zajrzeć do rozwiązania na końcu książki, problem okazał się prosty. Teraz wiemy, że struktura społeczna Imperium uniemożliwia mu podbój innych systemów. Pod rządami słabych imperatorów rozdzierane jest od wewnątrz przez rywalizujących ze sobą generałów, z których każdy chce zdobyć władzę i nic nie warty, a do tego niechybnie przynoszący śmierć tron. Pod rządami silnych władców w Imperium panuje spokój, ale ceną tego spokoju jest kompletny bezwład, który uniemożliwia jakikolwiek rozwój.

Forell, zasłonięty kłębami dymu, burknął niezbyt uprzejmie:

— Nie wyraża się pan jasno, lordzie Barr. Barr uśmiechnął się nieznacznie.

— Przypuszczam. To skutek braku wiedzy psychohistorycznej. Słowa są mizerną i nieprecyzyjną namiastką równań matematycznych. Postaram się to jednak jakoś wyjaśnić… — Barr urwał i pogrążył się w zadumie.

Forell stał wygodnie oparty plecami o poręcz balkonu, a Devers patrzył w aksamitne niebo i myślał z podziwem o Trantorze.

W końcu Barr przerwał milczenie.

— Widzi pan, i pan, i Devers, i bez wątpienia wszyscy tutaj, sądziliście, że pierwszym krokiem do zwycięstwa nad Imperium jest skłócenie imperatora i jego generała. Mieliście rację, zupełną rację, jeśli chodzi o zasadę tarć wewnętrznych.

Byliście wszakże w błędzie, myśląc, że ten wewnętrzny konflikt można wywołać jednostkowymi działaniami, inspirowaniem pewnych posunięć generała. Próbowaliście przekupstwa i kłamstw. Usiłowaliście, na przemian rozbudzić jego ambicje i posiać trwogę. A jednak wszystkie wasze wysiłki spełzły na niczym. Co więcej, sytuacja wyglądała coraz groźniej.

Próbowaliście wzburzyć morze kijem, a tymczasem, poza zasięgiem waszego wzroku, rosła i zbliżała się powoli, lecz nieuchronnie potężna fala przewidziana przez Seldona.

Ducem Barr odwrócił się i popatrzył przez barierkę na widoczne w dole światła weselącego się miasta.

— Wszyscy poruszani byliśmy martwą dłonią — rzekł. — Potężny generał i wielki imperator, mój świat i wasz świat. Kierowała nami wszystkimi martwa ręka Seldona. On wiedział, że człowiek taki jak Riose będzie musiał upaść, ponieważ jego sukces będzie musiał przynieść mu porażkę, tym większą i tym pewniejszą, im większy będzie ten sukces.

— Nie mogę powiedzieć, żeby wyrażał się pan jaśniej — rzekł zjadliwie Forell.

— Chwilę cierpliwości — odparł Barr spokojnie. — Przyjrzyjmy się tej sytuacji. Jest rzeczą oczywistą, że nieudolny dowódca nie byłby nigdy w stanie nam zagrozić. Znakomity dowódca, ale podległy nieudolnemu imperatorowi, również nie mógłby nam zagrozić, gdyż miałby inny cel na oku. Wiadomo, że w ostatnich dwustu latach trzy czwarte imperatorów wywodziło się spośród zbuntowanych generałów i wicekrólów.

Tak więc groźna dla Fundacji byłaby tylko taka sytuacja, kiedy mielibyśmy do czynienia z silnym generałem i silnym imperatorem, gdyż silny imperator niełatwo da się zrzucić z tronu i zmusi silnego generała, żeby swoją uwagę zwrócił na obszary leżące poza granicami Imperium.

A co jest źródłem siły imperatora? Co jest źródłem siły Cleona? Odpowiedź jest oczywista — słabość jego poddanych. Zbyt bogaty dworzanin lub zbyt sławny dowódca staje się niebezpieczny. Dowodzi tego cała najnowsza historia Imperium i wystarczająco inteligentny imperator wyciąga z tego odpowiednie wnioski.

Riose odnosił zwycięstwa, więc imperator stał się podejrzliwy. Znając historię Imperium, musiał stać się podejrzliwy. Riose odmawia przyjęcia łapówki. Bardzo podejrzane, musi mieć jakiś ukryty powód. Jego najbardziej zaufany człowiek zaczyna nagle faworyzować Riose'a. Bardzo podejrzane, musi mieć jakieś ukryte powody. To nie te akurat pojedyncze posunięcia były podejrzane. Równie podejrzane byłyby jakiekolwiek inne działania. Oto dlaczego nasze intrygi były niepotrzebne i raczej nieskuteczne. To powodzenie Riose'a było podejrzane. Było podejrzane, więc został oskarżony, potępiony i stracony. Fundacja raz jeszcze wygrała.

Z tego wszystkiego jasno wynika, że każdy możliwy układ wydarzeń musiał się nieuchronnie zakończyć zwycięstwem Fundacji. Fundacja musiała wygrać bez względu na to, co by zrobił Riose i co my byśmy zrobili.

Forell wolno pokiwał głową.

Tak? A gdyby dowódcą był imperator? Co wtedy? Ha? Takiej możliwości pan nie uwzględnił, a więc nie dowiódł pan jeszcze swojej racji.

Barr wzruszył ramionami.

— Niczego nie mogę dowieść. Do tego trzeba matematyki. Wystarczy jednak wziąć tę sprawę na zdrowy rozum. Proszę pomyśleć, co by się stało z imperatorem zajętym wojnami gdzieś na końcu Galaktyki w sytuacji, kiedy każdy arystokrata w Imperium, każdy silny człowiek, każdy pirat może starać się, i to — jak historia wykazuje — często skutecznie, przejąć władzę? Ile czasu trzeba by

było na to, żeby ktoś korzystając z nieobecności imperatora w stolicy, rozpętał wojnę domową i tym samym zmusił go do powrotu? W obecnej sytuacji społecznej Imperium nie trzeba by było na to długo czekać.

Powiedziałem kiedyś Riose'owi, że nawet cała potęga Imperium nie jest w stanie powstrzymać martwej ręki Hariego Seldona.

— Doskonale! Doskonale! — Forell był w świetnym humorze. — A zatem jest pan zdania, że Imperium nie może nam już nigdy więcej zagrozić?

— Taki mi się wydaje — odparł Barr. — Szczerze mówiąc, Cleon może nie doczekać końca tego roku, a wtedy zaczną się spory o następstwo tronu, co w rezultacie może doprowadzić do ostatniej wojny domowej w dziejach Imperium.

— Zatem — rzekł Forell — nie mamy już wrogów. Barr zastanawiał się przez chwilę. — Jest jeszcze Druga Fundacja — powiedział.

— Na przeciwnym końcu Galaktyki? Mamy spokój na parę stuleci.

Devers odwrócił się nagle z pociemniałą twarzą i spojrzał prosto w oczy Forellowi.

— Może są wrogowie w samej Fundacji.

— Czyżby? — spytał zimno Forell. — Kto na przykład?

— Na przykład ci, którzy chcieliby się jeszcze bardziej wzbogacić, odbierając innym owoce ich pracy. Rozumie pan kogo mam na myśli?

W spojrzeniu Forella pogarda z wolna ustępowała miejsca wściekłości i w końcu jego oczy przybrały taki sam wyraz jak oczy Deversa.

Część II Muł

Nowożeńcy

»O „Mule” wiadomo mniej niż o jakiejkolwiek innej osobie o tak dużym znaczeniu dla dziejów Galaktyki. Nieznane jest jego prawdziwe nazwisko, a to, co wiemy o jego dzieciństwie i młodości, jest tylko hipotetyczną rekonstrukcją, nie popartą żadnymi dowodami. Nawet okres jego największej sławy znany jest głównie z relacji jego przeciwników, przede wszystkim pewnej młodej mężatki…«

Encyklopedia Galaktyczna

Bayta patrzyła w kierunku wskazanym przez męża. Widziana przez nią po raz pierwszy Haven nie wyglądała imponująco — blada gwiazdka zagubiona w pustce skraju Galaktyki. Znajdowała się już za ostatnimi, rzadkimi skupiskami gwiazd, w miejscu, gdzie widać było tylko samotne, rozrzucone na czarnym niebie punkciki światła. Nawet w porównaniu z nimi była uboga i niepozorna.

Toran zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że czerwony karzeł nie przedstawia imponującego widoku i nie nastraja jego świeżo poślubionej małżonki zbyt optymistycznie do nowego życia, toteż rzekł z wyraźnym zakłopotaniem:

— Wiem, co myślisz, Bayta… Nie jest to dobra zamiana. To znaczy, Fundacji na to — wskazał ruchem głowy Haven.

— To okropna zamiana, Toran. Nie powinnam była wychodzić za ciebie.

A kiedy na twarzy Torana pojawił się wyraz bólu, dodała, nim zdołał to ukryć, przymilnym głosikiem:

— Daj spokój, głuptasie. Nie rób miny zdychającego kaczątka. Kiedy robisz taką minę, to wiem, że za chwilę przytulisz mi głowę do ramienia i będziesz czekał, żebym zaczęła gładzić cię po włosach, elektryzujących się jak u kota. Czekałeś, że zacznę mówić jakieś bzdury, co? Spodziewałeś się, że powiem „Toran, z tobą będę wszędzie szczęśliwa!” albo „Mogę żyć w pustce międzygwiezdnej, bylebym tylko była z tobą, kochanie!” No, przyznaj się.

Wycelowała w niego palec i cofnęła go szybko, nim zdążył chwycić go zębami.

— Jeśli poddam się i przyznam, że masz rację, to zrobisz obiad!

Skinęła z zadowoleniem głową. Uśmiechnął się i po prostu patrzył na nią. Wiedział o tym, że nie była wyjątkową pięknością, i że nie każdy obejrzałby się za nią na ulicy. Miała czarne i lśniące, choć proste włosy i nieco zbyt szerokie usta, ale za to białe, gładkie czoło oddzielone było pięknymi, gęstymi brwiami od ciepłych, wiecznie uśmiechniętych oczu koloru mahoniu. A za potężnym i silnie bronionym murem praktycznego i trzeźwego stosunku do życia kryło się źródełko łagodności i życzliwości, którego nigdy by nie odkrył ten, kto by go bezceremonialnie szukał, ale do którego łatwo można było dotrzeć, jeśli się wiedziało jak i niczym nie zdradziło, że się go szuka.

Toran podregulował automatycznego pilota, mimo że nie wymagał tego i postanowił odpocząć. Statek szedł prosto swoim kursem i dopiero po kolejnym skoku międzygwiezdnym i kilku milimikroparsekach trzeba będzie przejść na ręczne sterowanie. Wyciągnął się na fotelu, aby zajrzeć do spiżarni, gdzie Bayta żonglowała pojemnikami z żywnością.

W jego stosunku do Bayty było coś z błogiego zadowolenia zwycięzcy, charakterystycznego dla osoby, która przez trzy lata zmagała się z kompleksem niższości i ostatecznie pokonała swój lęk i słabość.

W końcu był nie tylko prowincjuszem, ale też synem handlarza-renegata, a Bayta pochodziła z samej Fundacji i do tego jednym z jej przodków był Mallow.

Mimo to, czuł się trochę niepewnie. Nie dość, że zabierał ją na Haven, na skalisty świat miast-jaskiń, ale jeszcze narażał ją na zetknięcie się z tradycyjną nienawiścią handlarzy do Fundacji, z nienawiścią plemienia nomadów do osiadłych mieszkańców.

No cóż… po kolacji ostatni skok!

Haven była purpurową ognistą kulą, a druga planeta różową plamką światła otoczoną rozmazanym pierścieniem atmosfery, do połowy spowitą mrokiem. Bayta pochyliła się nad szerokim stołem nawigacyjnym z mapą pokrytą pajęczyną krzyżujących się linii otaczających dokładnie Haven II. Powiedziała poważnie:

— Szkoda, że nie poznałam twego ojca wcześniej. Jeśli mu się nie spodobam…

To — rzekł rzeczowym głosem Toran — będziesz pierwszą ładną dziewczyną, której udało się tego dokonać. Zanim stracił rękę i przestał włóczyć się po Galaktyce… Jeśli go o to spytasz, to zagada cię na śmierć. Po pewnym czasie zacząłem nawet podejrzewać, że blaguje, bo nigdy nie opowiadał tej samej historii dwa razy w ten sam sposób…

Haven II zbliżała się teraz do nich z wielką szybkością. Pod nimi obracało się wolno ciemnoszare śródziemne morze zakryte tu i ówdzie rzadkimi chmurami. Wzdłuż jego brzegów ciągnęły się poszarpane

łańcuchy górskie.

Kiedy zbliżyli się na tyle, że widzieli zmarszczoną powierzchnię wody, morze nagle uciekło w bok i schowało się za horyzontem. Bayta zdążyła jeszcze zauważyć, że jego brzegi skute były lodem.

Toran spytał głosem zniekształconym przez przeciążenie wywołane gwałtownym hamowaniem:

— Zapięłaś kostium?

Twarz Bayty wyzierająca z podbitego gąbką, ogrzewanego, lecz ściśle przylegającego do ciała skafandra wydawała się zupełnie okrągła i była zarumieniona z gorąca.

Statek osiadł z chrzęstem na pustym polu tuż obok miejsca, w którym teren zaczynał się lekko wznosić.

Wygramolili się ze statku prosto w nieprzenikniony mrok kresowej nocy. Wiał lekki, lecz przenikliwie zimny wiatr i Bayta aż wzdrygnęła się, czując na twarzy jego lodowaty podmuch. Toran chwycił ją pod ramię i pobiegli niezgrabnie po gładkiej, ubitej ziemi w stronę widniejącego w oddali światła.

W połowie drogi spotkali zdążających ku nim wartowników. Toran wymienił z nimi szeptem kilka słów i poszli dalej razem. Mrok i chłód zniknęły, kiedy otworzyła się przed nimi brama wykuta w skale. W ciepłym wnętrzu, oświetlonym białymi lampami umieszczonymi na ścianach panował gwar i ruch. Siedzący przy biurkach mężczyźni podnieśli głowy i Toran wyciągnął dokumenty. Jeden z urzędników rzucił na nie okiem i machnięciem ręki dał znak, że mogą przejść dalej. Toran nachylił się do ucha żony i szepnął:

— Tata musiał załatwić formalności. Normalnie trwa to około pięciu godzin.

Wyszli na zewnątrz i Bayta rzekła nagle:

— O rany…

Znajdujące się w wykutej w skałach potężnej jaskini miasto pogrążone było w jasnym blasku młodego słońca. Oczywiście, nie było tam żadnego słońca. To co wydawało się niebem, ginęło w równomiernie rozproszonej jasności. Powietrze było ciepłe i miało odpowiednią gęstość, a wokół pełno było zieleni.

— Ależ, Toran, tu jest pięknie — powiedziała Bayta.

Toran rozpromienił się.

— No cóż, Bayta, nie można tego oczywiście porównać z Fundacją, ale to największe miasto na Havenie II, dwadzieścia tysięcy mieszkańców. Polubisz je. Nie ma tu, co prawda, pałaców rozrywki, ale nie ma też tajnej policji.

— Och, Torie, to miasto jest jak zabawka. Wszystko tu takie białe i różowe… i takie czyste.

— Taaaak… — Toran rozejrzał się. Domy były po większej części jednopiętrowe, z gładkiej, żyłkowanej miejscowej skały. Nie było tu

wieżowców, jak w Fundacji i ogromnych gmachów użyteczności publicznej, tak charakterystycznych dla dawnych królestw, za to małe budynki nosiły wyraźne piętno indywidualności. Miasto to było reliktem indywidualnych upodobań w zunifikowanej, bezosobowej zbiorowości Galaktyki.

Toran nagle otrząsnął się z zamyślenia.

— Bay… Tam jest ojciec! Nie, nie tam, głuptasie… Tam gdzie pokazuję. Nie widzisz go?

Teraz go spostrzegła. Potężny mężczyzna machał gwałtownie ręką, rozcapierzając palce, jakby chciał chwycić powietrze. Dobiegł ich jego huczący głos. Bayta pociągnęła za sobą męża, zbiegając po gęstym trawniku. Zauważyła drugiego, niższego, siwowłosego mężczyznę, nieomal ginącego w cieniu krzepkiego jednorękiego, który wciąż machał do nich i krzyczał.

— To przyrodni brat mojego ojca. Ten, który był w Fundacji, wiesz — krzyknął Toran, nie zatrzymując się.

Spotkali się pośrodku trawnika, śmiejąc się i przekrzykując. Ojciec Torana wydał jeszcze jeden dziki okrzyk, dając upust swej radości. Obciągnął szybkim ruchem swą krótką kurtkę i poprawił pas z cyzelowanego metalu, który był jego jedynym ustępstwem na rzecz zbytku.

Przenosił wzrok z Torana na Baytę i z powrotem, i w końcu rzekł:

— Wybrałeś kiepski dzień na powrót do domu, chłopcze!

— Co? Ach, racja, przecież dziś rocznica urodzin Seldona, prawda?

— Tak. Żeby tu dotrzeć, musiałem wynająć samochód i zmusić Randu, żeby mnie przywiózł. Nie ma żadnego środka miejskiej lokomocji w zasięgu miotacza.

Jego wzrok spoczął na Baycie. Rzekł nieco delikatniejszym tonem:

— Mam tutaj kryształ z twoją podobizną… Jest dobra, ale widzę teraz, że robił ją amator.

Wyjął z kieszeni kurtki mały, przeźroczysty sześcian. Widniejąca wewnątrz roześmiana twarz ożyła w promieniach światła i okazała się miniaturą Bayty.

— Ach, to! — rzekła. — Nie wiem, dlaczego Toran wysłał akurat tę. To karykatura. Dziwię się, że po jej obejrzeniu w ogóle chciał się pan ze mną spotkać.

— Naprawdę? Mów mi Frań. Nie cierpię tych wszystkich ceregieli. No, teraz daj mi rękę i chodźmy do samochodu. Dotąd myślałem, że mój chłopak to ciamajda. Wydaje mi się, że zmienię zdanie. Wydaje mi się, że będę musiał zmienić zdanie.

Toran spytał cicho wuja:

— Jak się trzyma stary? Ciągle gania za kobietami?

Randu zmarszczył twarz w uśmiechu.

— Kiedy tylko ma okazję, Toran, kiedy tylko ma okazję. Czasami przypomina sobie,* że niedługo skończy sześćdziesiąt lat i wpada w przygnębienie. Ale szybko odsuwa od siebie te niedobre myśli i znowu staje się sobą. To handlarz starego pokroju. A ty, Toran? Gdzie znalazłeś taką ładną żonę?

Toran zachichotał i założył ręce na piersi.

— Chcesz, żebym ci powiedział w jednym zdaniu, co robiłem przez trzy lata?

Kiedy znaleźli się w małym saloniku domu ojca Torana, Bayta wydobyła się ze skafandra i uwolniła włosy spod kaptura. Usiadła, zakładając nogę na nogę i uśmiechnęła się do patrzącego na nią badawczo, ale z wyraźnym zadowoleniem Frana.

— Wiem, co próbujesz ocenić — powiedziała. — Pomogę ci. Wiek — dwadzieścia cztery, wzrost — pięć stóp i cztery cale, waga — sto dziesięć, zawód — historyczka.

Zauważyła, że zawsze stara się tak stanąć, aby ukryć, że nie ma jednej ręki. Teraz jednak pochylił się do niej i powiedział:

— Skoro sama o tym mówisz, to waga — sto dwadzieścia funtów.

Roześmiał się głośno, widząc jej rumieniec. Potem zwrócił się do całego towarzystwa:

— Zawsze można ocenić wagę kobiety po jej ramionach… oczywiście, jeśli się ma odpowiednie doświadczenie. Napijesz się, Bay?

— Między innymi — odparła i wyszła z Franem. Tymczasem Toran przeglądał biblioteczkę, szukając nowych nabytków.

Frań wrócił sam i powiedział:

— Ona przyjdzie później.

Opadł ociężale na duży, stojący w rogu fotel i położył swą lewą, sztywną nogę na stojącym przed nim stołku. Przestał się śmiać i Toran odwrócił się

do niego.

— No więc jesteś w domu, chłopcze, i cieszę się, że cię widzę. Podoba mi się twoja kobieta. To nie jakaś tam nadąsana gąska.

— Ożeniłem się z nią — odparł po prostu Toran. — No cóż, chłopcze, to zupełnie inna sprawa — jego oczy pociemniały. — To niemądrze wiązać się na całe życie. Żyję dłużej niż ty i mam więcej doświadczenia, a nigdy nie zrobiłem tego.

Randu stał dotychczas spokojnie w kącie pokoju. Teraz wtrącił się:

— Co to za porównania, Franssart? Dopóki sześć lat temu nie rozbiłeś się przy lądowaniu, nigdzie nie zagrzałeś dłużej miejsca i nie miałeś okazji, żeby się ożenić. A kto cię zechce teraz?

Frań wyprostował się nagle w fotelu i rzekł gniewnie:

— Niejedna by chciała, ty ramolu…

Toran wtrącił pośpiesznie, chcąc załagodzić sytuację:

— To po prostu formalność, tato. Ma to swoje dobre strony.

— Głównie dla kobiety — mruknął Frań.

— Nawet jeśli jest tak, jak mówisz — rzekł Randu — to jego sprawa. Małżeństwo to stary zwyczaj w Fundacji.

— Fundacja nie jest odpowiednim wzorem dla uczciwego handlarza — odparł z wyższością Frań.

Toran wtrącił się znowu. — Z Fundacji pochodzi moja żona — rzekł. Popatrzył najpierw na jednego, potem na drugiego i dodał cicho: — Idzie tu.

Po kolacji, którą Frań okrasił trzema opowieściami o swych dawnych przygodach, składającymi się w równych częściach z opisów walk, kobiet i zysków oraz z fantazji, rozmowa przybrała inny obrót. W telewizji szła jakaś klasyczna sztuka, ale nikt nie zwracał uwagi na to, co mówią aktorzy. Randu wyciągnął się wygodnie na niskiej kanapce i wypuszczając kłęby dymu z długiej fajki spoglądał w stronę Bayty klęczącej na białej puszystej skórze, którą Frań przywiózł kiedyś z jednej ze swych podróży, i którą rozkładano teraz tylko na specjalne okazje.

— Studiowałaś historię, moje dziecko? — spytał łagodnie.

Bayta skinęła twierdząco głową.

— Nauczyciele mieli ze mną utrapienie, ale w końcu trochę się nauczyłem.

— Dyplom z wyróżnieniem — wtrącił z dumą Toran. — To wszystko!

— No, a czego się nauczyłaś? — ciągnął cierpliwie Randu.

— Mam to wszystko powiedzieć? Zaraz? — roześmiała się Bayta. Randu uśmiechnął się.

— No więc powiedz, co myślisz o sytuacji w Galaktyce?

— Myślę — odparła zwięźle Bayta — że nadciąga kryzys Seldona… i kto wie, czy nie będzie to koniec jego całego planu. Źle obliczył.

„Oho!" mruknął do siebie Frań w swoim kącie. „W taki sposób wyrażać się o Seldonie!" Ale głośno nie rzekł nic.

Randu w zadumie ssał fajkę. — Naprawdę? Dlaczego tak uważasz? Widzisz, w młodości byłem w Fundacji i również nachodziły mnie różne niepokojące myśli. Ale, wracając do ciebie, dlaczego tak uważasz?

— No cóż — Bayta oparła brodę na dłoni i patrzyła przed siebie zamyślonym wzrokiem, podkurczywszy palce bosej stopy — wydaje mi się, że sens planu Seldona polegał na tym, żeby stworzyć państwo doskonalsze niż dawne Imperium Galaktyczne. Kiedy Seldon założył Fundację, Imperium już od trzech stuleci znajdowało się w stanie rozkładu… i, jeśli historia mówi prawdę, były trzy przyczyny takiego

stanu rzeczy — inercja, despotyzm i niesprawiedliwy podział dóbr we wszechświecie.

Randu słuchał uważnie, wolno potakując głową, Toran z dumą spoglądał na żonę, a Frań cmoknął z uznaniem i ponownie napełnił swój kieliszek.

— Jeśli historia mówi prawdę o Seldonie, to za pomocą praw psychohistorii przewidział on całkowity upadek Imperium, a także trzydzieści tysięcy lat barbarzyństwa jako okres niezbędny dla powstania Drugiego Imperium i odrodzenia cywilizacji. Jego celem życiowym było stworzenie takich warunków, które by umożliwiły znacznie wcześniejsze odrodzenie.

W tym momencie zabrzmiał potężny głos Frana: — I dlatego — niech mu będzie chwała — założył dwie Fundacje.

— I dlatego założył dwie Fundacje — zgodziła się Bayta. — Nasza Fundacja składała się z naukowców, którzy mieli wznieść naukę i w ogóle ludzką wiedzę na nowe wyżyny. Ta Fundacja został, założona w takim miejscu i w takim czasie, że — jak starannie wyliczył genialny Seldon — w ciągu tysiąca lat powinna przeistoczyć się w nowe, doskonalsze Imperium.

Wszyscy milczeli z szacunkiem.

— To stara historia — rzekła cicho Bayta. — Wszyscy ją znacie. Przez ostatnie trzysta lat nie było chyba człowieka w Fundacji, który by jej nie znał. Mimo to pomyślałam, że warto ją pokrótce powtórzyć. Dzisiaj jest rocznica urodzin Seldona i chociaż ja jestem z Fundacji, a wy z Haven, to mamy ze sobą tyle wspólnego, że…

Zapaliła powoli papierosa i w zamyśleniu patrzyła na unoszący się dym.

— Prawa historii są tak samo niewzruszone jak prawa fizyki i chociaż prawdopodobieństwo błędu jest tu większe niż w fizyce, to dzieje się tak tylko dlatego, że liczba ludzi, którymi przecież zajmuje się historia, jest nieporównanie niniejsza niż liczba atomów, skutkiem czego jednostkowe różnice są bardziej znaczące. Seldon przewidział serię kryzysów, które powinny wystąpić w czasie tego tysiąclecia rozwoju. Każdy z tych kryzysów byłby punktem zwrotnym, gdyż historia zmieniałaby wtedy swój bieg i toczyła się dalej uprzednio przewidzianym torem. Drogę wskazują właśnie te kryzysy… i dlatego teraz musi nastąpić kryzys.

— Teraz! — powtórzyła z naciskiem. — Od poprzedniego minęło już prawie sto lat, a przez ten czas Fundacja zdążyła już powtórzyć wszystkie grzechy Imperium. Inercję, bo nasza klasa rządząca zna tylko jedno prawo — żadnych zmian! Despotyzm, bo zna ona tylko jeden sposób rządzenia — siłę! Niesprawiedliwy podział dóbr, bo mają tylko jedno pragnienie — nie oddać niczego, co swoje!

— Podczas gdy inni przymierają głodem! — ryknął nagle Frań i

rąbnął pięścią w oparcie fotela. — Dziewczyno, masz świętą rację! Te pasibrzuchy siedzą na forsie i rujnują Fundację, a dzielni handlarze kryją się ze swą biedą po takich dziurach jak Haven. Oni znieważają Seldona, rzucają mu błoto w twarz i plują w brodę — uniósł w górę rękę i twarz mu się wydłużyła. — Gdybym miał drugą rękę! Gdyby mnie kiedyś posłuchano!

— Tato — rzekł Toran — nie denerwuj się.

— Nie denerwuj się. Nie denerwuj się — jego ojciec zrobił wściekłą minę. — Tu żyjemy i tu umrzemy, a ty mi mówisz „nie denerwuj się!"

— To nasz współczesny Lathan Devers — rzekł Randu, wskazując fajką Frana. — Devers zmarł w kamieniołomach siedemdziesiąt lat temu. Siedział tam razem z dziadkiem twego męża, bo był głupi, ale odważny…

— Na Galaktykę! Zrobiłbym to samo na jego miejscu — zaperzył się Frań.

— Devers był największym handlarzem w historii, większym niż ten nadęty balon, Mallow, bożyszcze Fundacji. Skoro te rzezimieszki, które rządzą Fundacją, zamordowały go dlatego, że kochał sprawiedliwość, to tym bardziej muszą za to zapłacić krwią.

— No mów dalej, dziewczyno — powiedział Randu. — mów, bo inaczej będzie gadał całą noc i szalał jutro przez cały dzień.

— Nie ma już o czym mówić — powiedziała ponuro. — Musi nastąpić kryzys, ale ja nie mam pojęcia, jak go wywołać. Siły postępowe na Fundacji są bezlitośnie tępione. Wy, handlarze, macie wolę walki, ale jesteście rozproszeni i rozbici. Gdyby połączyli się wszyscy ludzie dobrej woli z Fundacji i spoza niej…

Frań roześmiał się drwiąco.

— Słyszysz, Randu? Słyszysz, co ona mówi? Z Fundacji i spoza niej! Dziewczyno, dziewczyno, nie można liczyć na tych mięczaków z Fundacji. Część z nich wali batem, a reszta z pokorą przyjmuje razy. W całym tym zgniłym świecie nie znajdzie się nikt na tyle odważny, żeby się zmierzyć z jednym dobrym handlarzem.

Nieśmiałe próby Bayty, żeby coś wtrącić, spełzły na niczym. Nie dopuścił jej do głosu.

Toran pochylił się ku żonie i zakrył jej dłonią usta. — Tato — powiedział chłodno — nigdy nie byłeś w Fundacji. Nic o niej nie wiesz. Możesz mi wierzyć, że podziemie jest śmiałe i odważne. Mógłbym dodać, że Bayta też należała do nich…

— W porządku, chłopcze, nie chcę nikogo urazić. Po co się zaraz złościć? — był autentycznie zmieszany.

— Cały kłopot w tym, tato — ciągnął żywo Toran — że masz prowincjonalny punkt widzenia. Myślisz, że skoro jakieś sto tysięcy handlarzy kryje się w swoich norach na jakiejś zakazanej planecie na

krańcu nicości, to jest to wielki naród. Oczywiście, każdy poborca podatkowy z Fundacji, który tu zawita, zostaje tu już na zawsze, ale to tanie bohaterstwo. Co zrobilibyście, gdyby Fundacja skierowała tu swoją flotę?

— Rozwalilibyśmy ich — rzekł ostro Frań.

— I sami zostali rozwaleni… a ich by jeszcze dość zostało. Fundacja przewyższa was liczbą ludzi, uzbrojeniem i organizacją i jak tylko zdecyduje się na taki krok, to sami się o tym przekonacie. Tak więc lepiej będzie, jeśli poszukacie sprzymierzeńców… również w samej Fundacji, jeśli jest okazja.

— Randu — rzekł Frań patrząc na brata jak potężny, bezradny byk.

Randu wyjął fajkę z ust.

— Chłopak ma rację. Frań. W głębi ducha wiesz o tym. To przykre uczucie, więc starasz się to pokryć krzykiem. Ale świadomość tego pozostaje. Powiem ci, Toran, dlaczego sprowokowałem tę rozmowę.

Pyknął kilka razy w zamyśleniu, potem włożył fajkę w otwór popielniczki, zaczekał chwilę, aż pojawi się bezgłośny błysk i wyjął czystą. Powoli nabił ją ponownie precyzyjnymi ruchami małego palca.

— Twoja uwaga, Toran — zaczął — że Fundacja może się nami zainteresować, jest trafna. Mieliśmy tu ostatnio dwie wizyty… w celu ściągnięcia podatków. Problem w tym, że drugiemu poborcy towarzyszył lekki statek patrolowy. Tym razem wylądowali nie u nas, ale w mieście Gleiar i naturalnie nie wystartowali już z powrotem. Ale na pewno wrócą tu. Ojciec doskonale zdaje sobie z tego sprawę, Toran, wierz mi.

Przyjrzyj się temu zatwardziałemu zawadiace. Wie o tym, że Haven jest w niebezpieczeństwie, wie o tym, że jesteśmy bezbronni, ale uparcie powtarza swoje przechwałki. To go podtrzymuje na duchu. Ale kiedy już powie, co ma do powiedzenia, kiedy się już nakrzyczy i pokaże, że się niczego nie boi, krótko mówiąc, kiedy czuje, że spełnił swój obowiązek jako człowiek i nieustraszony handlarz, wtedy… no cóż, wtedy staje się równie rozsądny jak każdy z nas.

— To znaczy, jak kto? — spytała Bayta. Randu uśmiechnął się.

— Utworzyliśmy taką grupkę w naszym mieście, Bayta. Jeszcze nie zrobiliśmy nic. Nie udało nam się nawet jeszcze skontaktować z innymi miastami, ale to dopiero początek.

— Początek czego?

Randu potrząsnął głową. — Jeszcze nie wiemy. Liczymy na cud. Doszliśmy do tego samego wniosku, co ty — że kryzys Seldona jest tuż, tuż. Galaktyka pełna jest szczątków Imperium — wskazał rękami na sufit. — Generałowie wiercą się niespokojnie. Nie sądzisz, że pewnego dnia któryś z nich może zdobyć się na odwagę i uderzyć na

Fundację?

Bayta zastanowiła się chwilę, a potem potrząsnęła głową tak stanowczym ruchem, że kosmyk jej długich włosów znalazł się za uchem.

— Nie ma o tym mowy. Każdy z nich wie doskonale, że atak na Fundację jest samobójstwem. Bel Riose przewyższał ich wszystkich odwagą i umiejętnościami i miał do dyspozycji całą flotę Imperium, a mimo to nie wygrał z planem Seldona. Czy jest generał, który o tym nie wie?

— No a gdybyśmy ich zachęcili?

— Do czego? Do skoczenia w czeluść pieca atomowego? I niby czym mielibyście ich zachęcić?

— Hmm, jest taki jeden… nowy. Od roku, a może dwóch, docierają do nas wieści o dziwnym człowieku, którego nazywają Mułem.

— Mułem? — zastanowiła się. — Słyszałeś kiedy o nim, Torie?

Toran przecząco potrząsnął głową.

— No więc co z tym Mułem? — spytała.

— Nie wiem nic pewnego. Ale mówią, że odnosi zwycięstwa nawet w sytuacjach, kiedy pozornie nie ma żadnych szans. Te wieści mogą być przesadzone, ale tak czy inaczej byłoby dobrze zawrzeć z nim znajomość. Zdarzają się ludzie o dużych zdolnościach i ambicjach, którzy nie wierzą w Hari Seldona i jego prawa psychohistorii. Moglibyśmy go umocnić w tej niewierze. Być może uderzyłby na Fundację.

— I Fundacja by wygrała.

— Tak… ale może nie przyszłoby im to łatwo. Mógłby powstać kryzys, z którego moglibyśmy skorzystać i zmusić despotów z Fundacji do zawarcia z nami kompromisu. W najgorszym razie daliby nam na pewien czas spokój i wtedy moglibyśmy obmyślić coś lepszego.

— Co o tym sądzisz, Torie?

Toran uśmiechnął się niepewnie i zaczął się bawić kosmykiem włosów, spadającym mu na oczy.

— To, o czym mówi, niczym nam nie grozi, ale kto to jest ten Muł? Co o nim wiesz, Randu?

— Na razie nic. Mógłbyś nam w tym pomóc, Toran. I twoja żona, jeśli się zgodzi. Rozmawialiśmy o tym z twoim ojcem. Przedyskutowaliśmy dokładnie całą sprawę.

— W jaki sposób moglibyśmy wam pomóc? Czego od nas oczekujesz?

Toran spojrzał na żonę pytającym wzrokiem.

— Byliście w podróży poślubnej?

— Hmm… tak… jeśli można tak nazwać podróż z Fundacji.

— A co powiedziałbyś na propozycję wycieczki na Kalgan? Klimat

podzwrotnikowy, plaże, sporty wodne, polowania — idealne miejsce na wczasy. Stąd jest tam około siedmiu tysięcy parseków… nie tak daleko.

— A co jest na Kalganie?

— Muł! A przynajmniej jego ludzie. Zdobył Kalgan w ubiegłym miesiącu, i to bez bitwy, mimo że władca kalgański odgrażał się, wcześniej przez radio, że raczej rozbije planetę w jonowy pył, niż się podda.

— A gdzie jest teraz poprzedni władca?

— Nie ma go już — rzekł Randu wzruszając ramionami. — I co ty na to?

— A co mamy tam robić?

— Tego nie wiem. Ja i Frań jesteśmy już starzy. Poza tym jesteśmy prowincjuszami. Wszyscy Handlarze na Haven są prowincjuszami. Sam to powiedziałeś. Prowadzimy handel na bardzo ograniczoną skalę, nie jesteśmy już takimi obieżyświatami, krążącymi po całej Galaktyce, jak nasi przodkowie. Bądź cicho, Frań! Wy dwoje znacie Galaktykę. Bayta mówi z ładnym akcentem fundacyjnym. Może uda wam się coś znaleźć. Gdyby udało się wam. nawiązać kontakt z… ale nie oczekujemy aż tak wiele.

Przemyślcie to. Jeśli chcecie, możecie się spotkać z całą naszą grupą… O nie, nie wcześniej niż w przyszłym tygodniu. Musicie trochę odpocząć.

Zapadło milczenie, ale nie trwało długo, bo Frań ryknął:

— Kto się jeszcze napije? To znaczy, kto oprócz mnie?

Kapitan i Burmistrz

Kapitan Hań Pritcher nigdy nie żył w luksusie i nie przywiązywał do tego wagi. Trzymał się zasady, żeby unikać samoanalizy i wszelkich postaci filozofii i metafizyki, które nie były bezpośrednio związane z jego pracą.

To pomagało.

Jego praca polegała głównie na tym, co Departament Wojny nazywał „wywiadem", bywalcy salonów „zbieraniem tajnych informacji", a reszta „szpiegostwem". Niestety, bez względu na nazwę, było to — podłe zajęcie wymagające nieustannej czujności, by nie popaść w rutynę i podejrzliwość w stosunku do każdego, aczkolwiek oglądając telewizję i słuchając kwiecistych komentarzy, mógłby ktoś dojść do przekonania, że jest to ciekawe zajęcie. Społeczeństwo godzi się na tę instytucję, gdyż wymaga tego „interes państwa", ale ponieważ filozoficzne spojrzenie na te sprawy doprowadzało zawsze kapitana Pritchera do wniosku, że łatwiej jest uspokoić społeczeństwo niż własne sumienie, dał spokój filozofowaniu.

Jednak teraz, w luksusowym przedpokoju burmistrza, nie mógł powstrzymać się od refleksji nad swym życiem. Inni stale awansowali, choć, jak przyznawano, byli mniej zdolni od niego. Na niego wciąż sypały się upomnienia, niemal bez przerwy musiał wysłuchiwać różnych zarzutów pod swoim adresem. Mimo to, trwał uparcie przy swoim, wierząc niezłomnie, że niesubordynacja w imię świętych „interesów państwa" zostanie przecież kiedyś właściwie oceniona i doceniona.

I oto znajdował się teraz w poczekalni przed gabinetem burmistrza, pilnowany przez pięciu żołnierzy i prawdopodobnie czekał go sąd wojenny.

Ciężkie, marmurowe drzwi rozsunęły się cicho, ukazując czerwony plastikowy dywan i wybite atłasem ściany, w których znajdowały się inne drzwi, również marmurowe, lecz inkrustowane metalem. Wyszli z nich dwaj urzędnicy odziani w stroje o prostych liniach, jakie noszono przed trzystu laty i oznajmili:

— Audiencja dla kapitana Hana Pritchera z wywiadu.

Kiedy Pritcher podszedł do nich, cofnęli się o krok z ceremonialnym ukłonem. Jego eskorta zatrzymała się przy pierwszych drzwiach i do środka wszedł sam.

Po drugiej stronie drzwi, w ogromnym, urządzonym z zaskakującą prostotą pokoju, za ogromnym, zaskakująco kanciastym biurkiem, siedział niepozorny mężczyzna, który prawie ginął w tym otoczeniu.

Burmistrz Indbur, trzeci z kolei o tym nazwisku, był wnukiem

pierwszego Indbura, człowieka bezwzględnego i zdolnego, który pierwszą z owych cech zademonstrował w całej okazałości przechwytując w szczególny sposób władzę, drugą natomiast wykazał się kładąc zręcznie kres groteskowym pozostałościom wolnych wyborów i jeszcze zręczniej sprawując względnie spokojne rządy.

Burmistrz Indbur był synem drugiego Indbura, pierwszego burmistrza w historii Fundacji, który uzyskał ten urząd z racji swego urodzenia, i który tylko w połowie przypominał ojca, bo był tylko bezwzględny.

Tak więc burmistrz Indbur był trzecim o tym nazwisku, a drugim sprawującym ten urząd dziedzicznie, ale w niczym nie przypominał dziadka, gdyż brak mu było zarówno bezwzględności, jak zdolności — był po prostu znakomitym księgowym, który urodził się w nieodpowiedniej rodzinie.

Indbur Trzeci był szczególną kombinacją nieoryginalnych cech — w oczach wszystkich, lecz nie w swoich własnych. Zamiłowanie do sztywnego, geometrycznego porządku było dla niego „systemem", niestrudzone i pedantyczne roztrząsanie najmniejszych drobiazgów zwykłej, codziennej sprawozdańczości „pracowitością", niezdecydowanie — „ostrożnością", kiedy sprawa kończyła się dobrze, zaś ślepy upór „stanowczością", kiedy kończyła się źle.

Przy tym wszystkim nie zmarnował ani jednego kredyta, nie zgładził bez potrzeby ani jednego człowieka i miał bardzo dobre chęci.

Jeśli ponure myśli kapitana Pritchera podążały tym torem, gdy stał przed biurkiem w pełnej uszanowania postawie, to nie zdradził tego ani jednym drgnieniem twarzy. Nawet nie zakaszlał, nie przeniósł ciężaru ciała na inną nogę, ani nie wysunął stopy, lecz czekał cierpliwie dopóki burmistrz nie podniósł wolno swego chudego oblicza sponad biurka, nie przerwał kreślenia uwag na marginesach leżących przed nim dokumentów i nie przesunął ciasno zadrukowanego arkusza papieru z jednej schludnej kupki na drugą.

Burmistrz Indbur złożył ostrożnie ręce, uważając, aby nie zepsuć starannego porządku, panującego na biurku. Powiedział takim tonem, jakby stwierdzał fakt:

— Kapitan Hań Pritcher z wywiadu. Kapitan Pritcher, ściśle stosując się do wymogów protokołu, zgiął nogę, niemal dotykając kolanem ziemi i pochylił głowę. Trwał taki dopóki nie zabrzmiały słowa:

— Powstańcie, kapitanie Pritcher.

Potem burmistrz rzekł z lekką nutą współczucia:

— Jesteście tutaj, kapitanie Pritcher, z powodu pewnego postępowania dyscyplinarnego podjętego w stosunku do was przez waszego przełożonego. Dokumenty dotyczące tej sprawy dotarły normalnym biegiem do mnie i ponieważ nic w Fundacji nie jest dla

mnie bez znaczenia, zadałem sobie trud, aby zebrać więcej informacji o waszej sprawie. Mam nadzieję, że nie jesteście zaskoczeni.

Kapitan Pritcher odparł beznamiętnym głosem:

— Nie, ekscelencjo. Pańska sprawiedliwość jest przysłowiowa.

— Tak? — rzekł z wyraźnym zadowoleniem Indbur. W jego ciemnych szkłach kontaktowych odbiło się światło, nadając spojrzeniu, wyraz surowości. Starannie rozłożył przed sobą wachlarz teczek z aktami i zaczął przewracać wpięte w nie pergaminowe karty, które wydawały przy tym suchy szelest. Wodząc palcem wzdłuż linijek mówił wolno:

— Mam tutaj wasze kompletne dane, kapitanie… Macie czterdzieści trzy lata i przez siedemnaście lat służyliście jako oficer w siłach zbrojnych. Urodziliście się na Loris, rodzice są Anakreończykami, w dzieciństwie nie przechodziliście żadnych poważnych chorób, mieliście atak myo… to nieważne… wykształcenie cywilne — politechnika, specjalność — silniki hiperatomowe, stopień naukowy… hmm, bardzo dobrze, muszę wam pogratulować… wstąpił do armii jako podoficer sto drugiego dnia 293 roku ery fundacyjnej.

Podniósł wzrok, gdy tylko odłożył pierwszą i otworzył drugą teczkę.

— Widzicie — powiedział — w mojej administracji nie ma miejsca na przypadek. Tu jest porządek! System!

Podniósł do ust różową, pachnącą galaretkę. Była to jego jedyna słabość. Folgował jej z pewnym poczuciem winy. Że nie miał innych, niechaj świadczy fakt, iż na biurku burmistrza nie było normalnego w takich wnętrzach akcesorium — atomowej popielniczki dla dezintegracji resztek tytoniu. Burmistrz nie palił. Oczywiście, nie palili też jego goście.

Czytał dalej z galaretką w ustach, niewyraźnie, ale metodycznie, jednostajnym głosem, przeplatając suche informacje swoimi banalnymi uwagami. Bez względu na to czy były to uwagi krytyczne, czy pochlebne, wypowiadał je tym samym, łagodnym tonem. Wreszcie skończył i ułożył na powrót teczki w jeden równy stos.

— No, kapitanie — rzekł z nagłym ożywieniem — takie kartoteki rzadko się spotyka. Wynika z nich, że jesteście nieprzeciętnie zdolni i że macie niepodważalne osiągnięcia w pracy. Zwróciło moją szczególną uwagę to, że zostaliście dwa razy ranni w czasie pełnienia służby i że odznaczono was orderem zasługi za wyjątkową odwagę. To nie bagatela.

W twarzy kapitana Pritchera nie drgnął nawet jeden mięsień. Stał w dalszym ciągu sztywno wyprężony. Zgodnie z wymogami protokołu nikt, kto został zaszczycony audiencją u burmistrza, nie mógł usiąść w jego obecności. Ten punkt etykiety być może niepotrzebnie podkreślał fakt, że w całym pokoju było tylko jedno krzesło — to, na którym

siedział burmistrz. Zgodnie z innym punktem, zabierać głos można było tylko wtedy, kiedy burmistrz zwracał się z bezpośrednim pytaniem.

Wzrok burmistrza spoczął ciężko na kapitanie, a jego głos stał się ostry i twardy.

— Jednakże od dziesięciu lat nie awansujecie, a wasi przełożeni stale skarżą się na wasz wyjątkowo uparty charakter. Z raportów wynika, że jesteście niezdyscyplinowani, że macie niewłaściwy stosunek do waszych dowódców, że zupełnie nie dbacie o to, aby unikać scysji z kolegami i że na dodatek jesteście niepoprawnym intrygantem. Jak to wytłumaczycie, kapitanie?

— Ekscelencjo, robię tylko to, co uważam za słuszne. Moje działania w służbie państwa i odniesione podczas nich rany świadczą o tym, że to, co uważam za słuszne, leży również w interesie państwa.

— Prawdziwie żołnierskie stwierdzenie, kapitanie, ale to niebezpieczna doktryna. Ale o tym potem. Przechodząc do rzeczy, jesteście oskarżeni o trzykrotną odmowę wykonania rozkazu podpisanego przez moich prawomocnych przedstawicieli. Co macie do powiedzenia w tej sprawie?

— Ekscelencjo, w krytycznej chwili, kiedy lekceważy się sprawy o pierwszorzędnym znaczeniu, nie mogę posłuchać tego rozkazu.

— Ach tak… A skąd wiecie, że te sprawy mają pierwszorzędne znaczenie? I skąd wiecie, że się je lekceważy?

— Ekscelencjo, jest to dla mnie zupełnie oczywiste. Mówi mi o tym moje doświadczenie i moja znajomość rzeczy, której nie odmawia mi żaden z moich przełożonych.

— Ależ, kapitanie, czy nie widzicie tego, że przypisując sobie prawo do określania polityki wywiadu, uzurpujecie sobie władzę swoich przełożonych?

— Ekscelencjo, moim obowiązkiem jest służyć państwu, nie przełożonym.

— Błędne rozumowanie, bo wasz przełożony też ma swojego przełożonego. Tym przełożonym jestem ja, a ja to państwo. Ale proszę mówić śmiało, nie będziecie mieli powodu, żeby się uskarżać na moją sprawiedliwość, która — jak mówicie — jest przysłowiowa. Powiedzcie własnymi słowami na czym polega wasze wykroczenie przeciw regulaminowi.

— Ekscelencjo, moim obowiązkiem jest służyć państwu, a nie pędzić życie emerytowanego marynarza floty handlowej na Kalganie. Miałem instrukcje pokierować działalnością Fundacji na tej planecie, udoskonalić organizację, która śledziłaby posunięcia władcy Kalgana, szczególnie w dziedzinie polityki zagranicznej.

— Wiem o tym. Mówcie dalej.

— Ekscelencjo, w swoich raportach stale podkreślałem

strategiczne znaczenie Kalgana i systemów, nad którymi sprawuje władzę. Meldowałem o ambicjach władcy Kalgana, o jego zasobach, o jego dążeniu do rozszerzenia władzy na inne systemy i o jego przyjacielskim, a może tylko neutralnym, stosunku do Fundacji.

— Czytałem uważnie wasze raporty. Mówcie dalej.

— Ekscelencjo, wróciłem stamtąd dwa miesiące temu. Kiedy wracałem, nic nie świadczyło o tym, że Kalganowi grozi wojna. Co więcej, wszystko wskazywało na to, że Kalgan jest wystarczająco silny, aby odeprzeć każdą możliwą napaść. Miesiąc temu jakiś nieznany kondotier zagarnął Kalgan bez walki. Człowiek, który władał Kalganem, według wszelkiego prawdopodobieństwa jest już martwy. Nikt nie mówi o zdradzie, za to wszyscy wychwalają siłę i geniusz tego nieznanego kondotiera — tego Muła.

— Kogo? — burmistrz pochylił się w stronę Pritchera. Wyglądał na urażonego.

— To jego przydomek, Ekscelencjo. Prawdę mówiąc, niewiele o nim wiadomo, ale zebrałem to wszystko, co się o nim mówi, i z tych okruchów i strzępów informacji wybrałem te, które wydają się najbardziej wiarygodne. Wynika z nich jasno, że to człowiek prosty i niskiego rodu. Ojciec jego jest nieznany. Matka zmarła przy porodzie. Wychowywał się bez żadnej opieki, gdzieś w zakamarkach przestrzeni. Nie ma żadnego wykształcenia, wiedzę zdobywał wśród podobnych sobie włóczęgów. Nikt nie zna jego prawdziwego nazwiska. Sam sobie nadał przydomek, pod którym jest teraz znany i który, według powszechnej opinii, doskonale oddaje jego niezwykłą siłę fizyczną i upór.

— Mniejsza o jego siłę fizyczną. Jaką dysponuje armią?

— Mówią, że posiada potężną flotę, ekscelencjo, ale być może na tej opinii zaważył dziwny upadek Kalgana. Terytorium, nad którym sprawuje władzę, nie jest duże, chociaż nie sposób dokładnie ustalić jego granic. Niemniej jednak trzeba go mieć na oku.

— Hmm. No, no! — Burmistrz zamyślił się. Wolno, dwudziestoma czterema pociągnięciami pióra, narysował na leżącym przed nim bloku sześć kwadratów w sześciokątnych układach, wyrwał ją, złożył starannie na troje i wrzucił do otworu stojącego po jego prawej ręce dezintegratora.

— Wobec tego, powiedzcie mi teraz, kapitanie, na czym polega wasz problem. Powiedzieliście mi, co „trzeba” mieć na oku. A czym wam polecono się zająć?

— Jest taka zapadła dziura, ekscelencjo, która, jak się zdaje, nie płaci należnych podatków.

— I to wszystko? Nie wiecie o tym, że żyją tam potomkowie dawnych dzikich handlarzy? Nie powiedziano wam, że nie płacą podatków, bo to anarchiści, wywrotowcy i maniacy, którzy uważają

się za spadkobierców Fundacji i kpią sobie z jej kultury? Nie wiecie o tym, że takich dziur, jak mówicie, jest w przestrzeni więcej, że zmawiają się ze sobą i z elementem przestępczym, który wciąż istnieje na obszarach kontrolowanych przez Fundację, a nawet tutaj na Terminusie. Nawet tutaj, kapitanie!

— Ekscelencjo, to wszystko jest mi wiadome. Ale jako człowiek w służbie państwowej muszę służyć wiernie państwu… a tylko ten służy wiernie, kto służy prawdzie. Bez względu na to, jakie są zamiary tych resztek handlarzy i ich polityczne konsekwencje, to nie oni, lecz królikowie, którzy władają szczątkami dawnego Imperium, mają siłę. Handlarze nie dysponują ani armią, ani zasobami naturalnymi. Nie ma wśród nich nawet jedności. Nie jestem poborcą podatkowym, żeby dawać mi takie dziecinne zadanie.

— Kapitanie Pritcher, jesteście żołnierzem i liczycie działa, nie pieniądze. Nie możecie sobie za dużo pozwalać. Obowiązuje was posłuszeństwo. Radzę wam uważać. Moja sprawiedliwość nie jest oznaką słabości. Jest rzeczą dowiedzioną, że zarówno generałowie z okresu Imperium, jak i obecni władcy nie są w stanie nam zaszkodzić. Nauka Seldona, która wyznacza los Fundacji, nie opiera się, jak wam się wydaje, na bohaterskich czynach pojedynczych ludzi, lecz na procesach przemian społecznych i ekonomicznych. Przetrwaliśmy już pomyślnie cztery kryzysy, prawda?

— Tak jest, ekscelencjo. Ale naukę Seldona zna tylko on sam. My mamy tylko wiarę. Podczas pierwszych trzech kryzysów Fundacja — jak mnie uczono — miała mądrych przywódców, którzy sami byli w stanie przewidzieć ich charakter i podjąć zawczasu środki zaradcze. Kto wie, jak potoczyłyby się nasze dzieje, gdyby nie oni.

— Zgoda, kapitanie, ale pomijacie czwarty kryzys. Przecież wtedy nie mieliśmy przywódcy z prawdziwego zdarzenia, a musieliśmy stawić czoła przeciwnikowi, który miał potężniejszą armię, lepsze uzbrojenie i zręczniejszego dowódcę niż pozostali. Mimo to wygraliśmy, bo tak być musiało.

— To prawda, ekscelencjo. Ale zanim stało się to, co jak pan mówi, stać się musiało, musieliśmy ciężko walczyć przez cały rok. To nieuniknione zwycięstwo kosztowało nas pół miliona ofiar i pół tysiąca statków. Ekscelencjo, plan Seldona pomaga tym, którzy sami się o siebie troszczą.

Burmistrz Indbur nachmurzył się. Miał już dość cierpliwego wyjaśniania. Stwierdził nagle, że popełnił błąd okazując swą łaskawość, gdyż zostało to poczytane za zachętę do niekończącej się dyskusji i jałowych dialektycznych dociekań.

— Niemniej jednak, kapitanie — rzekł oschle — Seldon zapewnia nam zwycięstwo nad wrogimi królikami, a ja w tych trudnych czasach nie mogę pozwolić sobie na rozpraszanie sił i uwagi. Ci handlarze,

których lekceważycie, wywodzą się z Fundacji. Wojna z nimi byłaby wojną domową. W takim przypadku plan Seldona nie daje nam żadnych gwarancji, gdyż oni, tak jak my, są Fundacją. A więc należy ich przywołać do porządku. Otrzymaliście odpowiednie rozkazy.

— Ekscelencjo…

— Nie pytałem was o nic, kapitanie. Otrzymaliście rozkazy. Zastosujecie się do nich. Dalsza dyskusja na ten temat ze mną czy z którymś z moich zastępców uważana będzie za zdradę. Na razie jesteście uniewinnieni z zarzutów.

Kapitan Hań Pritcher ponownie przyklęknął, a potem wolno wycofał się tyłem.

Burmistrz Indbur, trzeci z kolei o tym nazwisku, a drugi, który sprawował ten urząd dziedzicznie, wrócił do równowagi i wziął kolejny dokument ze stosu papierów po lewej ręce. Był to raport w sprawie oszczędności w budżecie, które dało zmniejszenie ilości pianki metalowej przeznaczonej na obszywki mundurów policyjnych. Burmistrz Indbur przekreślił zbyteczny przecinek, poprawił błąd ortograficzny, zapisał trzy uwagi na marginesie i odłożył raport na stertę z prawej strony. Wziął następną kartkę ze stosu po lewej ręce…

Kiedy kapitan wywiadu Hań Pritcher wrócił do koszar, czekała tam już na niego kapsułka osobista. Była w niej kartka z rozkazem, przez którą biegła na ukos czerwona pieczątka z napisem „PILNE”, Rozkaz zaczynał się od dużych, misternych liter „Ja”.

Kapitan Hań Pritcher otrzymał bezwzględny rozkaz natychmiastowego odlotu na „rebeliancki świat Haven”.

Kapitan Hań Pritcher, siedząc za sterami jednoosobowego ścigacza, wziął spokojnie kurs na Kalgan. Tej nocy spał smacznie snem nie przeżywającego żadnych rozterek człowieka.

Porucznik i błazen

Chociaż upadek Kalgana odbił się głośnym echem w miejscach odległych odeń o siedem tysięcy parseków, chociaż zaintrygował starego handlarza, strapił upartego oficera wywiadu Fundacji i zirytował jej drobiazgowego burmistrza, to na samym Kalganie przeszedł jakby zupełnie niezauważony i bez echa. Historia uczy, że odległość w czasie, jak również w przestrzeni, nadaje zjawiskom zupełnie inny wymiar. Nawiasem mówiąc, nie zanotowano jeszcze żadnego przypadku, aby ktoś z tych nauk wyciągnął odpowiednie wnioski.

Kalgan to był Kalgan. Był jedynym światem w tym kwadrancie Galaktyki, który zdawał się nie przyjmować do wiadomości faktu, że Imperium już nie istnieje, że rządy Stannelów należą do przeszłości, że wielkość przeminęła i pokój się skończył.

Kalgan był luksusowym światem. Kruszył się i sypał potężny gmach będący szczytowym dziełem ludzkości, ale Kalgan nie odczuwał żadnych tego skutków. Nadal, po staremu, dostarczał rozrywki, nadal sprzedawał przyjemność i zyskiwał złoto.

Uniknął ciężkich doświadczeń innych światów, bo jakiż zdobywca chciałby zniszczyć lub nawet choćby poważnie uszkodzić świat o takich zasobach gotówki, za którą można sobie było kupić nietykalność?

Ale nawet Kalgan stał się w końcu kwaterą główną wojowniczego władcy i jego błogi spokój musiał ustąpić przed wymogami wojny. Jego łagodne, ujarzmione dżungle, piękne plaże, kolorowe i wesołe miasta rozbrzmiewały echem defilujących oddziałów najemników i podekscytowanych tubylców. Uzbrojono światy należące do jego prowincji i po raz pierwszy w historii ich pieniądze zainwestowano nie w łapówki, lecz w statki bojowe. Jego władca wykazał ponad wszelką wątpliwość, że jest zdecydowany bronić swego, a nawet sięgnąć po cudzą własność. Był ważną osobistością w Galaktyce, budowniczym Imperium i założycielem dynastii. Od jego woli zależało czy wybuchnie wojna, czy będzie trwać pokój.

I oto pokonał go — jego armie i jego rozkwitające Imperium — nikomu nieznany człowiek o śmiesznym przezwisku, a co więcej dokonał tego nie stoczywszy nawet jednej bitwy.

Tak tedy Kalgan stal się na powrót tym, czym był poprzednio, jego mieszkańcy zrzucili mundury i wrócili do swych normalnych zajęć, a zagraniczni zawodowcy zasilili nowo przybyłe oddziały.

I znów, jak dawniej, dżungle stały się miejscem luksusowych łowów na starannie hodowaną zwierzynę, która nie stanowiła żadnego zagrożenia dla życia myśliwych, a w powietrzu odbywały się pogonie

za ptactwem, które kończyły się fatalnie tylko dla wielkich ptaków.

W miastach uchodźcy z Galaktyki/ mogli zaspokoić głód rozrywki stosownie do stanu swych portfeli. Obok iluzorycznych, wyczarowanych z nicości pałaców będących popisem fantazji i techniki, gdzie drzwi otwierały się na brzęk półkredytowej monety, istniały niepozorne, nie rzucające się w oczy i nielegalne lokale, do których wstęp mieli tylko ludzie naprawdę bogaci.

Toran i Bayta roztopili się w morzu wczasowiczów. Zostawili swój statek w wielkim publicznym hangarze na Półwyspie Wschodnim i skierowali się do miejsca w sam raz dla klasy średniej, nad Morze Śródlądowe, gdzie przyjemności były jeszcze legalne, a nawet szacowne, lecz gdzie nie było już takiego nieznośnego tłoku.

Bayta ciemnymi okularami chroniła oczy przed blaskiem słońca, a białą suknią ciało przed upałem. Siedziała, obejmując podkurczone nogi opalonymi na złoty kolor ramionami i patrząc roztargnionym wzrokiem na rozciągnięte obok na całą długość ciało męża, prawie lśniące w lejących się z nieba potokach oślepiającego słońca.

— Uważaj, żebyś nie przedobrzył — powiedziała, ale Toran pochodził z gasnącej gwiazdy. Mimo trzech lat spędzonych w Fundacji, wciąż traktował słońce jako luksus i od czterech dni jego skóra posmarowana wcześniej olejkiem chroniącym przed poparzeniem promieniami słońca, nie znała dotyku tkaniny. Za całe ubranie służyły mu tylko krótkie szorty.

Bayta rzuciła się na piasek obok niego i zaczęli szeptem rozmawiać.

Ponury głos Torana dziwnie kontrastował z jego pogodną, rozluźnioną twarzą.

— Przyznaję, że wciąż trwamy w tym samym punkcie. Ale gdzie go szukać? Kim on jest? W tym zwariowanym świecie nawet się o nim nie wspomina. Może, on wcale nie istnieje.

— Istnieje — odparła Bayta nie poruszając ustami. — Jest po prostu sprytny. A twój stryj ma rację. To człowiek, z którego moglibyśmy zrobić użytek… jeśli jest jeszcze na to czas.

Po krótkiej chwili milczenia Toran rzekł szeptem:

— Wiesz, co teraz robię, Bay? Marzę, jakbym miał porażenie słoneczne. Wszystko układa się tak gładko… tak ładnie. — Jego głos odpłynął, a potem powrócił. — Pamiętasz, co mówił doktor Amann na uniwersytecie? Fundacja nie może nigdy przegrać, ale to nie znaczy, że nie mogą przegrać jej władcy. Czyż prawdziwa historia Fundacji nie zaczęła się z chwilą, kiedy Salvor Hardin wykopał Encyklopedystów i przejął, jako pierwszy burmistrz, rządy na Terminusie? A czy w sto lat później Hober Mallow nie przejął władzy w sposób prawie tak samo drastyczny? Już dwa razy ci, co rządzą, zostali pobici, więc jest to możliwe. Dlaczego nie możemy tego zrobić my?

— To stara śpiewka, Torie. Mógłbyś wymyślić coś lepszego.

— Stara, powiadasz? Zastanów się. Co to jest Haven? Może nie jest częścią Fundacji? To po prostu, żeby tak powiedzieć, część zewnętrznego proletariatu. Jeśli my będziemy górą, to będzie to przecież w dalszym ciągu zwycięstwo Fundacji, tyle że spadną jej obecni władcy.

— Między „możemy" a „zrobimy" jest duża różnica. Pleciesz głupstwa.

Toran aż poderwał głowę.

— O rany, Bay, jesteś po prostu w złym nastroju. Chcesz mi koniecznie zepsuć humor? Jeśli nie masz nic przeciwko, to się zdrzemnę.

Ale Bayta nie słuchała go. Wyciągała głowę jak żuraw i nagle, zupełnie niespodzianie, zachichotała, zdjęła okulary i patrzyła na coś na plaży osłaniając oczy ręką przed słońcem.

Toran uniósł głowę, a potem cały tułów i popatrzył w tym samym kierunku.

Najwyraźniej przyglądała się tyczkowatemu osobnikowi, który podrygiwał stojąc na rękach, ku uciesze gawiedzi. Był to jeden z kręcących się po plaży żebraków, którzy za parę monet wyginali w dziwnych łamańcach swoje giętkie członki.

Dozorca plaży dawał mu znaki, żeby stanął na nogach. Błazen z zadziwiającą zręcznością przeniósł ciężar ciała na jedną rękę, a kciukiem drugiej machnął koło nosa i wskazał na ziemię. Dozorca podszedł do niego z groźną miną i dostawszy nogą w brzuch machnął kozła. W tej samej chwili błazen stanął na nogach i uciekł. Tłum powstrzymał pieniącego się ze złości dozorcę od rzucenia się za nim.

Błazen szedł niezdecydowanym krokiem wzdłuż plaży. Mijał ludzi leżących na piasku, czasami przystawał, jakby wahając się w którą iść stronę, ale nie zatrzymał się nigdzie. Tłum rozproszył się. Dozorca odszedł.

— Dziwny facet — powiedziała Bayta z rozbawieniem. Toran przytaknął bez zapału. Błazen zbliżył się na tyle, że mogli mu się dobrze przyjrzeć. Z chudej twarzy sterczał potężny nos zakończony mięsistym koniuszkiem, który wyglądał niemal jak organ chwytny. Jego tyczkowate ciało i chude, długie kończyny, które podkreślał jeszcze kostium, poruszały się swobodnie i z pewnym wdziękiem, ale mimo to całość sprawiała wrażenie jakby przypadkowo została zebrana do kupy.

Nie sposób było patrzeć na niego bez śmiechu.

Błazen musiał sobie nagle uświadomić, że jest obiektem ich zainteresowania, gdyż minąwszy ich zatrzymał się w pół kroku i zrobiwszy nagły zwrot podszedł do nich. Utkwił w Baycie ogromne brązowe oczy.

Bayta zmieszała się.

Błazen uśmiechnął się, ale nadało to jego ptasiej twarzy wyraz smutku. Odezwał się w charakterystyczny dla mieszkańców Sektorów Środkowych wyszukany sposób:

— Gdybym przywołał rozum, którym mnie obdarzyły dobre duchy, to rzekłbym, że ta dama nie może istnieć… bo któż zdrowy na umyśle weźmie sen za jawę? Wolałbym jednak być szaleńcem i dać wiarę oczarowanym i oszołomionym oczom.

Bayta otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Rzekła tylko:

— O!

Toran roześmiał się.

— Och, ty czarodziejko. No, dalej, Bay, to warte pięciokredytówki. Daj mu.

Błazen zbliżył się jednym skokiem.

— Nie, moja pani, nie zrozum mnie źle. Nie mówię dla pieniędzy, lecz dla twych jasnych oczu i promiennego uśmiechu.

— No cóż, dzięki — obróciła się do Torana. — Rany, popatrz, on ma słońce w oczach.

— I nie tylko dla oczu i promiennej twarzy — bełkotał błazen, wyrzucając gwałtownie słowa — lecz również dla czystego i śmiałego umysłu i dla twej dobroci.

Toran podniósł się, sięgnął po białą szatę, którą przez cztery dni nosił przerzuconą przez ramię i wskoczył w nią.

— No, kochany — rzekł — może w końcu powiesz o co ci chodzi i przestaniesz niepokoić panią.

Błazen odskoczył do tyłu i skurczył się ze strachu.

— Ależ nie miałem nic złego na myśli. Jestem tu obcy i powiadają, że mam pomieszane zmysły, ale potrafię czytać ludziom z twarzy. Uroda tej damy kryje dobre serce, serce, które pomoże mi w moich kłopotach, mimo iż mówię tak śmiało.

— Pięć kredytów wystarczy? — spytał sucho Toran i wyciągnął monetę.

Ale błazen nie przyjął jej, a Bayta rzekła:

— Pozwól mi z nim pomówić. — I szybko dodała półgłosem: — Nie ma sensu gniewać się na jego śmieszne gadanie. To dialekt. Prawdopodobnie nasza mowa jest równie dziwna dla niego.

— Co to za kłopoty? — spytała błazna. — Chyba nie obawiasz się dozorcy, co? Nic ci nie zrobi.

— Och nie, nie jego. On jest jak wietrzyk, który wznosi kurz koło moich stóp. Uciekam przed innym, który jest jak huragan, co zmiata światy i zderza je ze sobą. Uciekłem tydzień temu, spałem na ulicach i kryłem się w tłumie. Zaglądałem w twarz wielu ludziom szukając pomocy. Znalazłem ją tutaj. Znalazłem ją tutaj — powtórzył miękkim, żarliwym głosem, a w jego wielkich oczach znowu pojawił się

niepokój.

— No cóż — rzekła Bayta rozsądnie — chciałabym ci pomóc, ale uwierz mi, przyjacielu, że nie jestem w stanie ochronić cię przed zmiatającym światy huraganem. Prawdę mówiąc, mogłabym wykorzystać…

Nagle zabrzmiał im w uszach potężny, gniewny głos:

— A, jesteś tu, ty śmierdzący gnojku…

Koło nich stał dozorca plaży, z twarzą zaczerwienioną od biegu i zębami wyszczerzonymi z wściekłości. Wskazał na błazna pistoletem na gaz oszałamiający:

— Wy dwoje, trzymajcie go. Nie dajcie mu uciec. Jego ciężka ręka spadła na chude ramię błazna, który jęknął z bólu.

— Co on zrobił? — spytał Toran.

— Co zrobił? Dobre sobie — co zrobił! — dozorca sięgnął ręką do torebki dyndającej u pasa, wyciągnął purpurową chustkę i wytarł kark. — Powiem wam co zrobił — rzekł z satysfakcją. — Uciekł. Cały Kalgan go szuka. Rozpoznałbym go od razu, gdyby nie stał do góry nogami. — Z wyrazem okrutnego zadowolenia na twarzy potrząsnął swym jeńcem jak workiem.

— A skądże on uciekł?. — spytała z uśmiechem Bayta.

Wokół nich gromadził się z wolna tłum wymieniających uwagi gapiów. W miarę jak rósł tłum, rosła też pewność siebie dozorcy. Podniósł głos.

— Skąd uciekł? — powtórzył szyderczym tonem. — Myślę, że słyszeliście o Mule, co?

Tłum zamilkł, a Bayta poczuła nagle chłód w żołądku. Błazen wlepił w nią wzrok, dygocąc w mocnym uścisku dozorcy.

— A ten diabelny obszarpaniec — ciągnął donośnym głosem dozorca — to nikt inny jak błazen jego dostojności, który uciekł z pałacu. — Ponownie potrząsnął silnie swym jeńcem. — Może zaprzeczysz temu, błaźnie?

Błazen nic nie odrzekł, ale jego twarz pobladła z trwogi. Bayta szepnęła coś Toranowi do ucha. Toran podszedł do dozorcy i rzekł przyjaźnie:

— No, mój kochany, może byś tak na chwilę zabrał swoją rękę. Ten błazen tańczył dla nas i jeszcze nie odtańczył tego, za co mu zapłaciłem.

— Wolnego! — krzyknął strażnik z nowym przypływem energii. — Została wyznaczona nagroda…

— Na pewno ją dostaniesz, jeśli udowodnisz, że to ten, którego szukasz. Tymczasem może dałbyś mu spokój. Wiesz, że zadzierasz z turystą, co może mieć dla ciebie przykre konsekwencje?

— A ty zadzierasz z jego dostojnością, co się skończy przykro dla ciebie — odciął się dozorca i znowu potrząsnął błaznem. — Zwróć

temu człowiekowi pieniądze, ty zgniłku!

Toran wykonał szybki ruch, wykręcił dozorcy rękę i wyrwał mu pistolet gazowy, o mało nie pozbawiając go przy okazji palca. Dozorca zawył z bólu i wściekłości. Toran odsunął go gwałtownie na bok i uwolniony z uścisku dozorcy błazen schował się za nich.

Prawie nikt z otaczających ich gapiów nie zwrócił jednak uwagi na całą tę akcję. Tłum wyciągał szyje, patrząc gdzieś ponad nimi. Wszczął się ruch, jakby wiele osób naraz zapragnęło się oddalić z centrum wydarzeń.

Z oddali dobiegł szorstki rozkaz i tłum zakołysał się i rozstąpił, robiąc przejście dla dwóch ludzi z niedbale trzymanymi w dłoniach biczami elektrycznymi. Ubrani byli w szkarłatne bluzy z emblematem przedstawiającym błyskawicę i rozpadającą się pod jej uderzeniem planetę. Za nimi kroczył posępny, ciemnoskóry i ciemnowłosy olbrzym w mundurze porucznika. Olbrzym przemówił złowieszczo cichym głosem, który świadczył o tym, że nie musi się uciekać do krzyku, żeby wyegzekwować swoje żądania.

— To ty nas powiadomiłeś?

Trzymając się za wywichniętą dłoń, z twarzą wykrzywioną bólem, dozorca wymamrotał:

— Domagam się nagrody, wasza wielmożność i oskarżam tego człowieka o…

— Dostaniesz swoją nagrodę — rzekł porucznik nie spojrzawszy nawet na niego. Skinął na swoich ludzi. — Brać go!

Toran poczuł, że błazen kurczowo czepia się jego płaszcza. Powiedział donośnie, starając się, by nie zadrżał mu głos:

— Przykro mi, poruczniku, ale ten człowiek jest moi.

Żaden z żołnierzy nawet nie mrugnął okiem. Jeden z nich podniósł jakby od niechcenia bat do góry, ale na krótkie warknięcie porucznika opuścił rękę.

Czarny olbrzym podszedł kołyszącym się krokiem do Torana.

— A kim ty jesteś?

— Obywatelem Fundacji — padła odpowiedź. Zrobiło to wrażenie, przynajmniej na tłumie, który przyglądał się dotąd całej scenie z zapartym tchem. Podniósł się naraz gwar. Imię Muła mogło wzbudzać trwogę, ale w końcu usłyszano o nim dopiero niedawno, natomiast słowo „Fundacja”, kojarzące się z potęgą, która rozbiła Imperium i która rządziła tą ćwiartką Galaktyki z zimną bezwzględnością tkwiło głęboko w świadomości jej mieszkańców i napawało ich bezbrzeżnym lękiem. Porucznik zachował twarz. — Zdaje pan sobie sprawę z tego, kim jest człowiek, kryjący się za pana plecami? — spytał.

— Słyszałem, że to podobno zbieg z dworu waszego przywódcy, ale wiem na pewno tylko tyle, że to mój przyjaciel. Będzie pan musiał

przedstawić niezbite dowody, jeśli chce go pan zabrać.

Z tłumu dobiegły zduszone okrzyki zdumienia, ale porucznik nie zwrócił na nie uwagi.

— Ma pan przy sobie papiery stwierdzające, że jest pan obywatelem Fundacji?

— Są na statku.

— Zdaje pan sobie sprawę z tego, że łamie pan prawo? Mogę kazać pana zastrzelić.

— Bez wątpienia. Ale gdyby zastrzelił pan obywatela Fundacji, to jest całkiem prawdopodobne, że poćwiartowano by pana i wysłano na Fundację jako częściowe zadośćuczynienie. Robili tak już inni władcy.

Porucznik oblizał wargi. Ten człowiek mówił prawdę.

— Pana nazwisko? — spytał. Toran poszedł za ciosem.

— Na dalsze pytania odpowiem na swoim statku. Mogę panu podać numer komory w hangarze, zarejestrowany jest pod nazwą „Bayta".

— Nie wyda pan zbiega?

— Może Mułowi. Niech pan przyśle swego władcę.

Dalej rozmowa potoczyła się szeptem i w pewnej chwili porucznik odwrócił się gwałtownie.

— Rozproszyć tłum! — rzekł do swych ludzi ze stłumionym okrucieństwem.

Poszły w ruch bicze elektryczne. Rozległy się wrzaski i tłum rzucił się w popłochu do ucieczki.

W drodze do hangaru Toran był zatopiony w myślach. Odezwał się tylko raz, jakby mówiąc głośno do siebie.

— Na Galaktykę, Bay, co ja przeżyłem. Tak się bałem…

— Tak — odpowiedziała jeszcze drżącym głosem, patrząc niemal z uwielbieniem na męża — to było zupełnie niepodobne do ciebie.

— Nie mogę zrozumieć, co mi się stało. Stałem tam z pistoletem gazowym, którego pewnie nie potrafiłbym nawet użyć i bezczelnie się stawiałem. Nie wiem dlaczego tak się zachowałem.

Popatrzył przez przejście między siedzeniami statku powietrznego bliskiego zasięgu, który niósł ich w stronę portu, na miejsce, gdzie spał skulony błazen Muła i dodał z niesmakiem:

— To była dla mnie najcięższa próba.

W tym samym czasie porucznik stał sztywno wyprężony przed dowódcą garnizonu. Pułkownik popatrzył na niego i rzekł:

— Dobra robota. Zrobiliście, co do was należało. Porucznik zwlekał z odejściem. W końcu rzekł

ponuro:

— W oczach tego motłochu Muł stracił twarz, panie pułkowniku. Trzeba będzie podjąć odpowiednie kroki dyscyplinarne, aby przywrócić należny mu szacunek.

— Zostały już podjęte.

Porucznik zabrał się do wyjścia, ale odwrócił się jeszcze i powiedział prawie ze złością:

— Zgadzam się, panie pułkowniku, że rozkaz to rozkaz, ale stać naprzeciw tego człowieka z pistoletem gazowym w ręku i spokojnie przełykać jego bezczelne uwagi, to była dla mnie najcięższa próba.

Mutant

„Hangar” na Kalganie jest instytucją jedyną w swoim rodzaju. Zrodziła ją potrzeba rozmieszczenia wielkiej ilości statków przybyszów z zagranicy oraz równie pilna potrzeba zapewnienia tym przybyszom kwater. Spryciarz, który pierwszy wpadł na skądinąd oczywisty sposób rozwiązania tego dylematu, szybko stał się milionerem. Jego potomkowie i spadkobiercy należeli do finansowej elity Kalgana.

„Hangar” zajmuje wiele mil kwadratowych, przy czym nazwa „hangar” zupełnie nie oddaje jego charakteru. Właściwie jest to hotel — hotel dla statków. Podróżny płaci z góry i otrzymuje dla swego statku miejsce postojowe, z którego może w każdej chwili wznieść się w przestrzeń. Goście mieszkają w swoich własnych statkach. Można oczywiście korzystać za odpowiednią opłatą z normalnych usług hotelowych, takich jak wyżywienie i opieka lekarska, proste naprawy statków oraz komunikacja krajowa.

Skutkiem tego, turysta, płacąc łącznie za miejsce w hangarze i hotel, wydaje mniej, niż gdyby musiał płacić za jedno i drugie oddzielnie. Właściciele gruntów, na których znajduje się hangar, wydzierżawiają je za dobrą zapłatą. Rząd ściąga wysokie podatki. Wszyscy są zadowoleni. Nikt na tym nie traci. To proste!

Człowiek, który przemierzał teraz zadaszone, szerokie korytarze łączące niezliczone skrzydła „hangaru”, zastanawiał się niegdyś nad nowatorstwem i użytecznością opisanego wyżej systemu, ale rozważania takie dobre były w czasie bezczynności, natomiast zupełnie nieodpowiednie w chwili obecnej.

Wzdłuż korytarzy ciągnęły się długie, równe rzędy statków spoczywających nieruchomo w dokładnie wytyczonych komorach. Mężczyzna mijał obojętnie rząd za rzędem. Znał się doskonale na swojej robocie i jeśli wcześniej przestudiowany rejestr statków nie dostarczył mu dokładnych informacji o tym, czego szukał, określając jedynie z grubsza poszczególne skrzydła, z których każde gościło setki statków, to jego fachowa wiedza pozwalała mu znaleźć wśród tych setek ten jeden jedyny, którego szukał.

Martwą ciszę przerwało lekkie westchnienie, kiedy zatrzymał się i zniknął za jednym z rzędów statków. Wyglądał jak mrówka w cieniu wyniosłych, nieruchomych, metalowych potworów.

Tu i ówdzie oświetlone iluminatory wskazywały na obecność turystów, którzy wrócili wcześniej z miasta, przekładając własne, proste lub bardziej intymne zabawy nad udział w zorganizowanej, masowej rozrywce.

Mężczyzna zatrzymał się i na pewno uśmiechnąłby się, gdyby

wiedział, co to uśmiech. W każdym razie, mimo że jego twarz pozostała nieruchoma, jego zwoje mózgowe na pewno wykonały coś, co było intelektualnym odpowiednikiem uśmiechu.

Statek, obok którego stanął, miał gładką, lśniącą powierzchnię i widać było, że jest szybki. Jego szczególny kształt był tym, czego mężczyzna ów szukał. Nie był to zwykły model. W tamtych czasach większość statków tego sektora Galaktyki albo naśladowała statki Fundacji, albo była dziełem jej inżynierów. Ten jednak był inny. Był to statek z Fundacji. Wskazywały na to chociażby niewielkie wybrzuszenia na jego powierzchni kryjące aparaturę wytwarzającą ekran ochronny, który mogły posiadać tylko statki Fundacji. Ale dla doświadczonego oka były tam też inne oznaki jego przynależności.

Mężczyzna działał bez wahania.

Elektroniczna bariera odgradzająca statek od korytarza i od innych statków — świadectwo poszanowania przez zarząd hangaru prywatnej sfery życia jego gości, nie była żadną przeszkodą. Pod wpływem specjalnego, neutralizującego jej działanie przyrządu, którym dysponował mężczyzna, ustąpiła łatwo i szybko, nie uruchamiając alarmu.

Tak więc pierwszym sygnałem wewnątrz statku świadczącym o obecności intruza na zewnątrz był stłumiony i nieomal przyjazny dźwięk brzęczyka w salonie, który to dźwięk był efektem zakrycia przez owego intruza fotokomórki umieszczonej obok głównego włazu.

W czasie, gdy ów tajemniczy mężczyzna prowadził swe poszukiwania, Toran i Bayta siedzieli w swym statku i mimo jego stalowych ścian nie czuli się zbyt bezpiecznie. Błazen Muła, który zdążył już im wyznać, iż jego wątła osoba nosi wspaniałe, pańskie nazwisko Magnifico Giganticus, siedział zgarbiony przy stole i zmiatał jedzenie ze stojącego przed nim talerza.

Podnosił głowę znad talerza tylko po to, by swymi smutnymi, brązowymi oczyma śledzić ruchy Bayty krzątającej się w pomieszczeniu, gdzie siedział, a będącym połączeniem kuchni i spiżarni.

— Wdzięczność słabej istoty jest niewiele warta — wymamrotał — ale masz ją, pani, albowiem przez ostatni tydzień jadałem jedynie ochłapy, a choć ciało mam wątłe, mój apetyt jest wprost nieprzyzwoicie wielki.

— No więc jedz! — rzekła Bayta z uśmiechem. — Nie trać czasu na podziękowania. Zdaje się, że macie w Galaktyce Środkowej jakieś powiedzenie na temat wdzięczności.

— Istotnie, pani. Jak mi mówiono, rzekł kiedyś pewien mędrzec: „Prawdziwej wdzięczności nie wyraża się pustymi słowami”. Niestety, pani, wydaje się, że cały składam się tylko z pustych słów. Kiedy moje puste gadanie bawiło Muła, dawał mi strój dworski i nazywał mnie

wspaniale „Magnifico”, bo musisz wiedzieć, pani, że przedtem zwałem się po prostu Bobo, co mu się nie podobało, ale kiedy moje puste gadanie przestawało go bawić, wtedy na moje biedne kości spadał grad batów i kuksańców.

W drzwiach prowadzących od kabiny pilota ukazał się Toran.

— Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko czekać, Bay. Mam nadzieję, że Muł potrafi zrozumieć, że statek Fundacji to skrawek jej terytorium.

Magnifico Giganticus, niegdysiejszy Bobo, otworzył szeroko oczy i wykrzyknął:

— Wielka jest potęga Fundacji, przed którą drżą nawet okrutni słudzy Muła!

— Ty także słyszałeś o Fundacji? — spytała Bayta, lekko się uśmiechając.

— A któż nie słyszał? — głos Magnifico przeszedł w tajemniczy szept.

— Niektórzy powiadają, że jest to świat potężnej magii, ognia, który pochłania całe planety, i innych niezwykłych tajemnic. Mówią też, że nawet największe znakomitości Galaktyki nie cieszą się takim szacunkiem i poważaniem, jak człowiek, który może tylko powiedzieć „Jestem obywatelem Fundacji”, choćby był przy tym prostym górnikiem czy nawet niczym, tak jak ja.

— Ach, Magnifico — odezwała się Bayta — nigdy nie skończysz, jeśli będziesz wygłaszał przemowy. Dam ci trochę pachnącego mleka. To dobre.

Postawiła dzbanek z mlekiem na stole, łagodnie wypchnęła Torana z kuchni i wyszła za nim.

— Torie, co z nim zrobimy? — wskazała na kuchnię.

— Co masz na myśli?

— Wydamy go, jeśli zjawi się tu Muł?

— A co innego możemy zrobić? — jego głos zdradzał niepokój, a potwierdził to ruch dłoni, którym odsunął z czoła mokry kosmyk włosów.

— Zanim tu przylecieliśmy — mówił dalej nerwowo — wydawało mi się, że całe nasze zadanie polega na tym, żeby wypytać o Muła i potem wziąć się do roboty… choć nie miałem żadnego określonego planu.

— Wiem, co myślisz, Torie. Nie bardzo wierzyłam, że uda mi się zobaczyć Muła na własne oczy, ale myślałam, że uda nam się uzyskać jakieś w miarę pewne informacje i przekazać je ludziom, którzy lepiej się orientują w tej międzygwiezdnej intrydze. Nie jestem szpiegiem z sensacyjnych opowiadań.

— Nie jesteś gorsza ode mnie, Bay. — Założył ręce i zmarszczył czoło. — Co za sytuacja! Gdyby nie ten dziwny incydent, nikt by nie

powiedział, że istnieje jakiś Muł. Myślisz, że przyjdzie po swojego błazna?

Bayta spojrzała na niego.

— Nie wiem, czy bym tego chciała. Nie wiem ani co powiedzieć, ani co zrobić. A ty?

W tym momencie zabrzmiał brzęczy k. Usta Bayty poruszyły się prawie bezgłośnie:

— Muł!

W drzwiach kuchni ukazał się Magnifico. Patrząc rozszerzonymi z przerażenia oczami wybełkotał:

— Muł?

— Muszę ich wpuścić — wymamrotał Toran. Nacisnął kontakt otwierając właz i chwilę potem jego zewnętrzna pokrywa zamknęła się za gościem. Skaner ukazał tylko jednego człowieka.

— Jest tylko jeden — rzekł Toran z wyraźną ulgą. Drżał mu trochę głos, gdy spytał przez kanał sygnalizacyjny: — Kto tam?

— Może mnie wpuścicie i przekonacie się sami, co? — dobiegł cienki głos z odbiornika.

— Oświadczam panu, że to statek Fundacji, a więc zgodnie z prawem międzynarodowym jest pan na jej terytorium.

— Wiem o tym.

— Proszę wejść z pustymi rękami. W przeciwnym razie strzelam. Jestem dobrze uzbrojony.

— Zrobione!

Toran otworzył drzwi wewnętrzne i nacisnął kontakt miotacza. Jego kciuk znajdował się tuż nad przyciskiem wyzwalającym reakcję. Usłyszeli zbliżające się kroki, a chwilę potem otworzyły się drzwi i Magnifico krzyknął:

— To nie Muł! To tylko człowiek. „Człowiek” skłonił się błaznowi z posępną miną.

— Całkowicie się zgadza. Nie jestem Mułem. Rozłożył ręce.

— Nie mam broni i przybyłem tu w pokojowych zamiarach. Niech się pan rozluźni i odłoży ten miotacz… Może panu niechcący drgnąć ręka.

Kim pan jest? — spytał szorstko Toran.

— To ja mogę o to spytać pana — odparł chłodno intruz — ponieważ to pan, nie ja, stwarza fałszywe pozory.

— Jak to?

— Podaje się pan za obywatela Fundacji, podczas gdy nie ma tam ani jednego zarejestrowanego handlarza.

— To nieprawda. Zresztą skąd pan może o tym wiedzieć?

— Bo ja jestem obywatelem Fundacji i mogę w każdej chwili pokazać swoje dokumenty. A gdzie pana dokumenty?

— Myślę, że lepiej będzie jak pan sobie pójdzie.

— Ja tak nie myślę. Jeśli wie pan cokolwiek o metodach Fundacji, a myślę, że mimo tego oszustwa coś pan wie, to powinien pan zdawać sobie sprawę z tego, że jeśli nie wrócę na swój statek w określonym czasie, to zostanie o tym natychmiast powiadomiony najbliższy garnizon Fundacji i wątpię, czy pańska broń na wiele się panu przyda.

Zapanowała cisza. Toran nie mógł się zdecydować, co zrobić. Pomogła mu Bayta, mówiąc spokojnie:

— Odłóż miotacz, Toran, i pomów z nim otwarcie. Wygląda na to, że on nie kręci.

— Dziękuję pani — powiedział intruz. Toran odłożył miotacz na stojące obok krzesło.

— Może pan teraz wyjaśni, o co chodzi. Intruz nie ruszył się z miejsca. Był wysoki i barczysty. Jego twarz była surowa i skupiona, i w jakiś nieokreślony sposób widać z niej było, że nigdy nie gościł na niej uśmiech. Jednak jego wzrok nie był bynajmniej twardy.

— Wieści szybko się rozchodzą, zwłaszcza te, w które trudno uwierzyć — powiedział. — Nie przypuszczam, żeby był ktoś na Kalganie, kto by nie wiedział, że ludzie Muła dostali dzisiaj nauczkę od dwojga turystów z Fundacji. Jeszcze przed wieczorem znałem wszystkie ważne szczegóły i, jak już mówiłem, oprócz mnie nie ma na Kalganie żadnych turystów z Fundacji. Wiemy o tym.

— Jacy „my”?

— "My” to „my”. Chociażby ja! Wiedziałem, że jesteście w hangarze… Ktoś podsłuchał, jak rozmawialiście o tym. Swoimi sposobami sprawdziłem rejestr i odszukałem wasz statek.

— Pani pochodzi z Fundacji, prawda? — Zwrócił się nagle do Bayty. Jest pani członkinią opozycji demokratycznej — nazywają to „podziemiem”. Nie pamiętam pani nazwiska, ale zapamiętałem twarz. Opuściła pani Fundację niedawno… a nie udałoby się to, gdyby miała pani wyższą pozycję w organizacji.

Bayta wzruszyła ramionami.

— Dużo pan wie.

— Owszem. Uciekła pani z mężczyzną. To ten?

— A czy moja odpowiedź ma jakieś znaczenie?

— Nie. Chcę po prostu, żebyśmy się dobrze rozumieli. Zdaje mi się, że hasło na ten tydzień, kiedy pani odleciała w takim pośpiechu, brzmiało „Seldon, Hardin i Fundacja”. Dowódcą pani sekcji był Porfirat Hart.

— Skąd pan o tym wie? — Bayta była wyraźnie wzburzona. — Złapała go policja? — Toran odciągnął ją, ale wyszarpnęła się i podeszła do intruza.

Człowiek z Fundacji rzekł spokojnie:

— Nikt go nie złapał. Ale do podziemia należy wielu ludzi i to w

dziwnych miejscach. Jestem kapitan Hań Pritcher z wywiadu, i sam jestem dowódcą sekcji… nieważne pod jakim nazwiskiem.

Odczekał chwilę, a potem powiedział:

— Nie musicie mi wierzyć. W naszej pracy lepiej jest być zanadto podejrzliwym niż łatwowiernym. Ale może lepiej dokończę te wstępne wyjaśnienia.

— Właśnie — odparł Toran. — Może pan dokończy.

— Mogę usiąść? Dziękuję. — Kapitan Pritcher zarzucił nogę na nogę i swobodnie oparł ramię na poręczy krzesła. — Zacznę od tego, że nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi… to znaczy, o co wam chodzi. Nie jesteście z Fundacji, ale nietrudno zgadnąć, że przybyliście z jednego z tych niezależnych światów handlarzy. To mnie specjalnie nie interesuje, ale chciałbym wiedzieć z czystej ciekawości, po co wam ten facet, ten błazen, którego wzięliście pod swoją opiekę? Ryzykujecie życiem trzymając go.

— Tego nie mogę powiedzieć.

— Hmm… No cóż, spodziewałem się takiej odpowiedzi. Ale jeśli myślicie, że zjawi się tutaj Muł we własnej osobie, przy wtórze rogów, bębnów i organów elektronicznych… to dajcie sobie spokój. Muł nie postępuje w ten sposób.

— Co? — krzyknęli jednocześnie Toran i Bayta, a siedzący w kącie Magnifico, który tak wyciągał uszy, że wydawało się, iż dotknie ich nimi lada moment, podskoczył radośnie.

— To, co słyszycie. Próbowałem skontaktować się z nim i używałem sposobów, o jakich wy, amatorzy, nie macie pojęcia. Bez skutku. Ten człowiek w ogóle nie pokazuje się publicznie, nie pozwala się fotografować ani holografować i spotyka się tylko ze swymi najbliższymi współpracownikami.

— I to ma wyjaśniać pańskie zainteresowanie nami, kapitanie? — spytał Toran.

— Nie. Chodzi mi o tego błazna. Jest on jedną z tych niewielu osób, które widziały Muła. Chcę go mieć. On może dostarczyć dowodów, których mi potrzeba… Muszę coś mieć. Muszę coś mieć, żeby obudzić Fundację z uśpienia…

— To trzeba ją budzić? — przerwała mu ostro Bayta. — Po co? W jakiej roli chce pan wystąpić — w roli demokraty walczącego o poszanowanie praw, czy w roli tajnego agenta i prowokatora?

Twarz kapitana stężała.

— Kiedy cała Fundacja znajduje się w niebezpieczeństwie, pani rewolucjonistko, przestaje się liczyć konflikt między demokratami i tyranami. Najpierw ochrońmy tyranów przed większym tyranem, a potem przyjdzie kolej na nich.

— A kto jest większym tyranem?! — wybuchnęła Bayta.

— Muł! Wiem o nim trochę… wystarczająco dużo, żeby ponieść

śmierć z jego rozkazu. Na szczęście działałem ostrożnie. Każcie błaznowi stąd wyjść. Musimy teraz pomówić bez świadków.

— Magnifico — powiedziała Bayta, wskazując ręką na drzwi i błazen wyszedł bez szemrania.

Kapitan zaczął mówić poważnym, sugestywnym głosem, ale tak cicho, że Toran i Bayta musieli się bliżej przysunąć, żeby dobrze słyszeć.

— Muł jest inteligentnym politykiem… zbyt inteligentnym, żeby nie wiedzieć o tym, jak korzystny wpływ na rządzonych wywierają osobiste kontakty z przywódcą, jego urok i czar. A więc jeśli nie korzysta z tej możliwości, to musi mieć istotny powód. Na pewno boi się, że kontakty osobiste ujawniłyby coś, czego w żadnym wypadku nie można ujawnić, coś nadzwyczaj ważnego.

Bayta i Toran mieli już pytanie na ustach, ale powstrzymał ich ruchem ręki i mówił szybko dalej:

— Byłem w jego rodzinnych stronach, żeby się czegoś o tym dowiedzieć i rozmawiałem z ludźmi, którzy długo już nie pożyją, bo za dużo wiedzą. Zresztą niewielu takich zostało. Pamiętają dziecko, które przyszło na świat trzydzieści lat temu… śmierć jego matki… jego dziwne dzieciństwo i młodość. Muł nie jest istotą ludzką!

Bayta i Toran odskoczyli przerażeni. Nie pojmowali dokładnie znaczenia jego słów i nie byli w stanie wyobrazić sobie konsekwencji tego, o czym przed chwilą usłyszeli, ale przeniknęła ich niewypowiedziana groza.

— To mutant — ciągnął kapitan — i to, jak wskazuje jego kariera, szczególnie uzdolniony. Nie znam jego możliwości i nie wiem w jakim stopniu jest on postacią, którą w komiksach określa się mianem supermana, ale fakt, że w ciągu dwóch lat zdołał z osoby, o której nikt nie słyszał, przeistoczyć się we władcę Kalgana, mówi sam za siebie. Chyba teraz widzicie, jakie grozi nam niebezpieczeństwo, prawda? Czy Seldon mógł wziąć pod uwagę w swoim planie pojawienie się przypadkowej genetycznej kombinacji, wyniku niemożliwych z natury rzeczy do przewidzenia procesów biologicznych?

Bayta rzekła z ociąganiem:

— Nie wierzę w to. To jakiś podstęp. Jeśli Muł jest supermanem, to dlaczego jego ludzie nie zabili nas, kiedy mogli to zrobić?

— Powiedziałem już, że nie znam charakteru ani rozmiaru tej mutacji. Może nie jest jeszcze gotowy, żeby uderzyć na Fundację. W takiej sytuacji unikanie okazji, która mogłaby dać Fundacji pretekst do ataku, jest oznaką jego wielkiej mądrości. Może pozwolicie mi porozmawiać z błaznem?

Kapitan zwrócił się do drżącego Magnifica, który najwidoczniej nie dowierzał temu potężnemu surowo nań patrzącemu mężczyźnie.

— Widziałeś Muła na własne oczy? — zaczął ostrożnie kapitan.

— Aż za bardzo dobrze, wielmożny panie. I poznałem na własnej skórze ciężar jego ręki.

— Nie wątpię. Możesz go opisać?

— Nogi mi się trzęsą na samo jego wspomnienie, wielmożny panie. To człowiek potężnej budowy. Przy nim nawet pan wyglądałby jak chuchro. Ma jaskrawo szkarłatne włosy i nawet wytężając wszystkie swoje siły nie dałbym rady przesunąć choćby o włos jego wyciągniętej ręki. — Magnifico skurczył się i wyglądał jak bezładna kupa nóg i rąk. — Często, żeby zabawić swoich generałów albo dla własnej przyjemności, podnosił mnie jednym palcem za pasek i trzymał w górze, a ja, szczękając zębami, gadałem wiersze. Puszczał mnie dopiero po dwudziestym wersie, a każdy musiałem improwizować, i wszystkie musiały się dokładnie rymować, bo inaczej zaczynałem od nowa. On jest człowiekiem o niezwykłej sile, wielmożny panie, i bardzo okrutnym… i nikt nie widział jego oczu.

— Co? Co to znaczy?

— On nosi dziwne okulary, wielmożny panie. Mówią, że są one nieprzeźroczyste i że widzi dzięki jakiejś magicznej sile, która przekracza wszelkie ludzkie umiejętności. Słyszałem — jego głos przeszedł w tajemniczy szept — że ujrzeć jego oczy, to ujrzeć śmierć, że on zabija wzrokiem, wielmożny panie.

Magnifico spoglądał na nich rozbieganymi oczami. Zadrżał.

— To szczera prawda. Przysięgam na moją głowę, że to prawda.

Bayta wzięła głęboki oddech.

— Wygląda na to, że ma pan rację, kapitanie. Chce pan przejąć dowództwo?

— Hmm, zastanówmy się nad sytuacją. Nie jesteście tu nic winni? Bariera hangaru jest otwarta?

— Mogę się wznieść w każdej chwili.

— Więc niech pan rusza. Muł może nie życzyć sobie wzbudzenia wrogości Fundacji, ale naraziłby się na duże ryzyko, pozwalając uciec błaznowi. To prawdopodobnie tłumaczy, dlaczego go tak szukano. Tak więc, w górze mogą już na pana czekać ich statki. Jeśli zaginie pan w przestrzeni bez wieści, to kto odkryje zbrodnię?

— Ma pan rację — rzekł ponuro Toran.

— Niemniej jednak ma, pan ekran ochronny, a pana statek jest prawdopodobnie szybszy niż te, którymi oni dysponują, więc jak tylko wydostanie się pan z atmosfery, niech pan przeleci na luzie nad drugą półkulą, a potem wzniesie się w górę na maksymalnym przyspieszeniu.

— Tak — rzekła zimno Bayta — a kiedy znajdziemy się na Fundacji, to co wtedy?

— Jak to, przecież jesteście obywatelami Kalgana przyjaznymi Fundacji, prawda? Nic poza tym o was nie wiem, może nie?

Nikt nic nie odpowiedział. Toran zasiadł za sterami. Statek niedostrzegalnie się przechylił.

Kiedy Toran zostawił już Kalgan wystarczająco daleko z tyłu, aby spróbować pierwszego skoku międzygwiezdnego, kapitan Pritcher po raz pierwszy nieco rozchmurzył twarz, gdyż nie próbował ich zatrzymać żaden statek Muła.

— Wygląda na to, że pozwala nam zabrać Magnifica — rzekł Toran. — To fatalnie dla pana historii.

— Albo chce, żebyśmy go zabrali — odparł kapitan. — W takim przypadku to fatalnie dla Fundacji.

Byli już po ostatnim skoku, w niewielkiej odległości od Fundacji, kiedy dotarły do nich pierwsze wiadomości ultrafalowe. Pod koniec spiker podał krótką informację, że jakiś władca, którego nazwiska nie wymienił, wysłał na Fundację swych przedstawicieli w związku z uprowadzeniem siłą członka jego dworu i przeszedł do wydarzeń sportowych.

Kapitan Pritcher rzekł lodowato:

Mimo wszystko, wyprzedził nas o krok. — Zamyślił się, a potem dodał: — Jest już gotowy do ataku na Fundację, a to wykorzysta jako pretekst. To nam komplikuje sprawy. Będziemy musieli zacząć działać, zanim zdążyliśmy się przygotować.

Psycholog

Nie bez powodu dziedzina życia zwana „czystą nauką” cieszyła się na Fundacji największą swobodą. W Galaktyce, w której dominacja, a nawet przetrwanie Fundacji, mimo wielkiego wzrostu jej siły militarnej w czasie ostatnich stu pięćdziesięciu lat, zależały od przewagi jej technologii nad technologią innych planet i systemów, naukowiec miał zapewniony immunitet. Był potrzebny i wiedział o tym.

Również nie bez powodu Ebling Mis (tylko ci, którzy go nie znali, tytułowali go doktorem i profesorem) cieszył się największą swobodą spośród ludzi zajmujących się „czystą nauką”. W świecie, w którym nauka miała wielkie poważanie, on był Uczonym — z dużej litery, i to zupełnie poważnie. Był potrzebny i wiedział o tym.

Zdarzyło się więc, że kiedy inni przyklękali, Ebling Mis nie tylko nie poszedł w ich ślady, ale głośno oświadczył, że jego przodkowie nie klękali przed jakimś śmierdzącym burmistrzem. I że w czasach jego przodków burmistrz był wybierany na swój urząd i zrzucany z niego według życzenia wyborców, a jedynymi ludźmi, którzy coś dziedziczyli z racji pochodzenia, byli urodzeni idioci.

Zdarzyło się również, że kiedy Ebling Mis zdecydował się pozwolić burmistrzowi Indburowi, aby zaszczycił go udzielając mu audiencji, nie czekał aż jego żądanie zostanie przekazane zwykłą, formalną drogą i nadejdzie łaskawa odpowiedź, ale zarzuciwszy na ramiona bardziej przyzwoitą ze swych dwóch wizytowych marynarek, wcisnąwszy fantazyjnie na głowę dziwaczny kapelusz o nieprawdopodobnym kształcie i zapaliwszy na dodatek zabronione cygaro, wpakował się, nie zwracając uwagi na protesty dwóch strażników, do pałacu burmistrza.

Obecność intruza w pałacu doszła do świadomości burmistrza, kiedy usłyszał dobiegające do ogrodu okrzyki usiłującej kogoś zatrzymać służby i odpowiadający im ryk nieartykułowanych przekleństw.

Wolno odłożył swój rydel, wyprostował się i równie wolno zmarszczył czoło. Albowiem burmistrz Indbur pozwalał sobie codziennie na pewien odpoczynek po pracy, i każdego popołudnia, jeśli pozwalała na to pogoda, spędzał dwie godziny w swym ogrodzie. Kwiaty w ogrodzie burmistrza rosły w trójkątnych i kwadratowych klombach. Każdy klomb składał się z ułożonych na przemian grządek czerwonych i żółtych kwiatów, a w wierzchołkach tych o kształcie trójkąta rosły kępki fiołków. Całość otoczona była zielenią zasadzoną wzdłuż sztywnych, prostych linii. W ogrodzie nikt go nie niepokoił — nikt!

Idąc w stronę małej furtki, Indbur zdjął pobrudzone ziemią rękawiczki. „Co to wszystko ma znaczyć”?

Jest to dokładnie to pytanie, które zadaje w takich sytuacjach niewiarygodnie duża liczba ludzi od czasu, jak wynaleziono ludzkość. Nie zanotowano ani jednego przykładu, żeby ktoś zadał je w innym celu niż dla podkreślenia swojej godności.

Tym razem jednak było inaczej, gdyż właśnie ukazał się Mis, ryczący i grożący pięścią tym, którzy wciąż trzymali strzępy jego płaszcza.

Indbur odprawił ich wyrażającym wyraźne niezadowolenie zmarszczeniem brwi, a Mis schylił się, podniósł to, co zostało z jego kapelusza, strząsnął z niego niezłą garść piachu, następnie wsunął go pod pachę i powiedział:

— Słuchaj, Indbur, oskarżę tych twoich durnych pachołków o zniszczenie porządnej marynarki. Mógłbym ją jeszcze długo nosić.

Wypuścił kłąb dymu i otarł czoło nieco teatralnym gestem.

Burmistrz stał sztywno. Powiedział wyniośle z wysokości pięciu stóp i dwu cali:

— Nic mi nie wiadomo o tym, Mis, żeby pan prosił o audiencję. Z pewnością nie wyznaczyłem jej panu.

Ebling Mis spojrzał z góry na burmistrza ze zdziwieniem i niedowierzaniem:

— Na Galaktykę, Indbur, nie otrzymałeś wczoraj kartki ode mnie? Przedwczoraj wręczyłem ją lokajowi w szkarłatnej liberii. Wręczyłbym ją bezpośrednio tobie, ale wiem, że uwielbiasz formalności.

— Formalności! — jęknął Indbur i wzniósł oczy do góry. Potem rzekł ze złością: — Słyszał pan kiedy o właściwej organizacji pracy? W przyszłości ma pan składać prośbę o audiencję na papierze, w trzech egzemplarzach, w odpowiednim biurze. Potem ma pań czekać, aż nadejdzie normalnym trybem zawiadomienie o dniu audiencji. Potem ma pan zjawić się odpowiednio ubrany — odpowiednio ubrany, rozumie pan? — i zachowywać się z odpowiednim szacunkiem. Może pan odejść.

— Co ci się nie podoba w moim ubraniu? — zareagował gwałtownie Mis. — To była moja najlepsza marynarka, do chwili, kiedy ci niecenzuralni durnie złapali ją w swoje szpony. Odejdę, jak tylko powiem to, co przyszedłem powiedzieć. Na Galaktykę, gdyby nie chodziło tu o kryzys Seldona, to odszedłbym w tej chwili.

Kryzys Seldona! — Indbur po raz pierwszy okazał zainteresowanie. Mis był wielkim psychologiem — z pewnością demokratą, gburem i wywrotowcem, ale przede wszystkim psychologiem. Pogrążony w niepewności, burmistrz powstrzymał się nawet przed wyrażeniem swego oburzenia, kiedy Mis zerwał z klombu kwiatek, powąchał i krzywiąc się odrzucił, chociaż poczuł na ten

widok ukłucie w sercu.

— Może pozwoli pan ze mną? — rzekł zimno burmistrz. — Ten ogród nie jest przeznaczony do poważnych rozmów.

Poczuł się lepiej zasiadłszy na wysokim krześle za swoim potężnym biurkiem, skąd mógł spoglądać na kilka włosków będących skromną ozdobą różowej czaszki Misa. Poczuł się jeszcze lepiej, kiedy Mis zaczął się rozglądać po pokoju bezskutecznie wypatrując krzesła i w końcu stanął przed biurkiem przestępując z nogi na nogę. A już zupełnie dobrze poczuł się wtedy, kiedy w odpowiedzi na staranne naciśnięcie odpowiedniego przycisku na biurku wszedł ubrany w liberię sługa, skłonił się i złożył na biurku opasły, oprawny w metal tom.

— Teraz — powiedział Indbur czując się znowu panem sytuacji — żeby skrócić do minimum tę nieprzewidzianą audiencję, proszę się streszczać i powiedzieć w kilku słowach, co pana tu sprowadza.

— Wiesz, czym się teraz zajmuję? — spytał niespiesznie Ebling Mis.

— Mam tu pańskie sprawozdania, wraz z ich autoryzowanym streszczeniem — odparł burmistrz z satysfakcją. — O ile dobrze rozumiem, celem pańskich badań nad matematyką psychohistorii jest odtworzenie pracy Hariego Seldona i prześledzenie zaplanowanego przez niego biegu przyszłych wydarzeń dla użytku Fundacji.

— Zgadza się — rzekł sucho Mis. — Kiedy Seldon założył Fundację, postarał się, żeby wśród sprowadzonych tu naukowców nie było psychologów i żeby Fundacja zawsze ślepo podążała kursem wytyczonym przez konieczność historyczną.

W moich badaniach oparłem się w znacznej mierze na tym, co znaleziono w Krypcie Czasu.

— Wiem o tym, Mis. Szkoda czasu, żeby to powtarzać.

— Niczego nie powtarzam — wrzasnął Mis — bo tego, co chcę teraz powiedzieć, nie ma w żadnym z moich sprawozdań!

— Co to znaczy „nie ma w sprawozdaniach”? — spytał idiotycznie Indbur. — Jak pan mógł…

— Na Galaktykę! Daj mi to powiedzieć własnymi słowami, ty obrażalski konusie! Przestań się wtrącać i czepiać każdego mojego zdania, bo pójdę sobie i to wszystko zwali ci się na łeb. Pamiętaj, ty [niecenzuralne] durniu, że Fundacja wyjdzie z tego cało, bo musi, ale jeśli ja stąd teraz wyjdę, to ty się z tego nie wykaraskasz.

Cisnął kapelusz na ziemię, aż posypały się z niego zeschnięte grudki błota, wskoczył na podwyższenie, na którym stało biurko, odsunął gwałtownie papiery i siadł na jego blacie.

Indbur zastanawiał się gorączkowo, czy wezwać straż, czy skorzystać z wbudowanych w biurko miotaczy. Ale już pochylił się nad nim Mis, patrząc na niego wściekłym wzrokiem i najlepsze, co

mógł zrobić w tej sytuacji, to udawać, że nic się nie stało.

— Doktorze Mis — zaczai, starając się nadać głosowi urzędowy ton — musi pan…

— Zamknij się — warknął Mis gniewnie — i słuchaj. Jeśli to tutaj — położył dłoń na oprawionym w metal tomie — to moje sprawozdania, to wyrzuć to. Każde moje sprawozdanie przechodzi przez dwudziestu paru urzędników, zanim dotrze do ciebie, a potem wraca przez dwudziestu innych do archiwum. To znakomity system, jeśli nie chce się czegoś utrzymać w tajemnicy. A ja mam wiadomość poufną. Tak poufną, że nawet ludzie, którzy dla mnie pracują, nic o tym nie wiedzą. Oczywiście to oni wykonali tę pracę, ale każdy zajmował się tylko pewnym wycinkiem, który sam w sobie niewiele znaczy, a ja to złożyłem do kupy. Wiesz, co to takiego Krypta Czasu?

Indbur skinął głową, a Mis mówił dalej, komentując przy tym głośno i z rozbawieniem swoją sytuację.

— No cóż, i tak ci powiem, bo wyobrażałem sobie tę niemożliwą sytuację przez galaktycznie długi czas… Czytam w twoich myślach, ty małostkowy krętaczu! Trzymasz cały czas. prawą rękę koło małego guziczka, który sprowadzi tu z pół tysiąca uzbrojonych strażników, żeby mnie wykończyć, ale boisz się tego, o czym ja wiem — boisz się Kryzysu Seldona. Oprócz tego, jeśli tylko dotkniesz czegoś na biurku, to rozwalę ten twój niemożliwy łeb, zanim ktokolwiek zdąży mi przeszkodzić. Nawiasem mówiąc ty, ten bandyta — twój ojciec i ten pirat — twój dziadek już za długo pijecie krew z Fundacji.

— To zdrada — wybełkotał Indbur.

— Oczywiście, że to zdrada — zgodził się Mis rozkoszując się przerażeniem burmistrza — ale co na to poradzisz? Posłuchaj lepiej, co ci powiem o Krypcie Czasu. To jest to, co zbudował tu Seldon na samym początku, aby pomagać nam w ciężkich chwilach. Na każdy kryzys Seldon przygotował swój hologram — aby nam pomagać, wyjaśniać sprawy. Po raz pierwszy pojawił się w szczytowym momencie pierwszego kryzysu. Po raz drugi — tuż po szczęśliwym zażegnaniu drugiego. Za każdym razem byli tam nasi przodkowie, aby go wysłuchać. Podczas trzeciego i czwartego kryzysu zignorowano go… prawdopodobnie dlatego, że nie był potrzebny, ale wyniki ostatnich badań — których nie ma w tych sprawozdaniach — wskazują na to, że mimo wszystko ukazał się w Krypcie, i to za każdym razem we właściwym czasie. Rozumiesz?

Nie czekał na odpowiedź. Odrzucił zmiętoszone, wygasłe cygaro, poszukał w kieszeni innego, wyjął i zapalił, Gwałtownie wydmuchnął dym.

— Oficjalnie — mówił dalej — staram się odtworzyć naukę psychohistorii. No cóż, żaden człowiek nie dokona tego w pojedynkę, a poza tym to nie jest zadanie na sto lat. Ale mam pewne osiągnięcia,

jeśli chodzi o prostsze elementy tej wiedzy i używam tego jako przykrywki dla badań nad Kryptą Czasu. Otóż udało mi się ustalić, z prawie całkowitą pewnością, dokładną datę najbliższego pojawienia się Hari Seldona. Mówiąc innymi słowy, mogę ci podać dokładnie, którego dnia, nadchodzący, już piąty kryzys Seldona osiągnie punkt krytyczny.

— Ile zostało czasu? — spytał Indbur z napięciem.

— Cztery miesiące — oznajmił Mis z pogodną nonszalancją. — Cztery… [niecenzuralne] miesiące bez dwóch dni.

— Cztery miesiące — powiedział Indbur z dziwną u niego porywczością. — To niemożliwe.

— Niemożliwe, niech mnie… [niecenzuralne].

— Cztery miesiące? Rozumie pan, co to znaczy? Jeśli kryzys osiągnie punkt szczytowy za cztery miesiące, to znaczy, że zaczął się wiele łat temu.

— A dlaczego nie? Czy jest takie prawo przyrody, zgodnie z którym proces ten musiał postępować w pełnym blasku dnia?

— Ale przecież nie zagraża nam nic. Nic nie wisi nad nami — Indbur prawie wykręcił sobie rękę ze zdenerwowania. W nagłym przypływie wściekłości wrzasnął: — Zejdź wreszcie z tego biurka, żebym mógł tu zrobić porządek. Jak ja mogę myśleć w takiej sytuacji!

Spłoszony Mis podniósł się ciężko i odszedł na bok.

Indbur ustawiał gorączkowo przedmioty na ich właściwych miejscach, mówiąc przy tym szybko:

— Nie ma pan prawa przychodzić tu w taki sposób. Gdyby pan przedstawił swoją teorię…

— To nie jest teoria.

— Ja mówię, że to jest teoria. Gdyby przedstawił ją pan w odpowiedni sposób i poparł dowodami, to zostałaby skierowana do Biura Nauk Historycznych. Tam zbadano by ją odpowiednio, przedstawiono mi wyniki analiz i wtedy oczywiście podjęto by odpowiednie działania. W obecnym stanie rzeczy niepotrzebnie mnie pan niepokoi… Aha, tutaj jest…

Trzymał w ręku przeźroczystą, srebrzystą kartkę papieru. Potrząsnął nią w kierunku psychologa.

— Oto krótkie streszczenie bieżących spraw międzyplanetarnych, które co tydzień sam przygotowuję. Niech pan słucha… podpisaliśmy porozumienie handlowe z Mores, prowadzimy rozmowy w sprawie takiego samego porozumienia z Lyonesse, wysłaliśmy delegację na Bonde, żeby wzięła udział w jakichś uroczystościach, otrzymaliśmy z Kalgana jakąś skargę, którą obiecaliśmy się zająć, złożyliśmy protest przeciwko pewnym niedopuszczalnym praktykom handlowym na Aspercie i obiecano nam zająć się tą sprawą, i tak dalej, i tak dalej… — Burmistrz przebiegł wzrokiem całą listę, a potem starannie włożył

kartkę na odpowiednie miejsce, do odpowiedniej teczki w odpowiedniej przegródce.

— Mówię panu, Mis, że wszystko Wokół tchnie spokojem i nie ma…

W drugim, odległym końcu pokoju otworzyły się nagle drzwi i wszedł skromnie ubrany dostojnik. Indbur z wrażenia aż uniósł się z krzesła. Nigdy by nie uwierzył, że tak dziwny, jakby wyreżyserowany ręką dramaturga, zbieg przypadków może się naprawdę zdarzyć. Ogarnęło go niemiłe uczucie nierzeczywistości, jak zawsze wtedy, kiedy zbyt wiele dzieje się w ciągu jednego dnia. Po nagłym wtargnięciu Misa do jego sanktuarium i jego dzikich wybrykach zjawił się oto w sposób równie niewłaściwy, gdyż niezapowiedziany, a więc psujący ustalony porządek rzeczy, jego własny sekretarz, który przecież zna obowiązujące zasady.

Sekretarz przyklęknął i pochylił głowę.

— No?! — rzekł ostro Indbur.

— Ekscelencjo — zaczął sekretarz, zwracając się do podłogi — kapitan Hań Pritcher z wywiadu, wracający z Kalgana, dokąd udał się wbrew pana instrukcjom, został, zgodnie z pana wcześniejszym poleceniem nr X20-513, aresztowany i czeka na egzekucję. Osoby mu towarzyszące zostały zatrzymane dla potrzeb śledztwa. Pełny raport został przekazany do kartoteki.

Indbur rzekł z udręką w głosie:

— Otrzymałem pełny raport! No?!

— Ekscelencjo, kapitan Pritcher zameldował o niebezpiecznych knowaniach nowego władcy Kalgana. Zgodnie z pana wcześniejszą instrukcją nr X20-651, Pritcher nie był formalnie przesłuchiwany, ale nagrano jego uwagi i przekazano pełny raport do akt.

Indbur wrzasnął:

— Otrzymałem pełny raport! No?!

— Ekscelencjo, kwadrans temu otrzymaliśmy meldunek z granicy salinniańskiej. Na terytorium Fundacji pojawiły się statki zidentyfikowane jako kalgańskie. Są uzbrojone. Doszło do walk.

Sekretarz zgiął się prawie we dwoje. Indbur stał bez ruchu. Mis otrząsnął się, podszedł ciężko do sekretarza i klepnął go mocno w ramię.

— Słuchaj — rzekł. — Postaraj się lepiej, żeby wypuścili tego kapitana Pritchera i przyprowadź go tutaj. Idź!

Sekretarz wyszedł, a Mis odwrócił się do burmistrza.

— Chyba lepiej by było, żebyś wprawił maszynerię w ruch, co? Cztery miesiące, pamiętasz?

Indbur stał jak słup soli, ze szklanym wzrokiem utkwionym w ścianę. Tylko jedna część jego ciała zdawała się należeć do istoty żywej. Był to palec, którym Indbur kreślił szybko nierówne trójkąty po

blacie stojącego przed nim biurka.

Konfederacja

Kiedy dwadzieścia siedem niepodległych światów handlarzy, zjednoczonych tylko wspólną niechęcią do macierzystej planety, Fundacji, porozumiewa się ze sobą w sprawie zwołania powszechnej konferencji, a mieszkańców każdego z tych światów rozpiera duma zrodzona z poczucia jego małości i niemal wyspiarskiej izolacji, podsycana świadomością nieustannie grożącego niebezpieczeństwa, to podczas rokowań wstępnych pojawiają się trudności dotyczące uzgodnienia stanowiska w sprawie tak nieistotnych drobiazgów, że nawet najbardziej zagorzali zwolennicy porozumienia zaczynają w pewnej chwili wątpić w celowość i skuteczność swych zabiegów.

Nie wystarczy ustalić z góry takie szczegóły jak procedura głosowania i rodzaj przedstawicielstwa, czy mianowicie liczba delegatów ma być proporcjonalna do liczby światów, czy liczby ludności. Chodzi tu o prestiż polityczny poszczególnych światów. Nie wystarczy ustalić porządek, w jakim zasiądą delegaci w sali obrad, jak i podczas obiadu. Chodzi tu o prestiż poszczególnych delegatów. A właściwie przede wszystkim ustalić miejsce konferencji, co jest szczególnie trudne, jeśli zważy się zatwardziały prowincjonalizm obecnych handlarzy.

Tak więc głównym przedmiotem sporu była sprawa miejsca spotkania. Ostatecznie, po długich targach, drogą zawiłych rozmów dyplomatycznych, udało się uzyskać zgodę wszystkich zainteresowanych na Radole, świat, który pewni komentatorzy już na samym początku rozmów typowali do tej roli z racji jego centralnego położenia.

Był to niewielki świat, o prawdopodobnie najniższym potencjale militarnym spośród wszystkich uczestników konferencji. Nawiasem mówiąc, był to czynnik, który zaważył na jego wyborze.

Był to świat pasmowy, jakich wiele w Galaktyce, ale z których tylko bardzo nieliczne są zamieszkałe. Innymi słowy, był to świat, którego jedna półkula pogrążona była w niemożliwym do zniesienia upale, druga w takimż zimnie, zaś strefa, w której mogło rozwijać się życie, ograniczała się do spowitego wiecznym brzaskiem pasma między oboma półkulami.

Taki świat uważany jest bez wątpienia za niegościnny przez wszystkich, którzy tam nie byli, ale istnieją tam strategicznie dobrze położone miejsca i w takim właśnie miejscu znajdowało się miasto Radole.

Rozciągało się ono u podnóża łagodnie opadających wzgórz, za którymi ciągnął się potężny łańcuch górski odgradzający je od półkuli zimnej i powstrzymujący napór lodowca. Z drugiej strony napływało

ciepłe, suche powietrze półsłońca. Wodę sprowadzano rurociągiem z gór. Położone między dwoma skrajnie przeciwstawnymi i skrajnie niegościnnymi półkulami, miasto Radole stało się kwitnącym ogrodem skąpanym w wiecznym poranku pięknego czerwcowego dnia.

Każdy dom nurzał się w morzu kwiatów wspaniale rozwijających się w tym łagodnym klimacie. Każdy ogród był poletkiem doświadczalnym, na którym rosły luksusowe rośliny o fantastycznych kształtach, których eksport przynosił wysokie zyski. W tych warunkach Radole, z typowego świata handlarskiego, przeistoczyło się niemal całkowicie w świat rolniczy.

Tak więc Radole było rajskim ogrodem — oazą życia, komfortu i sielskości na tej strasznej planecie. Również i ten czynnik wzięto pod uwagę przy wyborze Radole na miejsce konferencji.

Zjechali się goście z pozostałych dwudziestu sześciu światów handlarskich — delegaci z żonami, sekretarze, dziennikarze i załogi ich statków, i ludność Radole niemal się podwoiła. Ledwie udało się wszystkich pomieścić. Jedzono i pito do woli, i w ogóle nie spano.

Mimo to, tylko niewielu spośród tych hulaków nie zdawało sobie sprawy z faktu, że cały ten sektor Galaktyki pogrąża się z wolna w dziwnej, cichej, jakby sennej wojnie. Tych, którzy byli świadomi tego stanu rzeczy, można by podzielić na trzy grupy. Do pierwszej, najliczniejszej, należeli ludzie, którzy co prawda wiedzieli niewiele, ale za to byli bardzo pewni siebie…

Jednym z nich był młody pilot z wstążką o znakach Haven przymocowaną do sprzączki czapki, który podniósłszy szklankę do oczu zdołał poprzez nią uchwycić uśmiech radolańskiej dziewczyny siedzącej naprzeciw niego.

— Lecąc tutaj znaleźliśmy się w strefie ogarniętej wojną — mówił. — Specjalnie lecieliśmy na jałowym biegu przez minutę świetlną albo coś koło tego tuż obok Horleggora…

— Horleggora? — wpadł mu w słowa długonogi tubylec, który pełnił rolę gospodarza tego zebrania. — To jest to miejsce, gdzie Muł dostał łupnia w ubiegłym tygodniu, tak?

— Gdzie to słyszałeś? — spytał z ironicznym uśmieszkiem pilot.

— Fundacja podała przez radio…

— Tak? No to przyjmij do wiadomości, że Muł zdobył Horleggor. O mały włos nadzialibyśmy się na konwój jego statków, które stamtąd wracały. Kiedy się zostaje na miejscu walki, a ten, co niby dał łupnia, zwiewa co sił w maszynach, to nie jest dawanie łupnia.

Odezwał się na to wysoki, niewyraźny głos:

— Nie opowiadaj takich rzeczy. Na początku Fundacja zawsze dostaje po szczęce. Zobaczysz, co będzie dalej. Tylko siadaj i patrz. Fundacja wie, kiedy ma wrócić. A wtedy — trzask, i po wszystkim! — zakończył równie niewyraźnie stojący dalej mężczyzna i wyszczerzył

zęby w tępym uśmiechu.

W każdym razie — odezwał się po krótkim milczeniu pilot z Haven — widzieliśmy, jak mówiłem, statki Muła i wyglądały zupełnie porządnie, zupełnie porządnie. I wiecie, co powiem? Wyglądały na zupełnie nowe.

— Nowe? — spytał ze zdziwieniem krajowiec. — Sami je budują? — Zerwał liść ze zwisającej mu nad głową gałęzi, powąchał go delikatnie, włożył do ust i rozgryzł. Z liścia pociekł zielony sok, pachnący miętą. Powiedział żując:

— Chcesz mi wmówić, że biją statki Fundacji za pomocą pudeł domowej roboty? Możesz sobie gadać.

— Widzieliśmy je, mądralo. A ja potrafię odróżnić statek od komety.

Tubylec pochylił się nad nim.

— Wiesz, o co mi chodzi. Słuchaj, nie udawaj dzieciaka. Wojny nie zaczynają się bez powodu… mamy paru bystrzachów, którzy się tym zajmują. Oni wiedzą, co robią.

Ten, który miał już w czubie, odezwał się znowu, niespodziewanie głośno:

— Tylko patrz na Fundację. Czekają do ostatniej chwili, a potem — trzask! — rozdziawił gębę w uśmiechu i patrzył mętnym wzrokiem na dziewczynę, która szybko odsunęła się dalej.

— Może myślisz, stary zaczai Radolańczyk — że to ten Muł wszystko nakręcił, co? Nic z tego! — pomachał przecząco palcem. — Z tego, co słyszałem, i to… uważaj… od kogoś z góry, on jest naszym człowiekiem. Dajemy mu forsę i prawdopodobnie budujemy dla niego statki. Myślmy rozsądnie — prawdopodobnie to nasza robota. Jasne, na dłuższą metę nie da rady z Fundacją, ale może ich osłabić, a kiedy to zrobi, my wkroczymy do akcji.

— Nie potrafisz mówić o niczym — innym, tylko o wojnie, Klev? Nie mogę już tego słuchać — odezwała się dziewczyna.

Pilot z Haven w nagłym przypływie galanterii zaproponował:

— Zmień temat. Nie można nudzić dziewczyn. Zalany gość zaczął coś śpiewać, stukając do rytmu kuflem. Potworzyły się pary, które ze śmiechem i chichotem zaczęły gdzieś znikać, a z solarium w oddali wyłoniło się kilka innych par.

Rozmowa zaczęła się obracać wokół bardziej ogólnych, bardziej zróżnicowanych i mniej istotnych tematów.

Do drugiej grupy należeli ci, którzy wiedzieli więcej i byli mniej pewni siebie.

Jednym z nich był jednoręki Frań, który reprezentował Haven jako oficjalny delegat, i w konsekwencji prowadził teraz intensywne życie, zawierając nowe znajomości — z kobietami, kiedy mógł, i z mężczyznami, kiedy musiał.

Po raz pierwszy i, jak się potem okazało, przedostatni podczas swego pobytu na Radole odetchnął trochę od swych zajęć na tarasie słonecznym znajdującego się na szczycie wzgórza domu, który należał do jednego z jego nowych znajomych. Owym znajomym był Iwo Lyon, bratnia dusza z Radole. Dom lwa znajdował się nieco na uboczu, z dala od centrum miasta. Wokół pachniały kwiaty i brzęczały owady. Taras słoneczny znajdował się na trawiastym zboczu nachylonym pod kątem czterdziestu pięciu stopni do poziomu. Na tym to właśnie zboczu wyciągnął się Frań i z zadowoleniem wygrzewał się w promieniach słońca.

— Nie mamy nic takiego na Haven — powiedział.

— Widziałeś kiedy zimną stronę? — odparł sennym głosem Iwo. — Dwadzieścia mil stąd jest takie miejsce, gdzie tlen płynie jak woda.

— Eee tam!

— Naprawdę.

— . Coś ci powiem, Iwo… W dawnych czasach, no wiesz, kiedy jeszcze miałem drugą rękę… nie uwierzysz w to, ale… — opowieść była długa, i Iwo rzeczywiście nie mógł w nią uwierzyć. Rzekł ziewając:

— Nie ma już takich facetów jak dawniej, taka jest prawda.

— Myślę, że masz rację. Co? — Frań poderwał się nagle. — Nie mów tak. Opowiadałem ci o moim synu, nie? On jest ze starej szkoły, jeśli ci o to chodzi. Będzie z niego wielki handlarz. Niech mnie miotacz trafi! On jest taki sam jak ja. Dokładnie taki sam, z tą różnicą, że jest żonaty.

— Co ty powiesz? Kontrakt na papierze?

Tak jest. Sam w tym nie widzę sensu. Polecieli na Kalgan w podróż poślubną.

— Kalgan? Kalgan? A gdzie to jest, na Galaktykę?

Frań uśmiechnął się szeroko i rzekł wolno i z naciskiem:

— Krótko przed tym, jak Muł wypowiedział Fundacji wojnę.

— Ach tak?

Frań skinął głową i ruchem ręki wskazał Iwowi, żeby się do niego przybliżył. Rzekł ochryple:

— Prawdę mówiąc, mogę ci coś powiedzieć, jeśli nie puścisz tego dalej. Wysłaliśmy mojego chłopaka na Kalgan w pewnym celu. Nie chciałbym teraz mówić o co chodziło, rozumiesz, ale jeśli rozejrzysz się w sytuacji to chyba sam zgadniesz. W każdym razie, mój chłopak w tej sytuacji nadawał się do tego. My, handlarze, potrzebowaliśmy jakiejś awantury uśmiechnął się chytrze. No i mamy awanturę. Nie powiem, jak to zrobiliśmy, ale… mój chłopak poleciał na Kalgan i Muł wysłał swoje statki. Mój syn!

Słowa Frana wywarły na lwie odpowiednie wrażenie. Teraz on zrobił tajemniczą minę i powiedział:

— To dobrze. Wiesz, mówią, że mamy pięćset statków, które są gotowe, żeby we właściwej chwili wkroczyć do akcji.

Frań rzekł autorytatywnie:

— Może nawet więcej. To jest prawdziwa strategia. To lubi? — podrapał się hałaśliwie po brzuchu.

— Ale nie zapominaj, że ten Muł też nie jest w ciemię bity. Niepokoi mnie to, co zdarzyło się w Horleggorze.

— Słyszałem, że stracił koło dziesięciu statków.

— Tak, ale miał sto innych i Fundacja musiała się wycofać. To dobrze, że ci tyrani dostają w skórę, ale trochę to za szybko idzie — potrząsnął głową.

— Zadaję sobie pytanie, skąd Muł bierze statki? Krążą plotki, że to my je dla niego robimy.

— My? Handlarze? Ze wszystkich niezależnych światów Haven ma największe zakłady robiące statki, a nie zbudowaliśmy dla niego nawet jednego. Przypuszczasz, że jakiś świat buduje na własną rękę flotę dla Muła, mając gdzieś zasadę wspólnej akcji i lekceważąc środki ostrożności? To bajka!

— No to skąd on je bierze? Frań wzruszył ramionami.

— Przypuszczam, że sam je robi. I to mnie też niepokoi.

Frań zamrugał powiekami i zacisnął palce stóp na gładkim drewnie wypolerowanego podnóżka. Powoli zapadł w sen i jego ciche pochrapywanie zmieszało się z brzęczeniem i cykaniem owadów.

Na koniec, była nieliczna grupa, zaledwie parę osób, które orientowały się dobrze w sytuacji i które nie miały nawet najmniejszej pewności co do tego, jak sprawy potoczą się dalej.

Należał do nich Randu, który piątego dnia obrad wkroczył do sali głównej, gdzie czekało na niego dwóch zaproszonych na spotkanie mężczyzn. Pięćset miejsc było pustych i miało takimi pozostać podczas ich rozmowy.

Randu rzekł szybko, zanim jeszcze zdążył usiąść:

— My trzej reprezentujemy prawie połowę, potencjału militarnego Niepodległych Światów Handlarzy.

— Tak — odparł Mangin z Iss — mój kolega i ja właśnie rozmawialiśmy o tym.

— Gotów jestem — powiedział Randu — mówić otwarcie i szczerze. Nie interesuje mnie targowanie się ani żadne sztuczki. Nasza sytuacja radykalnie się pogorszyła.

— W wyniku… — chciał wiedzieć dokładnie Ovall Gri z Mnemona.

— Wydarzeń ostatniej godziny. Proszę? Zacznijmy od początku. Po pierwsze, nasza sytuacja nie jest wynikiem naszych działań i wątpliwe jest, czy jesteśmy w stanie ją kontrolować. Pierwotnie weszliśmy w układy nie z Mułem, ale z innymi, w szczególności z

byłym władcą Kalgana, którego Muł pobił w najbardziej nieodpowiednim dla nas momencie.

— Zgoda, ale ten Muł nieźle go zastępuje — powiedział Mangin. — Nie dbam o szczegóły.

— Może zaczniesz, kiedy dowiesz się o wszystkich szczegółach. — Randu pochylił się nad stołem i rozłożył ręce.

— Miesiąc temu — powiedział — wysłałem na Kalgan swego bratanka i jego żonę.

— Swego bratanka! zawołał zaskoczony Ovall Gri. — Nie wiedziałem, że on jest twoim bratankiem.

— W jakim celu? — spytał sucho Mangin. — Po to? — i zatoczył kciukiem kółko w powietrzu.

— Nie. Jeśli masz na myśli wojnę Muła z Fundacją, to nie. Jak mógłbym mierzyć tak wysoko! Mój bratanek nic nie wiedział — ani o naszej organizacji, ani o naszych zamiarach. Powiedziałem mu, że jestem zwykłym członkiem wewnątrzhaveńskiego stowarzyszenia patriotycznego. Na Kalganie miał tylko przyjrzeć się sytuacji i nic więcej. Muszę przyznać, że sam nie bardzo wiedziałem, czego chcę. Przede wszystkim, chciałem się dowiedzieć czegoś więcej o Mule. Muł to dziwny fenomen, ale to sprawa dobrze znana, nie będę się zagłębiał w tę kwestię. Po drugie, byłaby to interesująca i kształcąca lekcja dla człowieka, który poznał Fundację, miał kontakty z jej podziemiem i z którym wiązaliśmy pewne nadzieje na przyszłość. Widzicie…

Długa twarz Ovalla rozciągnęła się jeszcze bardziej, kiedy wyszczerzył w uśmiechu swe duże zęby:

— Musiał cię więc zaskoczyć rezultat jego misji, bo myślę, że nie ma ani jednego handlarza, który by nie wiedział, że ten twój. bratanek porwał fagasa Muła, podając się za obywatela Fundacji i dał mu w ten sposób pretekst do wypowiedzenia wojny. Na Galaktykę, Randu, opowiadasz nam bajki. Trudno mi uwierzyć, że nie maczałeś w tym palców. No, śmiało, to była dobra robota.

Randu potrząsnął siwą głową.

— Ale nie moja. Ani mojego bratanka, który jest teraz więźniem Fundacji i może nie dożyć dnia, kiedy ta dobra robota zostanie wykonana do końca. Na pewno nie zrobił tego rozmyślnie. Właśnie dostałem od niego wiadomość. Jakimś sposobem udało mu się przemycić kapsułkę osobistą. Przedostała się przez obszar ogarnięty wojną, dotarła na Haven, a stamtąd tutaj. Była miesiąc w drodze.

— No i?

Randu położył ciężką dłoń na grzbiecie drugiej i powiedział:

— Obawiam się, że czeka nas ten sam los, co byłego władcę Kalgana. Muł jest mutantem!

Po jego słowach zapadła głucha cisza. Wydawało się, że słychać przyśpieszone bicie serc. W każdym razie Randu mógł to sobie łatwo

wyobrazić.

W końcu odezwał się Mangin. Jego głos nie zdradzał żadnych emocji.

— Skąd o tym wiesz?

Tylko stąd, że tak twierdzi mój bratanek, ale on był na Kalganie.

— A jaki to mutant? Są różne rodzaje, wiesz. Randu opanował zniecierpliwienie.

Tak, Mangin, są różne rodzaje Różne! Ale Muł jest jedyny w swoim rodzaju. Jaki może być mutant, który zaczął od zera, zebrał armię, założył, jak mówią, pierwszą bazę na pięciomilowym asteroidzie, zajął jedną planetę, potem cały system, potem rejon — a potem zaatakował Fundację i pobił ją na Horleggorze. I to wszystko w ciągu dwóch czy trzech lat!

Ovall Gri wzruszył ramionami.

— A więc uważasz, że on pokona Fundację?

— Nie wiem. Ale załóżmy, że tak. Co wtedy?

— Przykro mi, ale nie mogę przyjąć takiej możliwości. Fundacji nie można pokonać. Słuchaj, nie mamy żadnych dowodów oprócz oświadczenia… hmm… niedoświadczonego chłopaka. Może na razie to odłożymy. Mimo tych wszystkich zwycięstw Muła nie martwiliśmy się do tej pory i dopóki nie osiągnie więcej, niż mu się dotąd udało, nie widzę powodu, żebyśmy musieli zmienić nasz stosunek. Tak czy nie?

Randu zachmurzył się. Zdawał sobie sprawę ze słabości swoich argumentów. Zapytał obu:

— Udało nam się już nawiązać jakiś kontakt z Mułem?

— Nie — odparli obydwaj.

— Ale przecież próbowaliśmy, prawda? Zgodzicie się też chyba, że nasze spotkanie nie ma wielkiego sensu, dopóki się z nim nie porozumiemy, co? Jest też prawdą, że do tej pory więcej piliśmy, niż robiliśmy i było więcej uwodzenia niż myślenia — cytuję artykuł wstępny w dzisiejszej „Trybunie Radolańskiej” — a wszystko dlatego, że nie udało nam się nawiązać kontaktu z Mułem. Panowie, mamy blisko tysiąc statków czekających tylko na odpowiedni moment, aby przystąpić do walki i przechwycić władzę nad Fundacją. Uważam, że powinniśmy te tysiąc statków rzucić do walki już teraz — przeciw Mułowi!

— To znaczy, w obronie tego tyrana Indbura i krwiopijców z Fundacji, tak? — spytał zjadliwie Mangin. Randu podniósł zmęczoną dłoń.

— Oszczędź sobie tych określeń. Mówię — przeciw Mułowi, mniejsza o to w czyjej obronie.

Ovall Gri podniósł się.

— Randu, nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Przedstaw to dziś

wieczorem — całej radzie, jeśli koniecznie chcesz popełnić samobójstwo polityczne.

Wyszedł bez słowa. Za nim w milczeniu ruszył Mangin. Randu został sam i przez godzinę bił się z myślami.

Wieczorem, w czasie posiedzenia rady, nie rzekł nic.

Następnego ranka do jego pokoju wpadł gwałtownie Ovall Gri. Ovall Gri był w stroju niekompletnym, nieogolony i nieuczesany.

Randu, który skończył właśnie jeść śniadanie i siedział za nieuprzątniętym jeszcze stołem, podniósł głowę i z wrażenia upuścił fajkę.

— Mnemon został bez uprzedzenia zaatakowany z przestrzeni i zbombardowany — rzekł ochrypłym głosem Ovall.

Randu zmrużył oczy. — Fundacja? — spytał.

— Muł! — krzyknął Ovall. — Muł! Nie daliśmy mu żadnego pretekstu — ciągnął gorączkowo. — Atak był dobrze przygotowany. Większa część naszej floty przyłączyła się do sił międzyplanetarnych. Eskadra, która została dla obrony kraju, była za słaba i została dosłownie zdmuchnięta. Na razie nie było jeszcze żadnego desantu, i może nie będzie, bo według raportów połowa napastników została zniszczona, ale mamy wojnę i przyszedłem się zapytać, jakie stanowisko zajmie w tej sprawie Haven.

— Jestem pewien, że Haven dotrzyma zobowiązań wynikających z Karty Federacji. Ale pamiętasz, co wczoraj mówiłem? Teraz przyszła kolej na nas.

— Ten Muł to szaleniec. Chce walczyć z całym wszechświatem? — Ovall podszedł niepewnym krokiem do stołu, usiadł i chwycił Randu za rękę. — Ci z naszych, którzy wyszli z tego cało, donoszą, że Muł… że nieprzyjaciel dysponuje nową bronią. Depresorem pola jądrowego.

— Czym?

— Większość statków straciliśmy dlatego, że nie można było odpalić dział. To nie mogło być dziełem przypadku ani wynikiem sabotażu. Musiała zadziałać nowa broń Muła. Nie jest doskonała, w paru przypadkach zawiodła i są sposoby zneutralizowania jej działania… nie mam dokładnych danych. Ale ta broń może zupełnie zmienić charakter wojny i niewykluczone, że cała nasza flota okaże się przestarzała.

Randu poczuł się naraz starym, zmęczonym człowiekiem. Rzekł z bezradną miną:

— Obawiam się, że pojawił się potwór, który pożre nas wszystkich. Ale nie poddamy się bez walki.

Wizjofon

Dom Eblinga Misa, znajdujący się w nie nazbyt wytwornej dzielnicy Terminusa, był dobrze znany w kręgach intelektualistów, literatów i w miarę oczytanej publiczności. Jego najbardziej oryginalne cechy szczególne zależały od rodzaju poświęconej mu publikacji czy audycji. Dla refleksyjnie nastawionego biografa dom ten był „symbolem ucieczki od prozaicznej rzeczywistości w sferę nauki", redaktor kroniki towarzyskiej w gazecie rozwodził się nad jego „typowo męską atmosferą beztroskiego nieładu", profesor uniwersytetu określał go krótko jako „zawalony książkami", przyjaciel Misa spoza uniwersytetu twierdził, że „zawsze można się tu napić i położyć nogi na kanapie", natomiast jowialny komentator tygodniowego przeglądu wydarzeń w kolorze mówił o „prosto urządzonych, niepretensjonalnych apartamentach klnącego jak szewc, lewicującego, łysiejącego Eblinga Misa".

Dla Bayty, która nie musiała troszczyć się o to, jaki opis wywrze największe wrażenie na publiczności, i która miała tę przewagę nad innymi, że mogła się o wyglądzie jego wnętrza przekonać naocznie, był on po prostu zaniedbany.

Z wyjątkiem kilku pierwszych dni pobyt w areszcie znosiła dość dobrze. W każdym razie o wiele lepiej niż to półgodzinne czekanie na psychologa — być może pod czujną obserwacją. Wtedy przynajmniej był przy niej Toran…

Może znosiłaby nawet gorzej to oczekiwanie i napięcie, gdyby nie widok Magnifica, którego smętnie zwieszony nos wskazywał na zupełne przygnębienie.

Magnifico skurczył się i podciągnął swe szczudłowate nogi pod samą brodę, jakby chciał się zapaść sam w siebie i zniknąć, i Bayta nie mogła się powstrzymać, by go nie pogładzić po ramieniu, dodając mu otuchy. Magnifico wzdrygnął się pod dotykiem jej ręki, ale zaraz się uśmiechnął.

— No widzisz, pani, wygląda na to, że moje ciało kpi sobie z wiedzy, którą ma mój umysł, i w dalszym ciągu, na widok obcej ręki, kuli się przed ciosem.

— Nie ma się czego lękać, Magnifico. Jestem z tobą i nie pozwolę nikomu cię zranić.

Błazen spojrzał na nią kątem oka, a potem szybko odwrócił wzrok.

— Ale przedtem trzymali mnie z dala od ciebie… i od twego łaskawego męża… i, słowo daję, możesz się śmiać, ale czułem się samotny i bez przyjaciół.

— To nie jest śmieszne. Mnie też ciebie brakowało.

Twarz błazna pojaśniała. Objął ciaśniej swoje nogi. — Nie znasz, pani, tego człowieka, który chce nas widzieć? — spytał ostrożnie.

— Nie. Ale to sławna postać. Widziałam go w telewizji i dużo o nim słyszałam. Myślę, Magnifico, że to dobry człowiek i nie wyrządzi nam krzywdy.

— Naprawdę? — błazen poruszył się niespokojnie. — Być może, pani, ale on już mnie przepytywał i zachowuje się tak gwałtownie i hałaśliwie, że trzęsę się ze strachu. Używa takich dziwnych słów, że odpowiedzi nie mogły mi przejść przez gardło. Przypomniał mi się od razu pewien łgarz, który bawiąc się moją niewiedzą mówił, że w takich chwilach serce staje w gardle i nie można wykrztusić słowa. Tak właśnie się czułem.

— Tym razem będzie inaczej. On jest jeden, a nas dwoje. Nie uda mu się przerazić nas obojga, prawda?

— Tak, pani.

Trzasnęły gdzieś drzwi i rozległ się potężny ryk. Kiedy zbliżył się do pokoju, w którym siedzieli, mogli rozróżnić słowa:

— Wynoście się stąd, do ciemnej Galaktyki!

Przez otwierające się drzwi dostrzegli, jak chyłkiem wynosi się z domu dwóch umundurowanych strażników.

Wszedł Ebling Mis ze zmarszczoną gniewnie twarzą, postawił na ziemi starannie owiniętą paczkę i podał nonszalancko rękę Baycie. Bayta odwzajemniła się mocnym, męskim uściskiem. Mis zareagował na to dopiero po chwili, kiedy już odwrócił się do błazna. Przyjrzał się jej uważniej.

— Mężatka? — spytał.

— Tak. Załatwiliśmy formalności prawne. Mis milczał przez chwilę. Potem spytał:

— Zadowolona?

— Jak dotąd, tak.

Mis wzruszył ramionami i ponownie obrócił się do Magnifica. Rozwinął paczkę.

— Wiesz, co to jest? — spytał.

Magnifico zsunął się ze swego krzesła i chwycił instrument o wielu klawiszach. Przebiegł palcami po niezliczonych guzikach i wykonał radosny skok, ze szkodą dla stojących bliżej mebli.

— Wizjofon — zapiał z zachwytu… I to takiej roboty, że jego dźwięk wskrzesiłby nawet umarłego — jego długie palce pieściły delikatnie instrument, przebiegały po klawiaturze, zatrzymując się to na jednym, to na drugim klawiszu, a przed oczami Bayty i Misa pojawił się nagle mieniący się różowy obłok.

— W porządku, chłopcze — rzekł Ebling Mis. — Mówiłeś, że potrafisz brzdąkać na czymś takim, no to masz teraz okazję. Ale przedtem go nastrój. — Potem rzekł na boku do Bayty: — O ile mi

wiadomo, nie ma na całej Fundacji nikogo, kto potrafiłby go dobrze ustawić.

Nachylił się do jej ucha i szepnął:

— Nie będzie mówił bez pani. Pomoże mi pani? Skinęła głową.

— Dobrze! — powiedział. — Jego lęk jest niemal patologiczny i wątpię, czy zniósłby sondę psychiczną bez szwanku dla umysłu. Jeśli można coś z niego wyciągnąć w inny sposób, to musi się poczuć zupełnie swobodnie. Rozumie pani?

Ponownie skinęła głową.

— Pierwszym krokiem w tym kierunku jest ten wizjofon. Mówi, że umie na tym grać, a jego reakcja utwierdza mnie w przekonaniu, że to jedna z jego największych przyjemności. Tak więc, bez względu na to, czy będzie grał źle czy dobrze, niech pani sprawia wrażenie zaciekawionej i zadowolonej. Poza tym proszę mi okazywać wyraźną życzliwość i zaufanie. A nade wszystko, proszę wszystko robić według moich wskazówek — rzucił szybkie spojrzenie na Magnifica skulonego w rogu kanapy i grzebiącego we wnętrzu instrumentu. Błazen był całkowicie pochłonięty swą pracą.

Mis rzekł tonem swobodnej, towarzyskiej rozmowy do Bayty:

— Słuchała pani już kiedy wiajofonu?

— Jeden raz — odparła Bayta równie swobodnym tonem. — Na koncercie rzadkich instrumentów. Nie byłam zachwycona.

— Musiała pani trafić na kiepskiego muzyka. Jest zaledwie kilku naprawdę dobrych. Nie chodzi tu tyle o sprawność manualną, bo na przykład pianino wieloklawiaturowe wymaga większej, ile o pewien typ niekonwencjonalnej umysłowości i swobodnej wyobraźni. Dlatego — dodał szeptem — ten żywy szkielet może być lepszy, niż nam się wydaje. Dobrzy muzycy są pod innym względem najczęściej idiotami. To jest właśnie jedna z tych dziwnych kombinacji cech, dzięki której psychologia jest ciekawą nauką.

Natomiast głośno zaczai mówić, wyraźnie starając się stworzyć wrażenie lekkiej rozmowy:

— Wie pani, w jaki sposób ta rzecz działa? Zbadałem instrument dokładnie, żeby się w tym zorientować i udało mi się stwierdzić tylko tyle, że jego promieniowanie działa bezpośrednio na ośrodek wzroku w mózgu, z pominięciem nerwu wzrokowego. Faktycznie, jest to wykorzystanie zmysłu, z którym nie spotykamy się w naturze. Nadzwyczajna rzecz. Wrażenia słuchowe odbiera się normalnie — przez błonę bębenkową, ślimaka, i tak dalej. Ale… ćśśś! Jest już gotowy. Niech pani kopnie ten wyłącznik. To daje lepszy efekt w ciemności.

W mroku Magnifico wyglądał jak rozmazana plama, a Ebling Mis jak ciężko dysząca masa. Bayta wytężyła wzrok, ale z początku nie mogła nic dostrzec. Usłyszała cichy, cienki głos, który drżąc wznosił

się i kolebał gdzieś w górnych rejestrach. Przez chwilę trwał tak, potem nagle opadł, spotężniał i runął jak grom. Na oczach Bayty kotara na oknie rozpadła się na dwie części jak drzewo rażone piorunem. W rozdarciu pojawiła się niewielka, pulsująca barwnym światłem kula, która rytmicznie rozrastała się, aż w końcu pękła, rozpadając się na tysiące migocących, o nieuchwytnym kształcie plamek, które zawirowały w powietrzu i opadły niczym mikroskopijne, splątane zorze. Nim dosięgły ziemi, zlały się w jedno i ponownie rozpadły, tworząc malutkie pęcherzyki, każdy o innej barwie… i wtedy Bayta zaczęła w nich rozpoznawać kształty przedmiotów. Zauważyła, że gdy przymknie oczy, barwy stają się wyraźniejsze, że każdej barwie odpowiada określony dźwięk, że widząc je, nie potrafi ich jednak określić i w końcu, że owe pęcherzyki nie są bynajmniej pęcherzykami, lecz małymi figurkami.

Były to małe postacie, wirujące płomyki, których całe tysiące przesuwały się tańcząc i migocąc przed jej zdumionym wzrokiem. To znikały gdzieś, to pojawiały się nagle nie wiadomo skąd, skacząc jedna wokół drugiej i ustawicznie zmieniając kolor.

Ni stąd, ni zowąd Bayta pomyślała o plamkach wirujących przed oczami, kiedy się w nocy zaciśnie powieki aż do bólu i wytęży wzrok. To było to samo wrażenie — świetliste, różnokolorowe punkciki, jakby skaczące w rytmie polki, koncentrycznie układające się koła, bezkształtne, znikające i pojawiające się na nowo plamy. Tu było to samo, tylko większe i bardziej zróżnicowane, a przy tym każda barwna plamka układała się w kształt jakiejś postaci.

Popędziły naraz w jej stronę, dobierając się parami. Uniosła w górę ręce, chcąc się przed nimi osłonić, ale zatrzymały się, wywróciły i nagle wokół niej rozpętała się burza śnieżna, z jej ramion trysnęły zimne strumienie światła, popłynęły wartkim, oślepiającym potokiem wzdłuż rąk i wystrzeliły snopem iskier z jej palców, aby spotkać się w pół drogi między niebem a ziemią i połączyć w świetlisty krąg.

Z dołu dopływał głos stu instrumentów, który w końcu stopił się z obrazem w jedną całość, tak że nie potrafiła już odróżnić, co jest światłem, a co dźwiękiem.

Przez chwilę zastanawiała się, czy Ebling Mis widzi to samo, co ona, a jeśli nie, to jakie są jego wizje. Szybko jednak o tym zapomniała, bo oto figurki — czy rzeczywiście figurki? — przemknęło jej przez głowę… ależ tak, to niewielkie postacie kobiece o płonących włosach, które wirowały i obracały się tak szybko, że nie mogła na żadnej skoncentrować uwagi — chwyciły się za ręce, tworząc grupy o kształcie gwiazd, a muzyka zmieniła się naraz w perlisty śmiech… w dziewczęcy śmiech, który nie dobiegał z zewnątrz, lecz rodził się gdzieś we wnętrzu ucha!

Gwiazdy zbliżyły się do siebie, ich promienie połączyły się i z

wolna cały obraz zaczai przeistaczać się w niewyraźne kontury jakiejś budowli, aż nagle wystrzelił w niebo wspaniały pałac. Każda cegła mieniła się innym kolorem, każdy kolor był świetlistą iskierką, od której zapalały się inne, biegnąc w górę aż do wieńczących budowę i lśniących niczym baśniowe klejnoty minaretów.

Pojawił się wirujący ognisty dywan, z którego wystrzeliły świetliste nici, oplatając wszystko siecią zwiewnej, niematerialnej pajęczyny. Potem nici opadły i wystrzeliły w górę, przybierając kształty rozłożystych drzew, które rozbrzmiewały swą własną muzyką.

Bayta znalazła się wśród nich. Zewsząd otaczały ją liryczne tony cudownej melodii. Wyciągnęła rękę, aby dotknąć kruchego drzewa. Rozpadło się na tysiące barwnych kwiatów, których płatki spłynęły wolno w dół i rozwiały się w powietrzu z srebrzystym dźwiękiem dzwonków.

Strumienie płomieni popłynęły w dół po niewidzialnych stopniach wprost na kolana Bayty, przelały się przez nie świetlistą kaskadą, tworząc promienisty krąg wokół jej bioder, podczas gdy nad jej kolanami zalśniła tęcza, po której, jak po moście spacerowały maleńkie postacie…

Pałac, malutkie figurki kobiet i mężczyzn na tęczowym moście, ogród ciągnący się jak daleko mogła sięgnąć okiem, a wszystko to unoszące się na falach podniosłej muzyki smyczkowej, zbiegającej się w niej jak w centrum.

A potem… potem nastąpiła chwila przeraźliwej ciszy, w głębi obrazu coś się nieznacznie poruszyło i nagle wszystko runęło. Barwy zbiły się na powrót w jedną kulę, która skurczyła się i znikła.

I znowu była już tylko ciemność.

Bayta odnalazła niezgrabnie stopą pedał, wcisnęła go i pokój wypełniło światło — prozaiczne światło zwykłego słońca. Bayta zacisnęła powieki, aż do oczu napłynęły jej łzy, jakby z żalu po tym, co minęło. Ebling Mis siedział nieruchomo, jak bezwładna kupa mięsa, z rozszerzonymi oczami i otwartymi ustami:

Jedynie Magnifico był w pełni przytomny. Pogładził wizjofon z wyrazem ekstazy na twarzy.

— O pani — rzekł z przejęciem — to zaiste instrument o niemal magicznej mocy. W najśmielszych marzeniach nie przypuszczałem, że ma tak wspaniały strój i tak subtelne, a jednocześnie tak silne brzmienie. Wydaje mi się, że mógłbym za jego pomocą stworzyć cuda. Jak ci się podobała moja kompozycja, pani?

— To było twoje dzieło? — spytała z podziwem Bayta. — Naprawdę twoje?

Błazen zaczerwienił się aż po czubek nosa.

— Moje własne, pani. Muł go nie lubił, ale często grałem go dla własnej przyjemności. Kiedyś, w młodości, zdarzyło mi się widzieć z

dala pałac — gigantyczną budowlę z drogich klejnotów. Było to w samym środku karnawału. Byli tam ludzie o niewyobrażalnie wspanialej postawie, a tak potężni i wyniośli, że podobnych im nigdy już nie spotkałem, nawet w służbie Muła. To, co stworzyłem, to tylko nieudolne naśladownictwo, ale ubóstwo mojego umysłu nie pozwala na więcej. Nazwałem to „Wspomnieniem Nieba".

Podczas tej paplaniny Mis doszedł wreszcie do siebie. — Słuchaj, Magnifico — rzekł — nie chciałbyś tego zagrać dla innych?

Błazen odskoczył do tyłu. — Dla innych? — spytał trzęsąc się.

— Dla tysięcy ludzi! — krzyknął Mis. — W wielkich salach Fundacji! Nie chciałbyś stać się panem samego siebie, niezależnym, poważanym przez wszystkich, bogatym i… i… — zawiodła go wyobraźnia. — No i tak dalej? Co? Co na to powiesz?

— Ależ jak to możliwe, wielmożny panie, skoro jestem tylko biednym błaznem, nie nadającym się do splendorów i zaszczytów?

Psycholog wydął usta i potarł czoło wierzchem dłoni. — Ale twoja gra, człowieku! — powiedział. — Jeśli zagrasz dla burmistrza i jego trustów handlowych, to świat legnie u twych stóp. Nie chciałbyś tego?

Błazen zerknął na Baytę.

— A czy ona zostałaby ze mną? Bayta roześmiała się.

— Oczywiście, głuptasie. Czy teraz, kiedy jesteś

0 krok od sławy i pieniędzy, mogłabym cię opuścić?

— To wszystko będzie twoje, pani — odpowiedział z przekonaniem — i gdybym mógł, dałbym ci wszystkie bogactwa Galaktyki, żeby się odwdzięczyć za twą dobroć.

— Ale — rzekł Mis niedbałym tonem — gdybyś zechciał mi najpierw pomóc…

— Co to jest?

Psycholog uśmiechnął się i rzekł:

— To mała sonda powierzchniowa. Zupełnie bezbolesna. Nic nie ucierpisz. Zbadam tylko korę twego, mózgu.

W oczach Magnifica pojawił się wyraz śmiertelnego przerażenia.

— Tylko nie sonda! Widziałem, jak ją stosowano. Muł stosował ją wobec tych, co go zdradzili. Potem puszczał ich wolno, ale nie potrafili już myśleć i obijali się jak bezrozumne zwierzęta po ulicach, dopóki ktoś ich z litości nie zabił — wyciągnął rękę, chcąc odepchnąć Misa.

— To była sonda psychiczna — wyjaśniał cierpliwie Mis — a poza tym nawet ona jest groźna tylko wtedy, kiedy się ją niewłaściwie stosuje. To tutaj, to sonda powierzchniowa, która nie wyrządziłaby krzywdy nawet dziecku.

— To prawda, Magnifico — nalegała Bayta. — To pomoże nam pobić Muła. Będzie się od nas trzymał z daleka. Raz, dwa i będzie po wszystkim, a potem ty i ja będziemy sławni i bogaci do końca życia.

Magnifico wyciągnął drżącą dłoń.

— Możesz przynajmniej trzymać mnie za rękę, pani?

Bayta ujęła jego dłoń w obie ręce. Błazen wpatrywał się rozszerzonymi oczyma w zbliżające się do jego skroni błyszczące metalowe płytki.

Ebling Mis rozsiadł się niedbale na przesadnie ozdobnym fotelu w prywatnych apartamentach burmistrza Indbura, okazując wprost nieprzyzwoity brak wdzięczności za łaskę, której dostąpił i nieżyczliwym wzrokiem śledził nerwowe ruchy burmistrza. Odrzucił niedopałek cygara i wypluł okruch tytoniu.

— Przy okazji, Indbur, jeśli chcesz coś na następny koncert w Sali Mallowa — powiedział — to wywal tych elektronicznych chałturszczyków na zbity pysk i postaraj się, żeby ten dziwak zagrał dla ciebie na wizjofonie. Indbur — to jest muzyka nie z tego świata.

Indbur odparł poirytowanym głosem:

— Nie wezwałem tu pana po to, żeby słuchać wykładów o muzyce. Czego dowiedział się pan o Mule? To mi proszę powiedzieć. Czego dowiedział się pan o Mule?

— O Mule? No cóż, powiem ci… zastosowałem sondę powierzchniową i niewiele uzyskałem. Nie mogę użyć sondy psychicznej, bo ten dziwak tak się jej boi, że jego opór prawdopodobnie spaliłby jego [niecenzuralne] bezpieczniki mózgowe, jak tylko uzyskalibyśmy połączenie. Ale udało mi się ustalić, że… — może przestaniesz bębnić palcami po stole… — Po pierwsze, nie wierz w niezwykłą siłę fizyczną Muła. Prawdopodobnie jest silny, ale większość z tych niesamowitych historii, które opowiada o nim nasz dziwak, to prawdopodobnie wytwór jego wyobraźni i strachu. Nosi dziwne okulary i jego wzrok zabija, więc najwidoczniej posiada niezwykłe zdolności psychiczne.

— Tyle wiedzieliśmy już na początku — zauważył zgryźliwie burmistrz.

— A zatem sonda potwierdza to. Poddaję teraz wyniki analizie matematycznej.

— Tak? A jak długo to potrwa? Mam już dość tego pustego gadania.

— Myślę, że za miesiąc mogę już coś mieć. Oczywiście, mogę nie mieć nic. Ale co z tego? Jeśli plan Seldona tego nie uwzględnia, to nasze szansę są mizerne, cholernie mizerne.

— Mam cię, zdrajco! — wrzasnął Indbur. — Kłamiesz! Może zaprzeczysz, że jesteś jednym z tych wywrotowców, którzy rozsiewają kłamliwe plotki, szerzą defetyzm i panikę w całej Fundacji i utrudniają mi pracę?!

— Ja? Ja? — w piersi Misa z wolna wzbiera! gniew.

— Niech mnie pochłonie obłok pyłu kosmicznego — zapienił się

burmistrz — jeśli Fundacja nie zwycięży! Musi zwyciężyć.

— Mimo porażki na Horleggorze?

— To nie była porażka. Ty też się dałeś nabrać na to wierutne kłamstwo? Mieliśmy skąpe siły i zostaliśmy zdradzeni…

— A to przez kogo? — spytał pogardliwie Mis.

— Przez tych wszarzy demokratów! — krzyknął Indbur. — Od dawna wiedziałem, że przeniknęli do floty. Większość usunęliśmy, ale widocznie zostało ich dosyć, bo skąd to niewytłumaczalne poddanie się dwudziestu statków w największym wirze bitwy? Dosyć, żeby zmusić nas do porażki.

A jeśli już o tym mowa, mój ty prostolinijny patrioto i wzorze dawnych cnót, to jakie masz powiązania z demokratami?

Ebling Mis zbył to ruchem ramion.

— Bredzisz, przyjacielu. A jak wyjaśnić ten ciągły odwrót i utratę połowy Siwenny? To też sprawka demokratów?

— Nie. Nie demokratów — burmistrz uśmiechnął się chytrze. — Wycofujemy się… tak jak zawsze robiła Fundacja w obliczu napaści, do czasu aż nieuchronny rozwój wypadków obróci się na naszą korzyść. Już teraz widzę tego oznaki. Tak zwane podziemie demokratyczne rozpowszechnia manifesty wzywające do udzielenia pomocy rządowi i do posłuszeństwa. To może być podstęp, wstęp do prawdziwej zdrady, ale ja to wykorzystam, nasza propaganda potrafi zrobić z tego dobry użytek, bez względu na to, co knują ci nędzni zdrajcy. Mam nawet lepsze dowody…

— Nawet lepsze?

— Sam osądź. Dwa dni temu tak zwane Stowarzyszenie Niepodległych Handlarzy wypowiedziało Mułowi wojnę i flota Fundacji powiększyła się za jednym zamachem o tysiąc statków. Sam widzisz, że Muł za daleko się posunął. Byliśmy podzieleni i skłóceni, ale w obliczu jego napaści zjednoczyliśmy się i wzrośliśmy w siłę. On musi przegrać. To nieuniknione — jak zawsze.

Mis nie pozbył się jednak swego sceptycyzmu.

— Powiadasz więc, że Seldon przewidział nawet przypadkowe pojawienie się mutanta…

— Mutanta! Nie widzę różnicy między nim a człowiekiem. Ty też byś nie widział, gdyby nie majaczenia zbuntowanego oficera, jakichś obcych dzieciaków i zidiociałego błazna. Zapominasz o decydującym dowodzie… swoim własnym.

— Moim? — Mis był wyraźnie zaskoczony.

— Twoim — rzekł szyderczo burmistrz. — Za dziewięć tygodni otwiera się Krypta Czasu. No i co? Otwiera się, kiedy grozi nam kryzys. Jeśli napaść Muła nie jest tym kryzysem, to gdzie jest ten „prawdziwy” kryzys, ten, z powodu którego otwiera się Krypta? Odpowiedz mi, ty tłusta beczko.

Psycholog wzruszył ramionami.

— W porządku. Jeśli to cię cieszy… Ale wyświadcz mi zaszczyt. Na wypadek… na wypadek, jeśli stary Seldon wygłosi mowę i coś nie zagra, może pozwolisz mi być przy otwarciu?

— Dobrze. A teraz wynoś się. I aż do tego czasu nie pokazuj mi się na oczy.

— Z cholerną przyjemnością, ty zasuszona kukło! — mruknął Mis do siebie, wychodząc.

Upadek Fundacji

W Krypcie Czasu panowała szczególna atmosfera, która wymykała się wszelkim próbom określenia. Nie była to atmosfera rozkładu, gdyż pomieszczenie było dobrze oświetlone i świetnie wietrzone, ściany zachowały żywe barwy, a rzędy wygodnych krzeseł wyglądały jak nowe i było widoczne, że przeznaczone były do wiecznego użytku. Nie była to nawet atmosfera starości, gdyż trzysta lat, które minęły od jej zbudowania, nie zostawiło na niej żadnego śladu. Jej twórcy z pewnością nie starali się też urządzić wnętrza w sposób wzbudzający nabożny lęk i szacunek potomnych, gdyż było ono zwykłe i skromne — prawdę mówiąc, niemal ascetyczne.

Jednak kiedy zsumowało się i wyeliminowało wszystkie nieskuteczne próby wyjaśnienia owego zjawiska, to pozostawało coś jeszcze. Tym czymś był szklany sześcian o pustym wnętrzu zajmujący pół sali. Cztery razy w ciągu trzystu lat pojawiła się tam jak żywa podobizna Hari Seldona. On sam siedział tam i przemawiał. Dwukrotnie mówił do pustej sali.

W ciągu trzech stuleci, w ciągu życia dziewięciu pokoleń, ten starzec, który oglądał dni świetności imperium obejmującego cały wszechświat, przywoływał do życia swój obraz i za każdym razem jego prapraprapraprawnuki przekonywały się, że lepiej od nich rozumiał naturę procesów przebiegających w Galaktyce.

Pusty sześcian cierpliwie czekał.

Pierwszy przybył burmistrz Indbur III, prowadząc osobiście swój reprezentacyjny samochód przez ulice zamarłego w pełnym napięcia oczekiwaniu miasta. Razem z nim przybyło jego własne krzesło, wyższe i szersze od tych, które znajdowały się w Krypcie. Ustawiono je przed innymi i burmistrz Indbur górował teraz nad całą salą, z wyjątkiem szklanej pustki na wprost jego twarzy.

Uroczyście wyglądający urzędnik po jego lewej ręce pochylił z uszanowaniem głowę.

— Ekscelencjo — rzekł — zakończono przygotowania do jak najszybszego przekazania w subeter oficjalnego oświadczenia waszej ekscelencji dziś wieczorem.

— Dobrze. Tymczasem proszę kontynuować specjalne programy międzyplanetarne dotyczące Krypty Czasu. Należy się, oczywiście, powstrzymać od jakichkolwiek przewidywań czy spekulacji na ten temat. Czy powszechna reakcja jest w dalszym ciągu zadowalająca?

— Bardzo, ekscelencjo. Rozpuszczane ostatnio złośliwe plotki znajdują coraz mniej słuchaczy. Rząd cieszy się wielkim zaufaniem.

— Dobrze! — odprawił gestem ręki urzędnika i poprawił wykwintny koronkowy kołnierzyk.

Była za dwadzieścia dwunasta!

Zaczęli pojawiać się, pojedynczo lub po dwóch, przywódcy wielkich organizacji handlowych — ekskluzywna grupa stanowiąca podporę urzędu burmistrzowskiego. Podchodzili kolejno do burmistrza, który z każdym wymieniał łaskawie parę słów, po czym zajmowali wyznaczone uprzednio miejsca.

Znienacka pojawił się w Krypcie Randu z Haven i zakłócając sztywną atmosferę zaczął się przeciskać do miejsca zajmowanego przez burmistrza.

— Ekscelencjo! — wymamrotał i złożył niski ukłon.

Indbur zmarszczył brwi.

— Nie wyznaczyłem panu audiencji.

— Ekscelencjo, proszę o to już od tygodnia.

— Przykro mi, ale sprawy niezwykłej wagi państwowej wiążące się z pojawieniem się Seldona…

— Jest mi równie przykro, ekscelencjo, ale muszę pana prosić o cofnięcie polecenia, na mocy którego statki Niepodległych Handlarzy mają być rozdzielone i wcielone do sił różnych flot Fundacji.

Twarz Indbura poczerwieniała ze złości, że ktoś ośmielił mu się przerwać.

— Nie mam teraz czasu na dyskusje.

— Potem będzie za późno, ekscelencjo — nalegał Randu. — Jako przedstawiciel Niepodległych Światów Handlarzy jestem zmuszony zakomunikować panu, że nie możemy zastosować się do takiego polecenia. Musi ono zostać cofnięte, zanim Seldon rozwiąże nasz problem. Kiedy minie zagrożenie, będzie już za późno na usunięcie różnic w poglądach i nasz sojusz się rozpadnie.

Indbur zmierzył Randu zimnym wzrokiem.

— Zdaje pan sobie sprawę z faktu, że rozmawia pan z dowódcą sił zbrojnych Fundacji? Mam prawo decydować o wyborze strategii, czy nie?

— Ma pan prawo, ekscelencjo, ale pewne posunięcia są niewskazane.

— Nie widzę tu nic niewskazanego. W obecnym stanie zagrożenia nie można pozwolić na oddzielenie waszej floty od naszych. Byłoby to ryzykowne. Nieskoordynowane działanie daje przewagę nieprzyjacielowi. Musimy się zjednoczyć, panie ambasadorze. I to nie tylko politycznie, ale również militarnie.

Randu zacisnął szczęki. Rzekł bezceremonialnie, z pominięciem tytułu burmistrza:

— Teraz, kiedy ma przemówić Seldon, czujecie się bezpiecznie i zwracacie się przeciw nam. Ale miesiąc temu, kiedy nasze statki pobiły Muła nad Terelem, byliście łagodni i ustępliwi. Sądzę, iż warto przypomnieć, że flota Fundacji została pięć razy pobita w otwartej

walce, i że to my odnosiliśmy za was zwycięstwa.

Indbur zmarszczył groźnie brwi.

— Od dzisiaj jest pan persona non grata na, Terminusie. Opuści pan Fundację dziś wieczorem. Poza tym, pana kontakty z nielojalną opozycją demokratyczną na Terminusie są nam dobrze znane i będziemy je śledzić.

— Razem ze mną odlecą moje statki — odparł Randu. — Nie wiem nic o waszych demokratach. Wiem tylko tyle, że wasze statki poddały się Mułowi w wyniku zdrady wyższych dowódców, a nie prostych żołnierzy, demokratów czy innych. Powiem panu, że w Horleggorze dwadzieścia statków Fundacji poddało się bez walki na rozkaz dowodzącego nimi kontradmirała, a kontradmirał należał do pana zaufanych ludzi — przewodniczył składowi sądu podczas procesu mego bratanka po jego powrocie z Kalgana. To nie był odosobniony przypadek. Wiadomo nam o innych i nie będziemy ryzykować naszych statków ani życia naszych ludzi oddając ich pod komendę potencjalnych zdrajców.

— Zostanie pan stąd odprowadzony pod strażą — rzekł Indbur.

Randu odszedł, odprowadzany pogardliwymi spojrzeniami członków kliki rządzącej Terminusem. Była za dziesięć dwunasta.

Przybyli już Toran i Bayta. Unieśli się z miejsc w tylnych rzędach i machając rękami, przywołali Randu.

Randu uśmiechnął się łagodnie.

— Jednak jesteście tutaj. Jak wam udało się to załatwić?

— Załatwił to Magnifico — Toran wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Indbur uparł się, żeby skomponował utwór na wizjofon oparty na Krypcie Czasu, z nim niewątpliwie w roli bohatera. Magnifico za nic nie chciał się zgodzić przyjść tu bez nas. Jest z nami, albo raczej był, Ebling Mis. Gdzieś się zawieruszył… Hej, co z tobą, stryju? — spytał nagle z troską w głosie. — Nie wyglądasz dobrze.

— Przypuszczam — skinął głową Randu. — Czekają nas ciężkie czasy, Toran. Obawiam się, że kiedy załatwią się z Mułem, przyjdzie kolej na nas.

Podszedł do nich wysoki, poważny mężczyzna ubrany na biało i sztywno się ukłonił.

— Kapitan Pritcher! — krzyknęła Bayta, patrząc na niego radośnie. Wyciągnęła rękę. — A więc przywrócono pana do służby?

Kapitan uścisnął jej dłoń i skłonił się ponownie.

— Nic podobnego. Domyślam się, że jestem tu dzięki profesorowi Misowi, ale tylko chwilowo. Potem znowu areszt domowy. Która godzina?

Była za trzy minuty dwunasta.

Magnifico wyglądał jak obraz rozpaczy. Skurczył się cały, starając się jak zwykle zniknąć z oczu. Ściągnął swój chudy nos i rzucał z

ukosa niespokojne spojrzenia na zebranych wokół ludzi.

Chwycił kurczowo Baytę za rękę, a kiedy nachyliła się, wyszeptał:

— Myślisz, pani, że te wszystkie dostojne osoby były na widowni, kiedy… kiedy grałem na wizjofonie?

— Jestem tego pewna — odparła Bayta i potrząsnęła nim łagodnie. — I jestem przekonana, że oni wszyscy uważają cię za najwspanialszego muzyka w całej Galaktyce, a twój koncert za największe wydarzenie artystyczne w historii. Wyprostuj się więc i usiądź jak należy. Musimy wyglądać dystyngowanie — i udała, że się gniewnie marszczy.

Uśmiechnął się niepewnie i powoli rozprostował swe długie kończyny.

Było południe… i szklany sześcian nie świecił już pustką.

Wątpliwym było, czy ktokolwiek zauważył moment pojawienia się Seldona. Stało się to zupełnie nagle — nie było go i naraz jest.

Wewnątrz sześcianu, na wózku inwalidzkim, siedział stary, zasuszony człowiek o pomarszczonej twarzy, lecz jasnym spojrzeniu. Na kolanach trzymał, grzbietem do góry, otwartą książkę. Kiedy przemówił, wydawało się, że mówi żywy człowiek.

— Jestem Hari Seldon! — rzekł miękkim głosem. Zapanowała taka cisza, że aż dzwoniło w uszach.

— Jestem Hari Seldon. Nie jestem w stanie stwierdzić, czy w ogóle jest tu ktoś, ale to nieważne. Na razie nie mam specjalnych obaw o to, że Plan się załamał. Procent prawdopodobieństwa zboczenia z drogi wytyczonej Planem wynosi dla pierwszych trzech stuleci dziewięćdziesiąt cztery, przecinek, dwa.

Przerwał na chwilę, uśmiechnął się i rzekł dobrotliwie:

— Nawiasem mówiąc, jeśli ktoś stoi, proszę usiąść. Jeśli ktoś chce zapalić, proszę bardzo. Nie przebywam tu cieleśnie i nie potrzebuję żadnych ceremonii.

A zatem przystąpmy do rzeczy. Po raz pierwszy w swych dziejach Fundacja stanęła w obliczu wojny domowej, a być może znajduje się już w jej stadium końcowym. Dotychczasowe napaści z zewnątrz zostały zwycięsko odparte, zgodnie ze ścisłymi prawami psychohistorii. Obecna napaść jest dziełem niezbyt zdyscyplinowanej społeczności z pogranicza Fundacji wymierzonej przeciw zbyt autorytarnej władzy centralnej. Taki rozwój sytuacji był konieczny, a rezultat jest oczywisty.

Wyniosłość wysoko urodzonych słuchaczy zaczęła z wolna zanikać.

Indbur na pół uniósł się w krześle.

Bayta pochyliła się do przodu z zakłopotaną miną. „O czym on mówi?” zastanawiała się. Nie słyszała kilku słów.

— … że osiągnięty kompromis jest konieczny z dwóch względów.

Rewolta Niepodległych Handlarzy wprowadza na nowo pewien element niepokoju do Fundacji, której rząd stał się być może zbyt pewny siebie. W ten sposób zostaje zachowany element dążenia do rozwoju. Aczkolwiek pokonany, zdrowy ruch na rzecz swobód demokratycznych…

Na sali podniosły się głosy. Początkowe szepty przerodziły się w głośne okrzyki, w których można było wyczuć rodzącą się panikę.

Bayta rzekła Toranowi do ucha:

— Dlaczego on nie mówi o Mule? Przecież handlarze nie wywołali żadnej rewolty.

Toran wzruszył ramionami. Postać w szklanym sześcianie ciągnęła spokojnie swój wywód, a wokół powiększało się zamieszanie:

— … nowy, silniejszy rząd był logicznym, koniecznym i zbawiennym dla Fundacji skutkiem narzuconej jej wojny. Teraz na drodze do dalszej ekspansji stoją już tylko szczątki starego imperium, a one, w każdym razie przez kilka najbliższych lat, nie stanowią już żadnego problemu. Oczywiście, nie mogę wam zdradzić charakteru następnego prawdo…

W ogłuszającym ryku usta Seldona poruszały się bezgłośnie.

Obok Randu pojawił się Ebling Mis. Miał czerwoną twarz. Przekrzykując wrzawę, zwrócił się do niego:

— Seldonowi się pomieszało! To nie ten kryzys. Czy wy, handlarze, planowaliście wojnę domową?

Randu rzekł blado:

— Tak, planowaliśmy. Zrezygnowaliśmy z tego w obliczu zagrożenia ze strony Muła.

— A więc Muł jest nowym czynnikiem, którego nie wziął pod uwagę Seldon w swojej psychohistorii. A to co?

W nagłej, lodowatej ciszy Bayta spostrzegła, że szklany sześcian jest na powrót pusty. Ściany przestały się jarzyć i znikł łagodny powiew ciągnący z atomowych wentylatorów.

Z dala dobiegał ostry, wznoszący się i opadający dźwięk syren. Usta Randu same złożyły się do słowa: — Nalot!

Ebling Mis przyłożył zegarek do ucha i krzyknął nagle:

— Zatrzymał się, na Galaktykę, zatrzymał się! Czy jest tu jakiś zegarek, który chodzi?

Dwadzieścia rąk z zegarkami podniosło się do uszu. Nie minęło dwadzieścia sekund, a było już jasne, że wszystkie stoją.

— A więc — rzekł Mis z grymasem — coś zatrzymało wszystkie reaktory w Krypcie Czasu… a Muł atakuje! — słowa jego zabrzmiały jak tragiczny finał.

Głos Indbura wzniósł się ponad hałas:

— Proszę pozostać na miejscach! Muł jest pięćdziesiąt parseków stąd.

— Był! — krzyknął do niego Mis. — Tydzień temu! Teraz jego bomby lecą na Terminusa.

Bayta poczuła, jak ogarnia ją głębokie przygnębienie. Czuła, jak zaciska się ciasno wokół niej stalowa obręcz. Z trudem wciągnęła powietrze przez ściśnięte gardło.

Z zewnątrz dochodził głos gromadzącego się tłumu. Gwałtownie otworzyły się drzwi, wbiegł jakiś człowiek i zaczął coś szybko mówić do Indbura, który pośpiesznie podszedł do niego.

— Ekscelencjo — szepnął — w mieście stanęły wszystkie pojazdy, wszystkie linie w przestrzeń są zablokowane. Dziesiąta Flota została pobita, a statki Muła niedługo wejdą w atmosferę. Sztab główny…

Indbur zachwiał się i runął bezwładnie na podłogę. W całym pomieszczeniu zapanowała cisza. Nawet wciąż rosnący na dworze tłum milczał, a w powietrzu czaiła się groza i panika.

Podniesiono Indbura i wlano mu wina w usta. Poruszył wargami, nie otwierając oczu:

— Poddajemy się.

Bayta była o krok od płaczu — nie ze smutku czy upokorzenia, lecz ze zwykłej trwogi i rozpaczy. Ebling Mis pociągnął ją za rękaw.

— Chodźmy…

Wyciągnął ją z krzesła i postawił na nogi. — Idziemy — powiedział. — Niech pani zabierze swojego muzyka.

Jego pulchne usta trzęsły się i wydawało się, że odpłynęła z nich cała krew.

— Magnifico — rzekła słabym głosem Bayta. Błazen zwinął się w kłębek ze strachu. Patrzył szklanym wzrokiem.

— To Muł! — zawył. — Muł przybywa — po mnie.

Złapał się kurczowo krzesła, kiedy go dotknęła. Toran pochylił się i walnął go mocno w szczękę. Magnifico stracił przytomność i Toran zarzucił go na plecy jak worek kartofli.

Nazajutrz spłynęły na lądowiska Terminusa brzydkie, w czarnym kolorze ochronnym, statki Muła. Ich dowódca pędził główną ulicą Terminusa samochodem zagranicznej roboty, mijając całe kupy bezużytecznych samochodów o napędzie jądrowym.

Dokładnie dwadzieścia cztery godziny po pojawieniu się Seldona przed potężnymi władcami Fundacji ogłoszono jej okupację.

Ze wszystkich planet Fundacji trzymały się jeszcze tylko siedziby Niepodległych Handlarzy i przeciw nim zwróciła się teraz cała potęga Muła — zwycięzcy Fundacji.

Początek poszukiwań

Samotna planeta Haven — jedyna planeta jedynego słońca tego sektora Galaktyki, która oddalała się z wolna w próżnię międzygalaktyczną — była w stanie oblężenia.

W sensie ściśle militarnym była na pewno oblężona, gdyż każdy obszar przestrzeni z tej strony Galaktyki odległy o więcej niż dwadzieścia parseków od Haven znajdował się w zasięgu frontowych baz Muła. W ciągu czterech miesięcy, które minęły od upadku Fundacji, połączenia Haven z innymi planetami zostały zerwane jak zmieciona jednym pociągnięciem szczotki sieć pajęcza. Statki haveńskie powróciły do domu i Haven pozostała jedyną walczącą bazą.

Pod innymi względami wydawała się już nawet być pod bezpośrednim ostrzałem, gdyż przed flotą Muła nadciągnęły jej forpoczty — zwątpienie i brak wiary w zwycięstwo, które z wolna okrywały swym całunem całą planetę.

Bayta szła ciężko przejściem między rzędami mlecznobiałych stolików o plastikowych blatach. Była zamyślona i raczej z przyzwyczajenia trafiła na swoje miejsce. Usiadła z ulgą na wysokim krześle bez poręczy, machinalnie odpowiedziała na pozdrowienia, które ledwie do niej dotarły, potarła zmęczoną dłonią nieznośnie swędzące oko i sięgnęła po jadłospis.

Zdążyła zarejestrować gwałtowne uczucie wstrętu na widok nazw potraw z sztucznie hodowanych grzybów, które na Haven uważane były za wykwintne dania, a które jej, przywykłej do kuchni Fundacji, wydawały się zupełnie niejadalne, kiedy dotarł do niej rozlegający się w pobliżu szloch. Podniosła głowę.

Do tej pory raczej nie zwracała uwagi na Juddee, bezbarwną, pospolitą blondynkę o zadartym nosie, która siedziała przy stole naprzeciw, nieco na ukos od jej miejsca.

Teraz Juddee szlochała żałośnie, gryząc mokrą chusteczkę, którą na próżno starała się stłumić łkanie. Jej twarz pokryta była czerwonymi plamkami. Z ramion zwisał jej zmięty promienioodporny płaszcz, a przezroczysta osłona twarzy wpadła w stojący przed nią deser.

Bayta przyłączyła się do trzech dziewczyn, które po kolei starały się Juddee pocieszyć odwiecznymi i odwiecznie nieskutecznymi metodami, gładząc ją po głowie, poklepując po ramionach i mrucząc coś bez związku.

— Co się stało? — spytała szeptem.

Jedna z dziewczyn odwróciła się do niej i wzruszyła ramionami w jednoznacznym geście: — „Nie wiem”. Potem, czując że nie jest to

właściwa odpowiedź, odciągnęła Baytę na bok.

— Myślę, że miała ciężki dzień. I martwi się o męża.

— Jest na patrolu w przestrzeni? Tak.

Bayta wyciągnęła do Juddee dłoń w przyjaznym geście.

— Dlaczego nie pójdziesz do domu, Juddee? — na tle poprzednich, ślamazarnych prób uspokojenia dziewczyny jej pytanie zabrzmiało rzeczowo, lecz pogodnie.

Juddee uniosła głowę z oburzeniem.

— Już raz wyszłam w tym tygodniu…

— To pójdziesz drugi raz. Jeśli chcesz na siłę zostać, to w przyszłym tygodniu wyjdziesz trzy razy, rozumiesz… a więc jeśli pójdziesz teraz, to będzie to prawie akt patriotyzmu. Czy któraś z tych dziewczyn pracuje na twoim wydziale? No więc, może zajmiecie się jej kartą. Lepiej idź najpierw do łazienki, Juddee, i postaraj się zmyć brzoskwinie i śmietankę. No już! Jazda!

Bayta wróciła na swoje miejsce i wzięła znowu jadłospis z uczuciem smętnej ulgi. Takie humory były zaraźliwe. W tych nerwowych dniach wystarczy jedna szlochająca dziewczyna, żeby rozłożyć cały jej wydział.

Wybrała z niesmakiem danie, nacisnęła odpowiednie guziki znajdujące się tuż obok łokcia i odłożyła jadłospis do właściwej wnęki.

Wysoka, czarna dziewczyna siedząca naprzeciw niej rzekła:

— A co możemy robić, jeśli nie płakać, no co? Jej zaskakująco duże usta zaledwie się przy tym poruszyły i Bayta spostrzegła, że ich kąciki były starannie uszminkowane, aby nadać twarzy ten wyraz sztucznego półuśmiechu, który był ostatnim krzykiem mody.

Bayta doskonale wyczuła kryjące się w jej słowach wyzwanie i z uczuciem ulgi powitała pojawienie się obiadu, który uwolnił J4 od potrzeby natychmiastowej odpowiedzi. Rozsunął się blat stołu i na jego powierzchnię wyjechały talerze z jedzeniem i przybory stołowe. Bayta rozerwała opakowanie, wyjęła sztućce i trzymała je delikatnie, czekając, aż ostygną.

— Nie widzisz innego wyjścia, Helia? — spytała.

— Owszem — odparła Helia — Widzę! — wprawnym przytknięciem palca wrzuciła niedopałek papierosa do odpowiedniego wgłębienia. Niedopałek zniknął w krótkim jądrowym błysku, nim zdążył opaść na płaskie dno popielniczki. — Myślę na przykład — rzekła, opierając brodę na szczupłych, wypielęgnowanych dłoniach — że moglibyśmy zawrzeć całkiem niezłe porozumienie z Mułem i zakończyć tę nonsensowną wojnę. No cóż, ja nie mam takich … eee … możliwości, żeby się szybko przenieść gdzie indziej, kiedy Muł zwycięży.

W twarzy Bayty nie drgnął ani jeden mięsień. Rzekła lekkim, obojętnym tonem:

— Nie masz zdaje się, brata ani męża na walczących statkach, co?

— Nie. To najlepszy dowód, że nie mówię tego z osobistych powodów. Nie widzę sensu, żeby ginęli bracia i mężowie innych kobiet.

— Zginą na pewno, jeśli się poddamy.

— Fundacja poddała się i ma spokój. Nasi mężczyźni są w przestrzeni i Galaktyka jest przeciw nam.

Bayta wzruszyła ramionami i rzekła słodkim głosem:

— Obawiam się, że najbardziej martwi cię to pierwsze — i zajęła się swym półmiskiem z jarzynami. Zapanowało milczenie. Nikt w zasięgu słuchu Bayty nie próbował nawet dyskutować z cynicznymi argumentami Helli.

Wyszła szybko, nacisnąwszy przedtem guzik urządzenia, które uprzątnęło stół robiąc miejsce dla następnej zmiany.

Trzy miejsca dalej nowa dziewczyna spytała scenicznym szeptem Hellę:

— Kto to jest?

Helia wykrzywiła pogardliwie usta.

— Żona bratanka naszego koordynatora. Nie wiedziałaś o tym?

— Tak? — nowa obejrzała się za Bayta, która znikała już za drzwiami. — Co ona tu robi?

— Pracuje przy taśmie. Nie wiesz, że teraz modnie być patriotką? To wszystko takie demokratyczne… rzygać mi się chce!

— Daj spokój, Helia — powiedziała pulchna dziewczyna siedząca po jej prawej stronie. — Jeszcze nigdy nie napuściła na nas swego wuja. Dlaczego się od niej nie odczepisz?

Helia zmierzyła ją lodowatym spojrzeniem i zapaliła nowego papierosa.

Nowa pilnie słuchała trajkotania jasnookiej dziewczyny z księgowości siedzącej naprzeciwko.

— …podobno była w Krypcie… w samej Krypcie, wiesz.? … kiedy mówił Seldon… i mówią, że burmistrz aż się pienił z wściekłości i że były zamieszki, i tak dalej, rozumiesz. Uciekła, zanim wylądował Muł i mówią, że to było przerażające — musiała się przedostać przez blokadę i w ogóle… dziwię się, że nie napisze o tym książki, wiesz, teraz te książki wojenne mają takie wzięcie. Podobno była też na tym świecie Muła, no wiesz, na Kalganie i…

Zabrzęczał dzwonek oznajmiający koniec przerwy i jadalnia powoli zaczęła się wyludniać, Dziewczyna z księgowości dalej ciągnęła swe opowiadanie, a nowa słuchała z rozdziawionymi ustami, wtrącając tylko w odpowiednich momentach: „Naprawdę?"

Kiedy Bayta wracała do domu, ogromne lampy w niszach skalnych powoli zakrywały się już osłonami, co dla porządnych, ciężko pracujących ludzi było znakiem, że pora już spać.

W drzwiach spotkała Torana z pajdą chleba z masłem w dłoni.

— Gdzie byłaś? — spytał z pełnymi ustami. Potem, przełknąwszy, dodał już wyraźniej: — Zrobiłem kolację trochę na chybcika. Jeśli będzie za mało, to trudno.

Ale Bayta nie odpowiedziała. Przyglądała mu się ze zdziwieniem.

— Torie, gdzie twój mundur? Co ty robisz w cywilu?

To rozkaz, Bay. Randu zamknął się teraz z Eblingiem Misem i nie wiem o co tu chodzi. To wszystko.

— Ja też lecę? — spytała impulsywnie. Pocałował ją.

— Tak myślę. To prawdopodobnie będzie niebezpieczne zadanie.

— A co nie jest niebezpieczne?

— No tak. Aha, posłałem już po Magnifico, więc on prawdopodobnie też poleci.

— To znaczy, że trzeba będzie odwołać jego koncert w fabryce silników.

— Oczywiście.

Bayta przeszła do drugiego pokoju i usiadła do stołu. Kolacja rzeczywiście wyglądała na przyrządzoną „na chybcika". Zgrabnie i szybko przekroiła kanapki na pół i powiedziała:

— Szkoda, że nic nie wyjdzie z tego koncertu. Dziewczyny w fabryce bardzo się cieszyły. Zresztą Magnifico też. Niech go, to taki dziwak!

— Rozbudza w tobie uczucia macierzyńskie, Bay, ot co! W końcu urodzi nam się dziecko i zapomnisz o nim.

Bayta odparła gryząc swą kanapkę:

— Dziwne, że ty w ogóle nie wzbudzasz we mnie uczuć macierzyńskich.

Nagle odłożyła kanapkę i spoważniała.

— Torie…

— M hm.

— Torie, byłam dzisiaj w ratuszu… w Biurze Produkcji. Dlatego wróciłam tak późno.

— A co tam robiłaś?

— No… — rzekła niepewnie — jakby to powiedzieć… To się potęguje. Nie mogłam już tego dłużej wytrzymać w fabryce. Morale po prostu nie istnieje. Dziewczyny płaczą bez żadnego powodu. Te, które nie chorują, stają się posępne. Nawet te szare myszki, których nikt by nie zauważył, chodzą jakieś nadąsane. Na moim wydziale nie robimy nawet jednej czwartej tego, co wtedy, kiedy przyszłam. Nie ma dnia, żeby kogoś nie brakowało.

— Dobrze — rzekł Toran — wróćmy do Biura Produkcji. Co tam robiłaś?

— Miałam parę pytań. Tak jest, Torie, na całym Havenie. Produkcja spada, za to rośnie zniechęcenie i opór. Szef biura tylko

wzruszył ramionami — a siedziałam całą godzinę w poczekalni, żeby z nim porozmawiać, i dostałam się w końcu do niego tylko dlatego, że jestem żoną bratanka koordynatora — i powiedział, że nic na to nie może poradzić. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że go to guzik obchodzi.

— Nie oddalaj się od bazy, Bay.

— Poważnie… myślę, że go to w ogóle nie zainteresowało. Mówię ci — rzekła z ogniem — coś się psuje. To jest to samo straszliwe zniechęcenie, które rzuciło mi się w oczy w Krypcie Czasu, kiedy Seldon nas opuścił. Sam to czułeś.

Tak, czułem.

— No i mamy je znowu — ciągnęła z furią. — Nigdy nie będziemy w stanie przeciwstawić się Mułowi. Nawet gdybyśmy mieli odpowiednie środki, to brak nam serca, ducha, woli… Torie, dalsza walka nie ma sensu…

Bayta nigdy nie płakała w obecności Torana. Teraz też powstrzymała łzy. Naprawdę. Mimo to Toran położył jej dłoń na ramieniu i rzekł łagodnie:

— Nie myśl o tym, kochana. Wiem, co czujesz. Ale nie można…

Tak, nie można nic zrobić! Wszyscy to mówią… i siedzimy tak jak barany i czekamy na rzeź! Podniosła napoczętą kanapkę. Toran cicho słał łóżka. Na zewnątrz panowała zupełna ciemność.

Randu, jako nowo mianowany koordynator konfederacji miast na Haven, dostał na własne żądanie pokój na górze, z okien którego roztaczał się widok na dachy domów i zieleń miejską. Teraz, w gasnącym świetle lamp, wszystkie domy wydawały się cofać w jednostajny, posępny mrok. Randu nie miał czasu, żeby zastanawiać się nad symboliczną wymową tej sceny.

Rzekł do Eblinga Misa, który zdawał się całkowicie pochłonięty kontemplacją napełnionego czerwonym winem kielicha trzymanego w dłoni:

— Jest takie powiedzenie na Haven, że kiedy gasną światła w niszach, to wszystkim porządnym, ciężko pracującym ludziom pora spać.

— Dużo sypiasz ostatnio?

— Nie. Przepraszam, że wezwałem cię o tak późnej porze, Mis. Jakoś bardziej teraz lubię noc. Czy to nie dziwne? Ludzie na Haven ściśle przestrzegają zasady, że kiedy jest ciemno, trzeba spać. Ja też. Ale teraz jest inaczej…

— Kryjesz się — rzekł matowym głosem Mis. — W czasie pracy otaczają cię ludzie. Czujesz na sobie ich spojrzenia. Zdajesz sobie sprawę, że pokładają w tobie swe nadzieje. W czasie snu jesteś wolny.

— A więc ty to też czujesz? To przygnębiające uczucie klęski?

Ebling Mis wolno skinął głową.

— Tak. To zbiorowa psychoza… [niecenzuralne] panika tłumu. Na Galaktykę, Randu, czego się spodziewasz? Masz tu całe społeczeństwo, które wychowano w ślepej wierze, że bohater ludowy z dawnych czasów wszystko przewidział i zaplanował, i że troszczy się o każdy szczegół ich życia. To przyzwyczajenie myślowe ma wszelkie cechy kultu religijnego i sam wiesz, co to znaczy.

— Nie mam najmniejszego pojęcia.

Mis nie był zachwycony perspektywą dłuższych wyjaśnień. Nigdy tego nie lubił. Mruknął więc coś pod nosem, popatrzył dłuższą chwilę na cygaro, które obracał w palcach i w końcu rzekł:

— Charakteryzuje się silną wiarą. Wierzeniami może zachwiać tylko potężny szok, a w takim przypadku dochodzi do prawie całkowitego załamania psychicznego. W lżejszych przypadkach kończy się to histerią, patologicznym uczuciem braku bezpieczeństwa. W ciężkich przypadkach — szaleństwem i samobójstwem.

Randu obgryzał paznokcie. Wreszcie rzekł:

— Innymi słowy, kiedy Seldon nas zawiódł, zabrakło nam szczudła, na którym opieraliśmy się tak długo, że nasze mięśnie zanikły i nie możemy teraz ustać na własnych nogach.

— Właśnie tak. To co prawda tylko przenośnia, ale jest właśnie tak.

— A jak twoje mięśnie, Ebling? Psycholog wypuścił potężny kłąb dymu.

— Sflaczały, ale nie zanikły. Mój zawód wymaga pewnej dozy odporności i niezależnego myślenia.

— Widzisz wyjście?

— Nie, ale musi jakieś być. Być może Seldon nie opracował żadnych zabezpieczeń przed kimś takim jak Muł. Być może jego plan nie gwarantuje nam zwycięstwa. Ale w końcu nie gwarantuje nam też porażki. On po prostu przestał się liczyć w tej grze i jesteśmy zdani tylko na siebie. Muła można pokonać.

— W jaki sposób?

— W taki sam, w jaki można pokonać każdego — uderzając całą siłą w słaby punkt. Widzisz, Randu, Muł nie jest supermanem. Kiedy się go w końcu pobije, każdy się o tym przekona. Rzecz w tym, że nikt go nie widział, a legendy rodzą się szybko. Przypuszczalnie jest mutantem. Ale co z tego? Ignoranci uważają, że mutant to coś w rodzaju supermana. Nic podobnego.

Oblicza się, że codziennie rodzi się w Galaktyce kilka milionów mutantów. U dziewięćdziesięciu ośmiu czy nawet dziewięćdziesięciu dziewięciu procent z tych kilku milionów zmienione cechy daje się wykryć tylko za pomocą mikroskopu albo analiz laboratoryjnych. Z pozostałych dwu czy jednego procenta makromutantów, to jest osobników, u których zmienione cechy można wykryć gołym okiem,

dziewięćdziesiąt osiem czy dziewięćdziesiąt dziewięć procent to potworki, które albo umierają szybko, albo trafiają do laboratoriów lub ośrodków rozrywki. Z tych niewielu pozostałych mutantów, u których różnice są pozytywne, prawie wszyscy są nieszkodliwymi dziwolągami, którzy pod pewnym względem przewyższają normalnych ludzi, ale pod innymi względami mieszczą się w normie, a często poniżej normy. Rozumiesz, Randu?

— Tak. Ale co myślisz o Mule?

— Przyjmując zatem, że Muł jest mutantem, możemy założyć, że posiada jakieś niezwykłe cechy, niewątpliwie psychiczne, dzięki którym może zdobywać światy. Z drugiej strony, ma na pewno jakieś słabe miejsca, które musimy odkryć. Gdyby nie rzucały się one w oczy i gdyby ich odkrycie nie było dla niego groźne, to nie byłby taki tajemniczy i nie krył się przed wzrokiem innych ludzi. Jeśli jest mutantem…

— A czy istnieje inna możliwość?

— Być może. Poza informacjami kapitana Hana Pritchera z byłego wywiadu Fundacji nie mamy żadnych dowodów, że to mutant. Pritcher doszedł do takich wniosków po rozmowach z ludźmi, którzy twierdzili, że znali Muła, czy kogoś kto mógłby być Mułem, kiedy był jeszcze dzieckiem. Pritcher opierał się na skąpych danych, poza tym nie jest wykluczone, że to sam Muł rozpowszechnił te wieści. Na pewno bardzo mu pomogła opinia mutanta-supermana.

— To interesujące. Od dawna o tym myślałeś?

— W ogóle o tym nie myślałem, przynajmniej nie w tym znaczeniu, żebym wierzył, że jest tak właśnie. To po prostu możliwość, którą trzeba brać pod uwagę. Załóżmy na przykład, że Muł odkrył jakiś rodzaj promieniowania, który osłabia energię psychiczną, coś w rodzaju tego, które powstrzymuje reakcje jądrowe. I co ty na to, Randu, hę? To by chyba wyjaśniało to, co się teraz z nami dzieje i co się działo na Fundacji, prawda?

Randu wydawał się beznadziejnie przygnębiony.

— A jak tam twoje badania błazna Muła? — spytał.

Ebling Mis zawahał się.

— Na razie bez rezultatu. Przed upadkiem Fundacji puszyłem się przed burmistrzem, głównie po to, żeby mu dodać odwagi… częściowo po to, żeby siebie samego podnieść na duchu. Ale gdybym naprawdę znał odpowiednie wzory matematyczne, to wystarczyłyby mi opowieści błazna, żeby zupełnie rozszyfrować Muła. Wtedy byłby nasz. Wtedy mógłbym zrozumieć na czym polegają te dziwne anomalie, które od dawna nie dawały mi spokoju.

— Jakie anomalie?

— Pomyśl, człowieku. Muł bił floty Fundacji, jak chciał, ale ani razu nie udało mu się pokonać w otwartej walce o wiele przecież

słabszych sił Niepodległych Handlarzy. Fundacja padła od jednego ciosu, a Niepodlegli Handlarze stawiają opór całej jego potędze. Depresora pola jądrowego użył po raz pierwszy przeciw Niepodległym Handlarzom z Mnemona. Zaskoczyło ich to i przegrali pierwszą bitwę, ale nauczyli się neutralizować jego działanie. Potem już ani razu nie udało mu się wykorzystać tej broni przeciw Handlarzom.

Ale z powodzeniem stosował ją przeciw siłom Fundacji. Ba, działała skutecznie nawet w samej Fundacji. Dlaczego? Przy naszej obecnej wiedzy nie potrafimy na to odpowiedzieć. To wszystko nie trzyma się kupy. Muszą więc wchodzić w grę jakieś czynniki, o których nie mamy pojęcia.

— Zdrada?

— Bzdura, Randu. [Niecenzuralne] brednie. Nie było człowieka na Fundacji, który by nie był pewny jej zwycięstwa. A kto by zdradził stronę, która na pewno wygra?

Randu podszedł do wypukłego okna i smętnym wzrokiem popatrzył w ciemność.

— Ale teraz nie mamy żadnych szans na zwycięstwo, choćby nawet Muł miał tysiąc słabych punktów, choćby się z nich cały składał…

Patrzył nadal przez okno. Zgarbił się i nerwowo splatał i rozplatał trzymane z tyłu dłonie.

— Uciekliśmy bez trudu po tym wydarzeniu w Krypcie Czasu, Ebling. Inni też mogli uciec. Uciekło paru. Większość została. Pole depresora można było zneutralizować. Potrzeba było tylko trochę inwencji i pracy. Wszystkie statki floty Fundacji mogły uciec na Haven albo na położone w pobliżu planety i kontynuować walkę, tak jak my. Nie zrobił tego nawet jeden procent. Poddały się nieprzyjacielowi.

Podziemie na Fundacji, na które wydaje się tu liczyć większość ludzi, dotąd niczym się nie wykazało. Muł okazał się na tyle zręcznym politykiem, że zagwarantował wielkim firmom handlowym nienaruszalność ich własności i odpowiednie zyski i ich właściciele przeszli na jego stronę.

— Plutokraci zawsze byli przeciwko nam — rzekł z zawziętością Ebling Mis.

— Zawsze też mieli siłę. Słuchaj, Ebling, mamy powody, żeby podejrzewać, że Muł albo jego agenci skontaktowali się już z najznaczniejszymi spośród Niepodległych Handlarzy. Wiadomo, że przynajmniej dziesięć z dwudziestu siedmiu światów Handlarzy przeszło na jego stronę. Drugie tyle waha się. Nawet tu, na Havenie, są osoby, które nie czułyby się źle pod rządami Muła. Najwidoczniej trudno się oprzeć pokusie, żeby oddać zagrożoną władzę polityczną, jeśli można przy tym zachować władzę w sferze gospodarczej.

— Nie uważasz, że Haven może pokonać Muła?

— Nie wierzę, żeby pokonało — Randu odwrócił wreszcie przygnębioną twarz od okna i spojrzał psychologowi w oczy. — Myślę, że Haven tylko czeka na to, żeby się poddać. Właśnie dlatego wezwałem cię tutaj. Chcę, żebyś opuścił Haven.

Ebling Mis cmoknął ze zdziwienia.

— Już teraz?

Randu czuł się przeraźliwie zmęczony.

— Ebling, jesteś największym psychologiem Fundacji. Prawdziwi mistrzowie psychologii odeszli wraz z Seldonem, ale ty jesteś najlepszym, jakiego mamy. W tobie cała nadzieja na pokonanie Muła. Tutaj nie możesz nic zrobić. Musisz lecieć tam, gdzie jeszcze zostało coś z Imperium.

— Na Trantora?

— Tak. Po Imperium zostały już tylko wspomnienia, ale w samym środku musi coś jeszcze być. Ebling, oni mają biblioteki. Musisz poznać psychologię matematyczną… Może nauczysz się tyle, że zdołasz coś wydobyć z błazna. Oczywiście on poleci z tobą.

— Wątpię, czy on się na to zgodzi, nawet przy całym swoim lęku przed Mułem — odparł sucho Mis. — Chyba że poleci z nami żona twojego bratanka.

— Wiem o tym. Z tego właśnie powodu Toran i Bayta lecą z tobą. Jest zresztą inny, ważniejszy cel, Ebling. Hari Seldon założył dwie Fundacje, każdą w innym końcu Galaktyki. Musisz znaleźć tę Drugą Fundację

Konspirator

W ciemności dawny pałac burmistrzowski wydawał się niewyraźną plamą. Podbite miasto pogrążone było w ciszy godziny policyjnej. Na niebie nad Fundacją widniał mleczny, soczewkowaty obłok wielkiej Galaktyki, a tu i ówdzie migotała samotna gwiazda.

Fundacja potrzebowała trzystu lat, by z prywatnego przedsięwzięcia niewielkiej grupy uczonych rozrosnąć się do rozmiarów imperium handlowego, które niczym potężna ośmiornica sięgało swymi, mackami daleko w głąb Galaktyki. Wystarczyło pół roku, by spadła do roli jednej z wielu podbitych prowincji.

Kapitan Hań Pritcher nie chciał tego przyjąć do wiadomości.

Miasto pogrążone w ciszy i posępnym mroku i ciemne okna pałacu zajmowanego przez intruzów świadczyły wymownie o sytuacji Fundacji, ale kapitan Hań Pritcher, stojący u bram pałacu z malutką bombą atomową ukrytą pod językiem, nie chciał tego zrozumieć.

Z ciemności wyłonił się jakiś cień i zbliżył do Pritchera. Kapitan obrócił głowę.

— System alarmowy działa normalnie, kapitanie — dobiegł go. cichy szept. — Nic nie zarejestruje. Może pan iść.

Kapitan schylił się i bezszelestnie przekroczył bramę. Potem ścieżką obramowaną fontannami poszedł w kierunku dawnego ogrodu Indbura.

Minęły cztery miesiące od owych wydarzeń w Krypcie Czasu, których obraz chciał wymazać ze swej pamięci. Jednak jego fragmenty powracały uparcie, szczególnie nocą.

Oto stary Seldon, którego życzliwe słowa tak rozpaczliwie nie pasowały do sytuacji… zamęt i zamieszanie… nieprzytomny Indbur ze ściągniętą twarzą, nieprzyjemnie kontrastującą z jego wspaniałym, galowym strojem… przejęty trwogą, szybko rosnący tłum, czekający w milczeniu na nieuchronne hasło do poddania się… ten młody człowiek, Toran, znikający w bocznym wyjściu z przewieszonym przez ramię dyndającym ciałem błazna Muła…

I on sam, wreszcie już na zewnątrz krypty, w unieruchomionym samochodzie.

Oto znowu on, torujący sobie drogę w zdezorientowanym, opuszczającym w popłochu miasto tłumie, przedzierający się na oślep ku kryjówkom, w których mieściły się — w których przedtem mieściły się — siedziby dowództwa podziemia demokratycznego od osiemdziesięciu lat bezskutecznie usiłującego walczyć z dyktaturą.

Kryjówki były puste.

Następnego dnia pojawiły się na niebie czarne, obce statki i powoli schodziły do lądowania niknąc za budynkami leżącego obok

miasta. Kapitan Hań Pritcher czuł przygniatającą go rozpacz i bezradność.

Całą parą ruszył na poszukiwania.

Przez trzydzieści dni przebył pieszo blisko dwieście mil. Przebrał się w ubranie robotnika z zakładów hydroponicznych, którego znalazł martwego na poboczu drogi, zapuścił gęstą brodę… i w końcu znalazł to, co pozostało z podziemia.

Było to w mieście Newton, w dzielnicy niegdyś eleganckiej i reprezentacyjnej, lecz teraz pogrążającej się z wolna w nędzy i brudzie. Uchyliły się drzwi i w wąskiej szparze, tarasując przejście, stanął potężny, żylasty mężczyzna o małych oczkach. Jego pięści groźnie wypychały kieszenie spodni.

— Przychodzę od Mirana — wymamrotał kapitan.

Człowiek w drzwiach odpowiedział ponuro na hasło:

— Miran wcześnie się odzywa w tym roku.

— Nie wcześniej niż w ubiegłym — rzekł kapitan. Jednak jego rozmówca nie wpuścił go.

— Kim jesteś? — spytał.

— Nie jesteś Lisem?

— Zawsze odpowiadasz pytaniem na pytanie? Kapitan zaczerpnął głębszy łyk powietrza i wyrecytował spokojnie:

— Jestem Hań Pritcher, kapitan floty i członek Podziemnej Partii Demokratycznej. Wpuścisz mnie?

Lis odsunął się na bok, robiąc przejście.

— Naprawdę nazywam się Orum Palley — powiedział.

Wyciągnął rękę. Kapitan potrząsnął nią.

Pokój był przyzwoicie utrzymany, ale skromnie urządzony. W rogu stał ozdobny projektor książkowy. Rzuciwszy nań fachowym wzrokiem, Pritcher stwierdził, że może być to równie dobrze zamaskowany miotacz o niezłym kalibrze. Obiektyw projektora skierowany był na drzwi i mógł być zdalnie sterowany.

Lis podążył wzrokiem za spojrzeniem swego brodatego gościa i uśmiechnął się nieznacznie. — Tak! — powiedział. Ale tylko w czasach Indbura i jego krwiożerczych sługusów. Nie na wiele by się

przydał przeciw Mułowi, co? Na Muła nie ma żadnego sposobu. Jesteś głodny?

Kapitan przełknął ślinę i pokiwał głową.

— Za chwilę, jeśli możesz poczekać. — Lis wyjął z kredensu puszki. Dwie z nich postawił przed Pritcherem. — Połóż palec na wierzchu i otwórz, kiedy będą gorące. Zepsuł mi się aparat do mierzenia ciepła. Takie rzeczy przypominają, że jest wojna… — a może już się skończyła, co?

Jego słowa były jowialne, ale ton daleki od jowialności. Patrzył chłodno, taksującym wzrokiem. Usiadł naprzeciw kapitana i rzekł:

— Jeśli coś mi się w tobie nie spodoba, to zostanie po tobie tylko dziura w krześle. Rozumiesz?

Kapitan nic nie odpowiedział. Naciśnięciem palca otworzył puszkę. Lis rzekł krótko:

— Gulasz. Przepraszam, ale kiepsko z żywnością.

— Wiem — odparł kapitan. Jadł szybko, nie podnosząc głowy.

— Widziałem cię już kiedyś — powiedział Lis. — Próbuję sobie przypomnieć gdzie to było, ale nie pasuje mi broda.

— Nie goliłem się od trzydziestu dni. — Potem dodał gwałtownie — Czego chcesz? Podałem właściwe hasło. Mam kartotekę.

Lis machnął ręką.

— O, jestem pewien, że jesteś Pritcher. Ale jest wielu takich, którzy znają hasło, mają kartoteki i mogą potwierdzić swoją tożsamość — a są po stronie Muła. Słyszałeś kiedy o Lewawie. co?

— Przeszedł na stronę Muła. — Co? On…

— Tak. Nazywali go „Nieugięty". — Lis poruszył bezgłośnie ustami, jakby się śmiał, ale nie było w tym wesołości. — Następny — Willig. Po stronie Muła! Garre i Noth. Po stronie Muła! Dlaczego by nie Pritcher, co? Skąd mogę wiedzieć? Kapitan tylko potrząsnął głową.

— Ale to nieistotne — dodał łagodniej Lis. — Jeśli Noth zdradził, to i tak muszą mieć moje nazwisko… a więc jeśli jesteś w porządku, to znajomość ze mną jest dla ciebie niebezpieczna.

Kapitan skończył jeść. Oparł się o poręcz krzesła.

— Skoro nie macie tu organizacji, to gdzie ją można znaleźć? Fundacja poddała się, ale ja nie.

— No tak. Nie możesz się włóczyć bez końca. Ludzie z Fundacji muszą mieć teraz zezwolenie na wyjazd do innego miasta. Wiesz o tym? Również dowody osobiste. Masz taki? Poza tym, wszyscy oficerowie floty mają się zgłosić w najbliższym dowództwie sił okupacyjnych. To dotyczy ciebie, co?

— Tak — powiedział stanowczym głosem. — Myślisz, że uciekam ze strachu? Byłem na Kalganie, krótko po zajęciu go przez Muła. Po miesiącu żadnego oficera byłego władcy Kalgana nie było już na wolności, bo mogli się stać przywódcami buntu. Podziemie zawsze wiedziało o tym, że nie uda się żadna rewolucja, jeśli nie będziemy mieli poparcia przynajmniej części floty. Widocznie Muł też o tym wie.

Lis pokiwał w zamyśleniu głową.

— To dosyć logiczne. Muł jest ostrożny.

— Pozbyłem się munduru przy pierwszej okazji. Zapuściłem brodę. W końcu istnieje możliwość, że inni zrobili to samo.

— Jesteś żonaty?

— Żona nie żyje. Nie mam dzieci.

— Wobec tego nie mogą się mścić na rodzinie.

— Tak.

— Chcesz mojej rady?

— Jeśli możesz mi jakąś dać…

— Nie wiem jaką politykę prowadzi Muł ani co zamierza, ale jak dotąd nie dzieje się żadna krzywda wykwalifikowanym robotnikom. Wzrosły płace. Produkcja wszelkich rodzajów broni atomowej idzie pełną parą.

— Tak? To wygląda na ciągłą ofensywę.

— Nie wiem. Muł to cwany sukinsyn. Może chodzi mu tylko o to, żeby nakłonić robotników do uległości. Nie udało się go wykołować Seldonowi z tą jego całą historią, to ja nie mam zamiaru tego próbować. Ale ty jesteś ubrany jak robotnik. To mi nasuwa pewną myśl. Co ty na to?

— Nie jestem wykwalifikowanym robotnikiem.

— Miałeś przecież przeszkolenie wojskowe w technice jądrowej, prawda?

— Oczywiście.

— To wystarczy. W naszym mieście jest Fabryka Urządzeń Pól Jądrowych. Powiedz, że znasz się na tej pracy. Ci śmierdziele, którzy prowadzili fabrykę dla Indbura, prowadzają dalej — dla Muła. Dopóki trzeba im robotników, żeby napaść brzuchy, nie pytają chętnych do roboty o nic. Załatwię ci dowód osobisty i będziesz — mógł się postarać o pokój w hotelu robotniczym. Możesz zacząć zaraz.

W ten sposób kapitan Hań Pritcher z floty narodowej został ekranowym Lo Moro z 45 Zakładu Fabryki Urządzeń Pól Jądrowych, Z oficera wywiadu spadł na drabinie społecznej do roli konspiratora — roli, która kilka miesięcy później zawiodła go do dawnego prywatnego ogrodu burmistrza Indbura.

Będąc już w ogrodzie, kapitan Pritcher spojrzał na trzymany w ręku radometr. Pole ostrzegawcze wciąż jarzyło się. Czekał. Pozostało pół godziny do wybuchu bomby jądrowej, którą trzymał w ustach. Przesunął ją delikatnie językiem.

Pole ostrzegawcze zgasło i radometr pogrążył się w złowieszczym mroku. Pritcher szybko ruszył. Jak dotąd, wszystko przebiegało pomyślnie.

Myślał bez emocji o tym, że zostało mu dokładnie tyle życia, ile bombie, że „śmierć" bomby będzie również jego śmiercią — ale też śmiercią Muła. W ten oto sposób zakończy się jego czteromiesięczna prywatna wojna z Mułem, wojna, którą toczył od czasu ucieczki z fabryki w Newton…

Przez dwa miesiące kapitan Pritcher nosił ołowiane fartuchy i ciężkie ekrany osłaniające twarz. Przez ten czas udało mu się pozbyć charakterystycznych dla wojskowego gestów i postawy zdradzającej jego prawdziwą profesję. Był robotnikiem, pracował, odbierał swoje

wynagrodzenie, spędzał wieczory w mieście i nigdy nie rozmawiał o polityce. Przez cały ten czas nie widział Lisa.

Któregoś dnia człowiek przechodzący koło jego stanowiska potknął się i w kieszeni Pritchera znalazł się skrawek papieru. Było na nim tylko jedno słowo — „Lis". Pritcher wrzucił go do komory jądrowej, gdzie momentalnie zniknął, podnosząc poziom energii o jednego milimikrovolta i wrócił do pracy.

Tego wieczoru znalazł się w domu Lisa i zagrał partyjkę kart z dwoma ludźmi, których znał ze słyszenia i jeszcze jednym, którego znał z widzenia. Rozdając i rzucając karty rozmawiali ze sobą.

— To podstawowy błąd — mówił kapitan. — Żyjecie przeszłością. Nasza organizacja czekała osiemdziesiąt lat na właściwy moment. Przesłoniła nam wzrok psychohistoria Seldona, która przyjmuje za jedno z podstawowych twierdzeń, że jednostki się nie liczą i nie mają wpływu na bieg historii, że rządzą nimi złożone procesy gospodarcze i społeczne, że jednostka jest tylko bezwolną kukłą.

Ułożył sobie starannie karty, ocenił ich siłę i wychodząc w jedną z nich spytał: — Dlaczego nie mielibyśmy spróbować zabić Muła?

— No i jaki z tego będzie pożytek? — zaperzył się jego partner z lewej strony.

— No widzisz — rzekł kapitan zrzucając dwie karty — to jest właśnie typowy przykład. Co znaczy jeden człowiek wśród bilionów innych ludzi! Z tego powodu, że umrze jeden człowiek Galaktyka nie przestanie się kręcić. Ale Muł nie jest człowiekiem, to mutant. Udało mu się już przekreślić plany Seldona i jeśli zastanowisz się, jakie to będzie mieć konsekwencje, to dojdziesz do wniosku, że on — jeden człowiek — przekreślił całą psychohistorię. Gdyby się nie narodził, nie upadłaby Fundacja. Jeśli przestanie żyć, to Fundacja podniesie się na nowo. Słuchajcie, demokraci przez osiemdziesiąt lat walczyli z burmistrzami i magnatami handlowymi za pomocą łagodnych środków. Spróbujmy wreszcie zabójstwa.

— Jak? — spytał trzeźwo Lis.

— Myślałem o tym przez trzy miesiące i nic nie przychodziło mi do głowy — zaczął wolno Pritcher. — Przyszedłem tutaj i mam gotową odpowiedź. — Rzucił krótkie spojrzenie na siedzącego po jego prawej ręce człowieka o uśmiechniętej, szerokiej i różowej twarzy. — Byłeś kiedyś szambelanem Indbura. Nie wiedziałem, że należysz do podziemia.

— Ani ja, że ty należysz.

— No więc, do twoich obowiązków należało okresowe sprawdzanie instalacji alarmowej w pałacu.

— Tak.

— A teraz pałac zajmuje Muł.

— Taki był oficjalny komunikat… chociaż to wyjątkowo skromny

zdobywca — nie wygłasza przemówień, nie wydaje odezw, w ogóle nie pokazuje się publicznie.

— To znana historia i niczego nie zmienia. Ty, mój eks-szambelanie, jesteś wszystkim, czego nam potrzeba.

Rzucili karty na stół i Lis zgarnął pulę. Potasował wolno karty i zaczął rozdawać.

Były szambelan podnosił pojedynczo karty. — Przykro mi, kapitanie — powiedział. — Sprawdzałem system alarmowy, ale to była zwykła formalność. Nic się na tym nie znam.

— Spodziewałem się tego, ale w twoim mózgu są na pewno zakodowane informacje o urządzeniach kontrolnych tego systemu i można je odtworzyć, jeśli się zapuści dostatecznie głęboko sondę — sondę psychiczną.

Czerwona dotąd, czerstwa twarz byłego szambelana pobladła nagle i sflaczała. Zadrżały mu karty w ręku. — Sondę psychiczną? — spytał zmienionym głosem.

— Niepotrzebnie się niepokoisz — rzekł szorstko kapitan. — Wiem, jak się jej używa. Nic ci nie będzie. Najwyżej przez parę dni będziesz się czuł słabo. A zresztą nawet gdyby ci się coś stało, to jest to nasza jedyna szansa i musisz zaryzykować. Są niewątpliwie wśród nas ludzie, którzy na podstawie informacji o urządzeniach kontrolnych potrafiliby określić długości fal systemu alarmowego i rodzaje ich połączeń. Są też tacy, którzy potrafiliby skonstruować małą bombę zegarową, a ja sam podejmuję się zanieść ją do Muła.

Wszyscy pochylili się nad stołem.

— W oznaczonym dniu, wieczorem — ciągnął dalej kapitan — zacznie się tumult w sąsiedztwie pałacu. Walka na niby. Zamieszanie — a potem ucieczka. Zainteresuje się tym straż pałacowa, a przynajmniej odwróci uwagę od pałacu, a tymczasem…

Przez miesiąc trwały przygotowania. Kapitan Hań Pritcher z Floty Narodowej spadł na drabinie hierarchii społecznej znowu o szczebel niżej — z konspiratora przeistoczył się w terrorystę.

Terrorysta Hań Pritcher znajdował się już w pałacu. Czerpał ponurą satysfakcję z faktu, że jego własna teoria psychologiczna sprawdziła się. Czuły system alarmowy na zewnątrz oznaczał niewielu strażników wewnątrz. W tym konkretnym przypadku oznaczał w ogóle brak straży.

Miał w głowie dokładny plan parteru. W ciemnościach wyglądał jak cień posuwający się bezgłośnie wzdłuż wyłożonego miękkimi chodnikami korytarza. Na końcu przypłaszczył się do ściany i czekał.

Na wprost niego znajdowały się niewielkie, zamknięte drzwi do prywatnego gabinetu. Za tymi drzwiami musi być mutant, który zwyciężył niezwyciężoną Fundację. Pritcher przyszedł za wcześnie — do wybuchu pozostało jeszcze dziesięć minut. Minęło pięć minut z

owych dziesięciu, a w pałacu nadal panowała niczym niezmącona cisza. Mułowi pozostało pięć minut życia… Tyle samo kapitanowi Pritcherowi…

Pod wpływem nagłego impulsu postąpił krok naprzód. Plan nie mógł się już nie powieść. Kiedy wybuchnie bomba, runie cały pałac. Te dziesięć jardów dzielące go od Muła, drzwi, pokój, nic nie znaczyły. Ale przed śmiercią chciał go ujrzeć. Całym ciałem runął z impetem na drzwi.

Otworzyły się i wydobywające się z pokoju światło oślepiło go. Zachwiał się, ale zaraz złapał równowagę. Poważny mężczyzna stojący pośrodku pokoju pod zwieszającym się z sufitu akwarium spojrzał na niego łagodnie. Odziany był w czarny mundur. Puknął machinalnie w akwarium, które zahuśtało się, a spłoszone pomarańczowe i cynobrowe rybki o pierzastych płetwach rozpierzchły się w popłochu.

— Proszę wejść, kapitanie — powiedział. Kapitanowi wydawało się, że malutka metalowa kulka pod drżącym językiem złowieszczo pęcznieje. Wiedział, że to fizyczna niemożliwość. Ale była to ostatnia minuta życia.

— Niech pan lepiej wypluje tę idiotyczną kulkę, żeby nie przeszkadzała panu w mówieniu — rzekł mężczyzna w mundurze. — Nie wybuchnie.

Minęła minuta i nic się nie stało. Kapitan pochylił wolno głowę i wypluł na rękę srebrzystą kulkę. Z furią cisnął nią o ścianę. Odbiła się z metalicznym dźwiękiem i połyskując niegroźnie spadła na podłogę.

Człowiek w mundurze wzruszył ramionami.

— No to mamy z tym spokój. W każdym razie nic by to panu nie dało, kapitanie. Nie jestem Mułem. Musi pan się zadowolić jego wicekrólem.

— Skąd pan o tym wiedział? — spytał ochryple Pritcher.

— Może pan to przypisać dobrej pracy kontrwywiadu. Mogę wymienić po nazwisku wszystkich członków waszej bandy, podać wszystkie szczegóły tego zamachu…

— I pozwolił pan nam działać do końca?

— A dlaczego nie? Jednym z moich głównych zadań było znalezienie pana i jeszcze paru innych. Ale szczególnie chodziło mi o pana. Mogłem pana zatrzymać parę miesięcy temu, kiedy był pan jeszcze robotnikiem w zakładach w Newton, ale tak jest lepiej. Gdyby pan sam nie obmyślił z grubsza tego spisku, to ktoś z moich ludzi zaproponowałby coś w tym rodzaju. Efekt jest dość teatralny i raczej komiczny.

Prichter spojrzał twardo na swego rozmówcę. — Ja też tak myślę. Skończył pan?

— Dopiero zacząłem. Proszę, — kapitanie, niech pan usiądzie. Zostawmy czyny bohaterskie głupcom, którzy o nich marzą. Jest pan

zdolnym człowiekiem, kapitanie. Według moich informacji pan był pierwszym człowiekiem w Fundacji, który właściwie ocenił siłę Muła. Od tamtej pory interesował się pan wczesnym okresem jego życia i raczej śmiało pan sobie poczynał. Był pan jednym z tych, którzy uprowadzili jego błazna… nawiasem mówiąc, nie odnaleziono go do tej pory i nadal czeka nagroda dla informatora. Naturalnie pańskie zdolności zostały docenione, a Muł nie należy do tych, którzy obawiają się zdolności swoich wrogów, kiedy może ich zmienić w przyjaciół.

— A wiec do tego pan zmierza? O nie, nic z tego!

— O tak! To był cel tej całej dzisiejszej komedii. Jest pan człowiekiem inteligentnym, ale pańskie spiskowanie skończyło się humorystycznie. Właściwie trudno to nazwać zaszczytnym mianem spiskowania. Czyżby w akademii wojskowej nauczono pana tracić statki w beznadziejnej walce?

— Najpierw trzeba udowodnić, że ta walka jest beznadziejna.

— Udowodni się — rzekł wicekról pewnym siebie głosem. — Muł podbił Fundację, a teraz szybko przekształcają w arsenał dla urzeczywistnienia poważniejszych planów.

— To znaczy jakich?

— Podboju całej Galaktyki. Ponownego zjednoczenia wszystkich światów. Stworzenia nowego imperium. Spełnienia marzeń Seldona, ty tępy patrioto, siedemset lat przed przewidzianym przez niego terminem. W realizacji tego może pan nam pomóc.

— Na pewno mogę, ale na pewno nie pomogę.

— O ile mi wiadomo — ciągnął swój wywód wicekról — opierają się jeszcze tylko trzy światy Niezależnych Handlarzy. Nie utrzymają się długo. To będzie koniec Fundacji. Jej flota przestanie istnieć, a pan wciąż upiera się przy swoim.

— Tak.

— Ale mimo to przyłączy się pan do nas. Oczywiście najlepszy jest ten, kto się przyłącza z własnej woli, ale inni też są dobrzy. Niestety, nie ma tu teraz Muła. Jak zawsze, dowodzi flotą walczącą z Niezależnymi Handlarzami, ale jest z nami w stałym kontakcie. Nie będzie pan musiał długo czekać.

— Na co?

— Na swoje nawrócenie.

— Muł — powiedział zimno kapitan — przekona się, że to przekracza jego możliwości.

— Na pewno nie. Ze mną mu się powiodło. Nie poznaje mnie pan? No przecież był pan na Kalganie, więc musiał mnie pan widzieć. Wyglądałem trochę inaczej. Nosiłem monokl, lamowaną futrem szkarłatną szatę, koronę…

Kapitan zesztywniał z wrażenia.

— Pan był władcą Kalgana.

— Tak. A teraz jestem lojalnym wicekrólem Muła. Widzi pan teraz, że ma on wyjątkowy dar przekonywania ludzi.

Interludium w przestrzeni

Przedostali się szczęśliwie przez blokadę. Nawet wszystkie floty jakie kiedykolwiek istniały, razem wzięte, nie zdołałyby opasać tak wielkiej części przestrzeni zwartym kordonem. Mając dobry statek, dobrze wyszkolonego pilota i trochę szczęścia można było przemknąć się przez jakąś dziurę w blokadzie.

Toran ze stoickim spokojem wyprowadzał statek z sąsiedztwa jednej gwiazdy w pobliże drugiej. Bliskość potężnej masy utrudniała co prawda wykonanie skoku międzygwiezdnego, którego parametry trudno było w takich warunkach dokładnie obliczyć, ale prawie uniemożliwiała prawidłowe funkcjonowanie detektorów wroga.

Kiedy przedostali się poza kordon, zostawili też za sobą wewnętrzną strefę martwej przestrzeni, przez której dokładnie kontrolowany subeter nie mogła się przedostać żadna wiadomość. Po raz pierwszy od przeszło trzech miesięcy Toran poczuł, że nie jest odcięty od wszechświata.

Przez tydzień dzienniki wrogich rozgłośni nie podawały prawie żadnych wiadomości poza triumfalnymi i nudnymi szczegółowymi informacjami dotyczącymi coraz ściślejszej kontroli nad Fundacją. Tymczasem uzbrojony statek handlowy Torana uchodził pośpiesznymi skokami z Peryferii.

Po tygodniu Ebling Mis wywołał Torana z kabiny pilota. Toran podniósł się znad map, mrugając zmęczonymi oczami.

— O co chodzi? — spytał wchodząc do środkowego pomieszczenia, które oczywiście Bayta zmieniła w salon.

Mis potrząsnął głową.

— Niech mnie przestrzeń pochłonie, jeśli wiem. Dziennikarze Muła zapowiadają specjalny komunikat. Pomyślałem, że może byś to obejrzał.

— Mogę obejrzeć. Gdzie Bayta?

— Nakrywa do stołu w jadalni i układa menu czy coś w tym rodzaju.

Toran usiadł na koi, która służyła Magnifico za łóżko i czekał. Wszystkie „specjalne komunikaty" Muła były przygotowywane według jednego schematu. Zaczynały się muzyką wojskową, a potem pojawiał się przylizany, gładko gadający spiker. Podawał jednostajnym głosem mniej istotne wiadomości, a potem urywał. Odzywały się trąby, a w widzach narastało podniecenie. Dopiero wtedy oznajmiał najważniejszą nowinę.

Toran znosił to ze spokojem, ale Mis mruczał coś pod nosem.

Z ust spikera sypały się typowe dla doniesień z pola walki puste frazesy gładko prześlizgujące się nad ponurą rzeczywistością

stopionego metalu statków i ciał spopielonych w ogniu eksplozji jądrowych.

„Eskadra szybkich krążowników pod dowództwem generała porucznika Sammina przystąpiła dziś do kontrnatarcia na oddział specjalny wysłany z Iss i zadała nieprzyjacielowi ciężkie straty…”

Z ekranu znikła pozbawiona wyrazu twarz spikera ustępując miejsca obrazowi czarnej otchłani przestrzeni, w której miotały się gwałtownie statki w walce na śmierć i życie. Beznamiętny głos towarzyszył bezgłośnym wybuchom…

„Wyjątkowymi umiejętnościami i odwagą wykazała się załoga ciężkiego krążownika „Rój”, która stoczyła walkę z trzema nieprzyjacielskimi statkami klasy „Nova”…”

Obraz zwinął się i odpłynął w dal i nastąpiło zbliżenie kamery. Z wielkiego statku wydobył się strumień światła i jeden z atakujących go zaciekle kosmolotów rozbłysnął nagle, zszedł z linii strzału, zakręcił i rzucił się na krążownik. „Rój” zrobił gwałtowny unik i wytrzymał uderzenie. Statek odbił się od jego potężnego kadłuba i koziołkując odleciał w pustkę.

Spiker komentował jednostajnym głosem przebieg bitwy aż do ostatniego strzału i ostatniego wraku.

Potem ukazał się podobny obraz z bitwy stoczonej koło Mnemona, któremu towarzyszyła prawie identyczna relacja, z dodatkiem długiego opisu pościgu za uciekającym nieprzyjacielem zilustrowanego widokiem spalonego miasta i przygnębionych jeńców.

Mnemonowi nie pozostało już dużo do końca.

Potem następna pauza i oczekiwany ochrypły dźwięk trąb. Na ekranie pojawił się długi korytarz, po którego obu stronach stali sztywno wyprostowani żołnierze. Środkiem korytarza szybko kroczył rzecznik rządu w mundurze członka rady.

Zapadła uciążliwa cisza.

W końcu z ekranu dobiegł uroczysty, twardy głos:

„Z rozkazu naszego pana oznajmia się, że planeta Haven, przeciwstawiająca się dotąd zbrojnie jego woli, poddała się. W chwili obecnej wojska naszego władcy kończą

jej zajmowanie. Sporadyczne i nieskoordynowane przejawy oporu zostały szybko złamane”.

Obraz znikł, pojawił się pierwszy spiker i zakomunikował dobitnie, że pozostałe doniesienia będą przekazywane w miarę, jak będą napływały.

Zabrzmiała muzyka taneczna i Ebling Mis spuścił na ekran zasłonę, która automatycznie wyłączyła telewizor.

Toran podniósł się i wyszedł bez słowa. Psycholog nie starał się go zatrzymać.

Kiedy z kuchni wyłoniła się Bayta, Mis ruchem ręki nakazał jej milczenie.

— Wzięli Haven — powiedział.

— Już? — spytała Bayta. W jej oczach widać było niedowierzanie.

— Bez walki. Bez choler… — przerwał i zdusił przekleństwo. — Lepiej zostaw teraz Torana samego. To dla niego nieprzyjemna chwila. Myślę, że tym razem zjemy bez niego.

Bayta spojrzała bezradnie w stronę kabiny pilota, a potem odwróciła się.

— Dobrze — powiedziała.

Zasiedli do stołu. Magnifico siedział bez ruchu, jak skamieniały. Nie jadł i nie odzywał się ani słowem, tylko patrzył przed siebie z wyrazem obłędnej trwogi w oczach.

Ebling Mis odsunął z roztargnieniem talerzyk z mrożonymi owocami i rzekł ochrypłym głosem:

— Dwa Światy Handlarzy ciągle walczą. Walczą, wykrwawiają się i giną, ale nie poddają się. Tylko na Haven… zupełnie jak w Fundacji. — Ale dlaczego? Dlaczego?

Psycholog pokręcił głową.

— To równie zagadkowe jak cała ta sprawa. Każde dziwne wydarzenie daje dużo do myślenia na temat natury Muła. Po pierwsze — jak to się stało, że udało mu się podbić Fundację niemal bez przelewu krwi, praktycznie za pierwszym uderzeniem, podczas gdy Światy Niezależnych Handlarzy stawiały silny opór? Depresor reakcji jądrowej nie jest groźną bronią — gadaliśmy o tym tyle, że źle mi się robi na samo wspomnienie — i nie poskutkował nigdzie, tylko na Fundacji.

Randu uważa — Mis ściągnął siwe brwi — że to mógł być depresor woli. Mogli go zastosować na Haven. Ale dlaczego w takim razie nie użyją go w walkach o Iss i Mnemona, które przecież walczą tak zawzięcie, że Muł oprócz swoich sił rzucił jeszcze przeciw nim pół floty Fundacji? Wyraźnie rozpoznałem statki Fundacji wśród

atakujących.

— Fundacja, a potem Haven — rzekła cicho przygnębiona Bayta. — Wydaje się, że klęska podąża za nami krok w krok. Zawsze udaje się nam o włos uniknąć katastrofy, zawsze uciekamy w ostatniej chwili. Czy to się nigdy nie skończy?

Ebling Mis nie zwracał uwagi na to, co mówi Bayta. Zastanawiał się głośno:

— Ale jest jeszcze inny problem, całkiem inny. Pamiętasz, Bayta, tę wiadomość podaną w telewizji, że na Terminusie nie znaleziono błazna Muła, że prawdopodobnie uciekł na Haven albo został tam zabrany przez porywaczy? Nie bez powodu poświęca mu się tyle uwagi. Magnifico musi wiedzieć coś, co jest niebezpieczne dla Muła. Jestem tego pewien.

Blady z przerażenia Magnifico zaoponował, jąkając się:

— Na… naprawdę… wielmożny panie… przysięgam, że… że nie potrafię spełnić pana żądań. Powiedziałem wszystko, co wiem, zupełnie wszystko, a swoją sondą wydobył pan z mojej słabej głowy nawet to, o czym nie wiedziałem, że wiem.

— Wiem, wiem. To jakiś drobiazg. Taki drobiazg, że ani ty, ani ja nie możemy się zorientować, że to właśnie o niego chodzi. Ale muszę to odkryć… bo Mnemon i Iss długo już nie wytrzymają, a kiedy padną, z niepodległej Fundacji nie zostanie nic prócz nas.

W miarę zbliżania się do jądra Galaktyki skupiska gwiazd stają się coraz gęściejsze. Pola grawitacyjne zaczynają nachodzić na siebie w takim stopniu, że nie można lekceważyć powodowanych przez to zakłóceń w skokach międzygwiezdnych. Uświadomił to sobie Toran, kiedy ich statek wylądował po skoku w pełnym blasku czerwonego olbrzyma, który przyciągał ich z taką siłą, że minęło dwanaście długich, ciężkich godzin, nim udało mu się wyprowadzić statek z pola jego grawitacji.

Mając niezbyt dokładne mapy i niezbyt duże doświadczenie zarówno w obliczaniu, jak i przeprowadzaniu skoków, Toran spędzał całe dnie na starannym przygotowywaniu kolejnych manewrów.

Stało się to swego rodzaju wspólną pracą, Ebling Mis sprawdzał poprawność obliczeń, a Bayta, stosując różne uogólnione metody, porównywała ze sobą wszelkie możliwe trasy, starając się wybrać najwłaściwszą. Nawet Magnifica zaprzężono do roboty. Po odpowiednim przeszkoleniu wykonywał na kalkulatorze standardowe obliczenia, co sprawiało mu wielką radość i szła zadziwiająco sprawnie.

W rezultacie, gdzieś po miesiącu, Bayta przyglądając się krytycznie czerwonej linii biegnącej przez trójwymiarowy model Galaktyki i kończącej się w połowie drogi do jej środka rzekła z kpiną:

— Wiesz, co mi to przypomina? Dziesięciostopową dżdżownicę

cierpiącą na straszną niestrawność. W końcu, dzięki twym wspaniałym umiejętnościom, wylądujemy z powrotem w Haven.

— Na pewno — wrzasnął Toran, przerzucając z wściekłością mapy — jeśli się nie zamkniesz!

— A przy tym — ciągnęła niewzruszona Bayta — wiedzie tam na pewno jakiś szlak prosty jak południk.

— Tak? Przede wszystkim trzeba było pewnie pół tysiąca lat i pół tysiąca pilotów, żeby w końcu znaleźć tę, drogę, której i tak nie ma na tych parszywych mapach po pół kredyta sztuka. A poza tym być może lepiej unikać tych prostych szlaków. No i…

— Och, na Galaktykę, uspokój się wreszcie — przerwała mu Bayta i chwyciła go za włosy.

— Oj, puszczaj! — jęknął Toran, chwycił ją za ręce i pociągnął w dół, wskutek czego runęli razem z krzesłem na podłogę, gdzie wywiązała się walka pełna sapania, zduszonych chichotów i niedozwolonych ciosów.

Toran poderwał się na bezgłośne wejście Magnifica.

— Co się stało?

Twarz błazna była skrzywiona niepokojem, a skóra na jego wielkim, garbatym nosie ściągnęła się i pobladła.

— Przyrządy, dziwnie się zachowują. Zdając sobie sprawę z swej niewiedzy, panie, niczego nie dotykałem…

Toran w sekundę znalazł się w kabinie pilota. Powiedział spokojnie do Magnifica:

— Obudź Misa. Niech tu przyjdzie.

Potem zwrócił się do Bayty, _ która starała się doprowadzić do porządku swą fryzurę, przeczesując włosy palcami:

— Zostaliśmy odkryci, Bay.

— Odkryci? — Baycie opadły ręce. — Przez kogo?

— Galaktyka jedna wie — mruknął Toran — ale myślę, że ten ktoś ma już miotacze gotowe do strzału.

Usiadł i cicho posłał w subeter oznaczenia statku.

Kiedy wszedł odziany w szlafrok Ebling Mis, przecierając zaspane oczy, Toran rzekł z rezygnacją:

— Wygląda na to, że znaleźliśmy się na obszarze jakiegoś królestwa, które nazywa się Autarchią Filijską.

— Nigdy o nim nie słyszałem — powiedział Mis.

— Ja też — odparł Toran — ale to niczego nie zmienia. Zostaliśmy zatrzymani przez statek filijski i nie wiem, czym to się skończy.

Na pokład wszedł kapitan — inspektor z filijskiego statku w otoczeniu sześciu uzbrojonych ludzi. Był niewielkiego wzrostu, miał rzadkie włosy, cienkie usta i suchą cerę. Kaszlnął sucho, usiadł, wyjął spod pachy księgę i otworzył na pustej stronie.

— Proszę o paszporty i deklarację celną.

— Nie mamy — odarł Toran.

— Nie macie? — złapał mikrofon wiszący u pasa, podniósł do ust i rzekł szybko: — Trzech mężczyzn i jedna kobieta. Nie mają papierów. — Mówiąc to, notował jednocześnie w księdze.

— Skąd jesteście? — spytał.

— Z Siwenny — rzekł przezornie Toran.

— Gdzie to jest?

— Osiemset parseków stąd, osiemdziesiąt stopni na zachód od Trantora, czterdzieści stopni.

— Mniejsza o to!

Toran widział, jak inspektor notuje: „Miejsce pochodzenia — Peryferie".

— Dokąd lecicie? — pytał dalej Filijczyk.

— Do sektora Trantora — powiedział Toran.

— W jakim celu?

— Turystycznym.

— Macie jakieś towary?

— Nie.

— Hmm… Sprawdzimy — skinął głową i dwóch ludzi z eskorty poderwało się. Toran stał bez ruchu.

— Co was sprowadza na terytorium Filii? — inspektor łypnął nieprzyjaźnie.

— Nie wiedzieliśmy, że się na nim znaleźliśmy. Nie mam odpowiedniej mapy.

— Ten brak mapy będzie was kosztował sto kredytów… no i, oczywiście, musicie uiścić normalną opłatę celną, i tak dalej…

Znowu powiedział coś do mikrofonu i słuchał przez chwilę tego, co mówili z drugiej strony. Potem zwrócił się do Torana:

— Zna się pan na technologii jądrowej?

— Trochę — odparł Toran ostrożnie.

— Tak? — Filijczyk zamknął księgę i dodał: — Ludzie z Peryferii cieszą się dobrą opinią w tych sprawach. Proszę się ubrać i iść ze mną.

Bayta wysunęła się do przodu.

— Co chcecie z nim zrobić?

Toran odsunął ją łagodnie na bok i spytał zimno:

— Gdzie chce mnie pan zabrać?

— Trzeba podregulować nasz stos. On pójdzie z panem — jego wskazujący palec wymierzony był prosto w Magnifica, który wyglądał tak, jakby za chwilę miał się rozpłakać ze strachu.

— A po co on tam potrzebny? — spytał gwałtownie Toran.

Inspektor spojrzał na niego zimno.

— Mamy doniesienia o pirackich napadach w tym rejonie. On pasuje do opisu jednego z tych bandytów. Chodzi po prostu o

sprawdzenie.

Toran zawahał się na moment, ale sześciu mężczyzn i sześć miotaczy było argumentem nie do odparcia. Sięgnął do szafy po ubranie.

Godzinę później, w maszynowni filijskiego statku, wyprostował się i wybuchnął:

— Nie widzę, żeby cokolwiek było tu nie w porządku. Szyny zbiorcze są dopasowane, lampy L są właściwie zasilane, reakcja jest kontrolowana. Kto tu dowodzi?

— Ja — odparł cicho główny inżynier.

— No to proszę mnie stąd wyprowadzić… Odprowadzono go na poziom oficerski do małego przedpokoju, w którym był tylko obojętny chorąży.

— Gdzie jest ten człowiek, który przyszedł ze mną?

— Proszę poczekać — odpowiedział chorąży. Piętnaście minut później przyprowadzono Magnifica.

— Co z tobą robili? — spytał szybko Toran.

— Nic. Zupełnie nic — Magnifico potrząsnął wolno głową.

Dwieście pięćdziesiąt kredytów zaspokoiło żądania Filii — pięćdziesiąt kosztowało szybkie uwolnienie statku — i znaleźli się znowu w wolnej przestrzeni.

— Nie zasługujemy na eskortę? — spytała z wymuszonym uśmiechem Bayta. — Nie odprowadzą nas do granicy?

— To nie był żaden filijski statek — odparł ponuro Toran — i na razie jeszcze stąd nie odlatujemy. Podejdźcie tu. Zebrali się koło niego.

— To był statek z Fundacji, a na pokładzie byli ludzie Muła — powiedział bezbarwnym głosem.

Ebling Mis upuścił z wrażenia cygaro i schylił się, żeby je podnieść.

— Tutaj? — spytał. — Jesteśmy trzydzieści tysięcy parseków od Fundacji.

— Tak, ale co im przeszkadza, żeby zrobić taką samą wycieczkę? Na Galaktykę, Ebling, myślisz, że nie potrafię odróżnić statku od statku? Widziałem ich silniki, i to mi wystarczy. Mówię wam, że to był silnik z Fundacji i to w statku z Fundacji.

— A jak się tu znaleźli? — spytała logicznie Bayta. — Jakie są szansę na przypadkowe spotkanie dwóch konkretnych statków w przestrzeni?

— A co to ma do rzeczy? — rzekł poirytowany Toran. — To tylko świadczy o tym, że lecą za nami.

— Za nami? — zaśmiała się Bayta. — przez nadprzestrzeń?

— Można to zrobić — wtrącił zmęczonym głosem Ebling Mis — jeśli się ma dobry statek i dobrego pilota. Ale to mało

prawdopodobne.

— Nie kryłem kierunku, w którym lecimy — upierał się Toran. — Lecę prosto od chwili startu. Nawet ślepy mógłby wyliczyć naszą trasę.

— Akurat! — krzyknęła Bayta. — Przy tych twoich zwariowanych skokach wcale nie można się zorientować, w jakim kierunku lecimy! Nieraz wychodziliśmy ze skoku tyłem do przodu.

Tracimy czas! — warknął Toran przez zaciśnięte zęby. — To jest statek z Fundacji w służbie Muła. Zatrzymali nas. Szukali nas. Zabrali Magnifica — samego… Ja byłem tylko zakładnikiem, żebyście siedzieli spokojnie na wypadek, gdybyście zaczęli coś podejrzewać. I teraz ich tak rąbniemy, że nie zostanie po nich nawet śladu.

— Zaczekaj — złapał go za ramię Ebling Mis. — Chcesz nas zgubić niszcząc jeden statek, o którym nawet nie wiesz na pewno, że to wróg? Pomyśl tylko, człowieku, czy to możliwe, żeby ścigali nas przez połowę tej śmierdzącej Galaktyki i to takim zwariowanym szlakiem, i po tym wszystkim pozwolili nam spokojnie odlecieć?

— Nie interesuje ich, gdzie lecimy.

— No to dlaczego nas zatrzymali? Przecież teraz będziemy się strzec. Widzisz sam, że to się nie trzyma kupy.

— Ja widzę swoje i wiem, co robić. Puść mnie, Ebling, bo dostaniesz w szczękę.

Magnfico, który do tej pory siedział cicho przycupnięty na oparciu swego ulubionego krzesła, pochylił się w ich stronę. Jego nozdrza drgały nerwowo.

— Błagam o wybaczenie, że ośmielam się wtrącić — rzekł — ale mój biedny umysł poraziła znienacka dziwna myśl.

Bayta uprzedziła niecierpliwy gest Torana i pomogła Misowi go przytrzymać.

— No, śmiało! Mów, Magnifico — powiedziała. — Wysłuchamy cię cierpliwie.

— Kiedy byłem na ich statku, mój i tak zmącony umysł poraziła i sparaliżowała wielka trwoga. Zaprawdę, nie pamiętam prawie nic z tego, co się tam zdarzyło. Wielu ludzi patrzyło na mnie i mówili coś, czego nie rozumiałem. Ale pod koniec, jak promyk słońca, który przedarł się przez ciemną obręcz chmur, pojawiła się twarz, którą już widziałem. Było to zaledwie mignięcie, ale zostało w mej pamięci i jarzy się coraz silniej i jaśniej.

— Kto to był? — spytał Toran.

— Ten kapitan, który był z nami tak dawno temu, kiedy uwolniliście mnie z mej niewoli.

Najwidoczniej Magnifico chciał wywołać sensację, a radosny uśmiech, który wykwitł na jego twarzy w cieniu potężnego nosa, świadczył, że mu się to udało.

— Kapitan… Hań… Pritcher? — spytał surowym tonem Mis. —

Jesteś tego pewien? Nawet teraz?

— Przysięgam, panie — rzekł Magnifico, kładąc chudą dłoń na wąskiej piersi. — Przysiągłbym, że to prawda nawet przed Mułem i powiedziałbym mu to prosto w twarz, choćby wszyscy jego ludzie twierdzili, że kłamię.

— No więc o co chodzi w tym wszystkim? — zapytała ze szczerym zdziwieniem Bayta.

Błazen skwapliwie pospieszył z odpowiedzią.

— Mam pewną teorię, pani. Zstąpiła na mnie nagle, jakby natchnął mnie sam Duch Galaktyki — i rzeczywiście Magnifico, wbrew swojej naturze, podniósł głos, aby przekrzyczeć wątpliwości Torana.

— O pani — zwracał się wyłącznie do Bayty — jeśli ten kapitan, tak jak my, uciekł wraz z tym statkiem, jeśli, tak jak my, leci w sobie tylko znanym celu, jeśli niespodziewanie natknął się na nas… to może podejrzewać, że go śledzimy i lecimy za nim, zupełnie tak samo, jak my podejrzewamy jego. Nic dziwnego, że odegrał tę komedię, aby dostać się na nasz statek.

— No to po co chciał, żebyśmy my znaleźli się na jego statku? — nie ustępował Toran. — Jedno nie pasuje do drugiego.

— Ależ pasuje! — wrzasnął błazen, jak w natchnieniu. — Przysłał na nasz statek swego podwładnego, który nas nie znał, ale opisał przez mikrofon. Kapitana na pewno uderzył opis mej nędznej osoby, bo zaprawdę, niewielu jest w Galaktyce takich, którzy choć trochę przypominaliby moją nieszczęsną figurę. Ja byłem dowodem potwierdzającym tożsamość nas wszystkich.

— I zostawia nas?

— A cóż my wiemy o jego misji? Może jest ściśle tajna? Przekonał się, że nie jesteśmy wrogami, ale widocznie uważa, że lepiej nie ryzykować powodzenia planu przez poszerzenie kręgu wtajemniczonych.

— Nie bądź uparty, Torie — rzekła wolno Bayta. — To naprawdę wyjaśnia sytuację.

— To zupełnie możliwe — poparł ją Mis. Wobec tak powszechnego oporu Toran poczuł się zupełnie bezradny. Coś mu się nie podobało w zadziwiająco prostym tłumaczeniu błazna. Coś było nie tak. Nie umiał tego jednak sprecyzować i wbrew woli trawił go gniew.

— Przez chwilę — rzekł cicho — myślałem, że dostanę przynajmniej jeden statek Muła.

W jego oczach widać było ból po upadku Haven. Rozumieli go dobrze.

Śmierć na Neotrantorze

»Neotrantor — Niewielka planeta Delicass, przemianowana po splądrowaniu Trantora, przez prawie sto lat była siedzibą ostatnich władców Pierwszego Imperium. Był to właściwie cień świata i cień Imperium i jego istnienie ma tylko formalne znaczenie. Pod rządami pierwszego władcy z dynastii neotrantorskiej…«

Encyklopedia Galaktyczna

Planeta nosiła nazwę Neotrantor. Nowy Trantor! Ale całe podobieństwo nowego Trantora do jego wielkiego poprzednika sprowadzało się do nazwy. Dwa parseki dalej wciąż świeciło słońce starego Trantora, a dawna stolica Imperium Galaktycznego nadal krążyła w ciszy przestrzeni po swej odwiecznej orbicie.

Żyli tam nawet ludzie. Ale z czterdziestu miliardów zamieszkujących planetę zaledwie pół wieku wcześniej pozostało nie więcej niż sto milionów. Z potężnych metalowych konstrukcji pozostały tylko poszarpane szczątki. Górujące nad resztą wyniosłe wieżowce wyrastające z pokrywającej całą powierzchnię planety metalowej powłoki świeciły dziurami wypalonymi przez eksplozje jądrowe, przypominając o splądrowaniu planety, które miało miejsce przed pół wiekiem.

To niesamowite, że świat, który przez dwa tysiące lat był centrum Galaktyki, który sprawował władzę nad bezkresną przestrzenią i był siedzibą władców i prawodawców, których kaprysy trzęsły całą Galaktyką, mógł przestać istnieć w ciągu jednego miesiąca. To niesamowite, że świat, który wyszedł nietknięty z tysiącletniej burzy dziejowej, na którym nie zostawiły najmniejszego śladu wojny domowe i przewroty pałacowe drugiego tysiąclecia, był teraz martwy. To niesamowite, że chluba Galaktyki była rozkładającym się trupem.

I smutne!

Przeminą jeszcze całe wieki, nim wspaniałe dzieła trudu pięćdziesięciu pokoleń ulegną kompletnej zagładzie i staną się zupełnie bezużyteczne. Na razie tylko stale postępujący zanik dawnych umiejętności sprawiał, że żyjący nie mieli z nich żadnego pożytku.

Te skromne miliony ludzi, które przetrwały śmierć miliardów,

zdarły lśniącą metalową powłokę i odsłoniły ziemię, której od tysiąca lat nie tknęły promienie słońca.

Otoczeni szczytowymi osiągnięciami inżynierii, żyjący wciąż wśród cudów techniki uwolnionych spod tyranii środowiska naturalnego, mieszkańcy Trantora powrócili do pracy na roli. Na rozległych autostradach rosła pszenica i kukurydza. W cieniu wieżowców pasły się owce.

Na Neotrantorze, zapomnianej planecie-wiosce w cieniu potężnego Trantora, wszystko było jak dawniej, dopóki nie przybyła tam rodzina cesarska uciekająca w popłochu przed pożogą. Neotrantor stał się jej ostatnim schronieniem. Przycupnęli na nim, czekając aż przewali się niszcząca fala rebelii, i stamtąd sprawowali mizerne rządy nad ostatnim szczątkiem martwego Imperium.

Imperium Galaktyczne obejmowało teraz dwadzieścia światów rolniczych.

Imperator Dagobert IX, Pan Wszechświata, władał dwudziestoma światami zamieszkałymi przez krnąbrnych szlachetków i ponurych wieśniaków.

Dagobert IX miał dwadzieścia pięć lat, kiedy przybył ze swym ojcem na Neotrantora. On widział i dobrze pamiętał potęgę i chwałę Imperium z czasów jego świetności. Ale jego syn, który pewnego dnia zostanie Dagobertorn X, urodził się już na Neotrantorze i znał tylko dwadzieścia światów.

Kabriolet powietrzny Jorda Commasona był najświetniejszym pojazdem tego typu na całym Neotrantorze i nie było w tym nic dziwnego. Nie koniec bowiem na tym, że Jord Commason był największym właścicielem ziemskim na Neotrantorze. Ten fakt to dopiero początek, gdyż w czasach młodości był on towarzyszem i złym duchem młodego następcy tronu, którego wybujały temperament trzymał w ryzach będący wówczas w sile wieku imperator. Teraz był towarzyszem i złym duchem będącego w sile wieku następcy tronu, który nienawidził i trzymał w ryzach starego imperatora.

A więc Jord Commason, w swym powietrznym kabriolecie o karoserii wykładanej macicą perłową i pokrytej ornamentem ze złota i lumetronu, znanym wszystkim tak dobrze, że jego właściciel nie potrzebował nawet umieszczać na drzwiczkach swego znaku herbowego, dokonywał przeglądu swych włości, całych mil zagonów falującej pszenicy, wielkich młockarni i żniwiarek oraz również należących do niego dzierżawców folwarków i maszyn i rozmyślał w skupieniu nad swymi sprawami.

Obok niego siedział pochylony, zwiędły szofer, który zręcznie prowadził pojazd przez podmuchy wiatru i uśmiechał się.

Jord Commason rzekł, zwracając się do wiatru, powietrza i nieba:

— Pamiętasz, Inchney, co ci powiedziałem? Wiatr rozwiewał

przerzedzone, siwe włosy Inchneya. Uśmiechnął się szerzej, rozciągając wąskie wargi i ukazując luki w uzębieniu. Pionowe zmarszczki na jego policzkach pogłębiły się i wyglądał teraz tak, jakby krył sam przed sobą jakąś odwieczną tajemnicę. Odpowiedział świszczącym szeptem:

— Pamiętam, panie, i myślałem o tym.

— No i co wymyśliłeś, Inchney? — spytał Commason z ledwo skrywanym zniecierpliwieniem.

Inchney dobrze pamiętał czasy, kiedy był młodym i przystojnym lordem na Starym Trantorze. Inchney nie zapominał jednak, że teraz jest szpetnym starcem, żyjącym na łasce Jorda Commasona i odpłacającym mu za tę łaskę udzielaniem chytrych rad w potrzebie. Westchnął lekko.

— Goście z Fundacji, panie — rzekł znowu swym świszczącym szeptem — to jest coś, co się może przydać. Szczególnie kiedy przybywają tylko jednym statkiem i jest wśród nich zaledwie jeden mężczyzna zdolny do walki. Chyba są mile widziani?

— Mile widziani? — powtórzył ponuro Commason. — Być może. Ale ludzie stamtąd są magami i mogą okazać się potężniejsi niż my.

— Phi — mruknął Inchney. — Odległość sprzyja tworzeniu legend. Fundacja to taki sam świat jak inne. Mieszkają tam tacy sami ludzie jak gdzie indziej. Giną tak samo jak inni, kiedy dostaną z miotacza.

Inchney trzymał statek na kursie. Rzeka pod nimi wyglądała jak wijąca się, błyszcząca wstęga. — Przecież mówią teraz, że jakiś człowiek trzęsie światami Peryferii.

Commason stał się nagle podejrzliwy. — Co o tym wiesz?

Z twarzy szofera znikł uśmiech. — Nic, panie. To była uwaga bez znaczenia.

Dziedzic zawahał się, ale tylko na chwilę.

— Nic, co mówisz, nie jest bez znaczenia — rzekł brutalnie — a twoje sposoby zdobywania wiadomości doprowadzą w końcu do tego, że ukręcą ci tę twoją chudą szyję. No, ale słuchaj! Tego człowieka nazywają Mułem, a był tu jego poddany parę miesięcy temu… w sprawach handlowych. Czekam teraz… na innego… żeby dobić interesu.

— A ci nowo przybyli? Może to ci, na których pan czeka?

— Nie mają właściwych dokumentów.

— Doniesiono, że Fundacja padła…

— Tego ci nie mówiłem.

— Tak doniesiono — ciągnął chłodno Inchney — i jeśli to prawda, to oni mogą być uciekinierami i można by ich zatrzymać i wydać temu człowiekowi Muła w dowód szczerej przyjaźni.

— Tak? — rzekł Commason niepewnie.

— A ponieważ dobrze wiadomo, panie, że przyjaciel zdobywcy też w końcu zostaje jego ofiarą, byłby to środek przedsięwzięty dla ocalenia własnej skóry. Są przecież takie rzeczy, jak sonda psychiczna, a mamy tu cztery mózgi z Fundacji. Jest dużo spraw na Fundacji, o których warto by się było dowiedzieć. Nawet o Mule. I wtedy przyjaźń Muła byłaby trochę mniej groźna.

W ciszy górnych warstw powietrza Commason wzdrygnął się nagle i powrócił do swej poprzedniej myśli:

— A jeśli Fundacja nie padła? Jeśli doniesienia są nieprawdziwe? Mówi się, że jest przepowiednia, że nigdy nie padnie.

— Czasy wróżbitów już minęły, panie.

— Ale gdyby jednak nie upadła, Inchney… Pomyśl tylko! Co by było, gdyby nie upadła… Rzeczywiście, Muł robił mi obietnice… — zorientował się, że powiedział za dużo i poprawił się: — To znaczy, przechwalał się. Ale przechwałki to tylko słowa, a czyny to twarda rzeczywistość. Inchney roześmiał się bezgłośnie.

— Faktycznie, czyny to twarda rzeczywistość, ale dopiero kiedy do nich dojdzie. Leżąca na końcu Galaktyki Fundacja to żadna groźba.

— Jest jeszcze książę — mruknął Commason, jakby sam do siebie.

— A więc on też załatwia interesy z Mułem, panie?

Commasonowi nie udało się ukryć swego zadowolenia.

— Niezupełnie. Nie w taki sposób jak ja. Ale on się robi coraz bardziej nieobliczalny. Siedzi w nim diabeł. Jeśli to on pochwyci tych ludzi i schowa ich gdzieś dla własnych celów, bo nie można mu odmówić pewnego sprytu, to ja nie jestem jeszcze gotowy, żeby sobie pozwolić na zwadę z nim. — Zmarszczył czoło i skrzywił się z niechęcią.

— Wczoraj przez parę chwil widziałem tych przybyszów — rzeki szofer ni w pięć, ni w dziewięć. — Jest wśród nich osobliwa kobieta, ta czarna. Porusza się z taką swobodą, jakby była mężczyzną i ma niezwykle białą cerę kontrastującą z czarnymi, błyszczącymi włosami — w jego ochrypłym, zdartym głosie zabrzmiała nieomal ciepła nuta, aż Commason spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Myślę, że przy całym swoim sprycie — ciągnął Inchney — książę zgodzi się na rozsądny kompromis. Mógłby pan mieć całą resztę, gdyby zostawił mu pan tę dziewczynę…

Commason doznał nagle olśnienia.

— To jest myśl! To jest naprawdę myśl! Inchney, zawracaj! Jeśli wszystko dobrze się powiedzie, to przedyskutujemy sprawę twojej wolności.

To, że Commason wróciwszy do domu zastał w swoim gabinecie czekającą na niego kapsułkę osobistą, wyglądało niemal na zrządzenie losu.

Kapsułka przyszła na fali o długości znanej tylko kilku osobom.

Commason uśmiechnął się z zadowoleniem. Człowiek Muła jest już w drodze, a Fundacja naprawdę padła.

Bayta była rozczarowana. Nie tak sobie wyobrażała pałac Imperatora. Pokój był mały, prosto urządzony, niemal zwyczajny. Cały pałac nie mógł się nawet równać z rezydencją burmistrza Fundacji… a — Dagobert IX…

Bayta miała jasno sprecyzowany pogląd na to, jak powinien wyglądać imperator. Na pewno nie powinien wyglądać jak czyjś dobroduszny dziadek. Nie powinien być chudy, siwy ani podawać własnoręcznie herbatę z widoczną troską o wygodę gości.

Ale, niestety, taka była rzeczywistość.

Dagobert IX zachichotał, nalewając herbatę do filiżanki, którą trzymała w sztywno wyciągniętej ręce.

— Sprawia mi to wielką przyjemność, moja droga. To chwila wytchnienia od ceremonii i dworzan. Już od pewnego czasu nie miałem okazji przyjmować gości z moich dalekich prowincji. Teraz, kiedy się postarzałem, takimi drobiazgami zajmuje się mój syn. Nie poznałaś go jeszcze? Wspaniały chłopiec. Może trochę krnąbrny. Ale w końcu jest młody. Masz ochotę na pastylkę z aromatem? Nie?

Toran spróbował mu przerwać.

— Wasza miłość…

— Tak?

— Wasza miłość, nie było naszym zamiarem niepokoić waszą miłość…

— Bzdura, nie niepokoicie mnie. Dziś wieczorem zostaniecie przyjęci oficjalnie, ale do tego czasu jesteśmy wolni. No więc, jak powiadacie, skąd jesteście? Zdaje się, że już od dawna nie mieliśmy żadnej oficjalnej wizyty. Mówicie, że jesteście z Prowincji Anakreona?

— Z Fundacji, wasza miłość.

— A tak, z Fundacji. Teraz sobie przypominam, gdzie to jest. To w Prowincji Anakreona. Nigdy tam nie byłem. Lekarz zabrania mi dalekich podróży. Nie przypominam sobie, żebym miał ostatnio jakieś wiadomości od wicekróla Anakreona. Jak się tam żyje? — zapytał z ciekawością.

— Nie zgłaszam żadnych skarg, panie — wymamrotał Toran.

— Miło mi to słyszeć. Będę musiał pochwalić wicekróla.

Toran spojrzał bezradnie na Eblinga Misa. Mis rzekł obcesowo:

— Powiedziano nam, panie, że musimy uzyskać od waszej miłości pozwolenie na wstęp do Biblioteki Uniwersyteckiej na Trantorze.

— Na Trantorze? — spytał z roztargnieniem imperator. — Na Trantorze?

Nagle jego twarz wykrzywił grymas bólu. — Trantor? — wyszeptał. — Teraz sobie przypominam. Właśnie zamierzam tam powrócić na czele potężnej floty. Polecicie ze mną. Razem zniszczymy

tego zdrajcę. Gilmera. Razem odbudujemy Imperium!

Jego pochylona postać wyprostowała się, a głos nabrał mocy. Przez chwilę patrzył surowo. Potem zamrugał oczami i rzekł łagodnie:

— Ale Gilmer jest martwy! Trantor jest martwy… Przez chwilę zdawało mi się… Jak mówicie, skąd jesteście?

— Czy to naprawdę imperator? — szepnął Magnifico do Bayty. — Jakoś zawsze myślałem, że imperatorzy są potężniejsi i mądrzejsi niż zwykli ludzie.

Bayta gestem nakazała mu spokój. — Gdyby wasza miłość raczył podpisać rozkaz zezwalający nam na podróż na Trantora, to bardzo by to pomogło wspólnej sprawie — rzekła.

— Na Trantora? — powtórzył imperator nieobecnym głosem.

— Panie, wicekról Anakreona, w którego imieniu mówimy, pragnie donieść waszej miłości, że Gilmer jeszcze żyje…

— Żyje! Żyje! — zagrzmiał Dagobert. — Gdzie? Będzie wojna!

— Wasza miłość, tego jeszcze nie możemy powiedzieć. Dokładne miejsce jego pobytu nie jest znane. Wicekról przysyła nas, aby powiadomić o tym waszą miłość. Jedynie na Trantorze możemy znaleźć jego kryjówkę.

— Tak, tak… trzeba go znaleźć… — imperator podszedł niepewnym krokiem do ściany i drżącym palcem dotknął oka fotokomórki. Po bezskutecznym oczekiwaniu, mruknął: — Moja służba nie przychodzi. Nie mogę czekać.

Naskrobał coś na czystej kartce papieru i podpisał fantazyjnym zawijasem w kształcie litery „D”. — Gilmer jeszcze się przekona, jak silny jest imperator — rzekł. — Skąd przybyliście? Z Anakreona? Jak się tam żyje? Czy imperator cieszy się tam szacunkiem?

Bayta wyjęła kartkę z jego słabej dłoni.

— Lud kocha was, panie. Wszyscy doskonale wiedzą, jaką miłością wasza cesarska mość darzy swój lud.

— Będę musiał odwiedzić swych dobrych poddanych na Anakreonie, ale mój lekarz mówi… Nie pamiętam, co mówi, ale… Podniósł nagle głowę i w jego szarych, starczych oczach pojawił się nagły błysk. — Mówiliście coś o Gilmerze?

— Nie, wasza miłość…

— Nie posunie się już ani o krok. Wróćcie i powiedzcie to waszym ludziom. Trantor się oprze! Teraz mój ojciec dowodzi flotą i ten nędzny zdrajca Gilmer zamarznie w przestrzeni razem ze swoją świętokradczą hałastrą!

Podszedł niepewnym krokiem do fotela i usiadł. Jego wzrok był znowu nieobecny.

— O czym to ja mówiłem?

Toran podniósł się i złożył niski ukłon.

— Wasza miłość był bardzo łaskawy dla nas, ale czas

przeznaczony na audiencję dobiegł końca.

Przez chwilę Dagobert IX wyglądał jak prawdziwy imperator, kiedy podniósł się i stał sztywno wyprostowany, podczas gdy jego goście wychodzili tyłem, jeden za drugim, znikając w drzwiach… za którymi otoczyło ich dwudziestu uzbrojonych ludzi.

Błysnęła broń ręczna…

Przytomność wracała Baycie powoli, ale bez tego nieprzyjemnego uczucia wyrażającego się niemym pytaniem „Gdzie ja jestem?"

Doskonale pamiętała dziwnego starca, który określał siebie mianem imperatora i ludzi, którzy czekali na nich na zewnątrz. Mrowienie w stawach palców świadczyło o tym, że był to pistolet oszałamiający.

Nie otwierała oczu, lecz wsłuchiwała się z napiętą uwagą w dochodzącą do jej uszu rozmowę.

Słyszała dwa głosy. Jeden powolny i ostrożny, pełen uniżoności, za którą kryła się przebiegłość i chytrość. Drugi ochrypły i jakby pełen tłumionego gniewu, który co chwila wymykał się spod kontroli.

Częściej odzywał się ten drugi.

Bayta dosłyszała ostatnie słowa:

— Ten stary wariat będzie żył wiecznie. Denerwuje mnie. Mam już tego dosyć. Będę to miał, Commason. Ja też się starzeję.

— Zobaczmy najpierw, wasza wysokość, na co mogą się przydać ci ludzie. Być może zdobędziemy dostęp do innych źródeł siły, niż te, którymi dysponuje ojciec waszej wysokości.

Ochrypły glos przeszedł w niewyraźny, gorączkowy szept. Bayta zrozumiała tylko jeden zwrot „ta dziewczyna", ale drugi, przymilny głos przerodził się w nieprzyjemny, niski chichot zakończony pełnym poufałości, prawie protekcjonalnym: — Dagobert, ty się nie starzejesz. Ten, kto mówi, że nie masz już dwudziestu lat, jest wierutnym kłamcą.

Roześmiali się głośno i Baycie zamarła krew w żyłach. Dagobert… wasza wysokość… Stary imperator wspominał o swym krnąbrnym synu, a te szepty nie wróżyły nic dobrego. Bayta miała wrażenie, że to koszmarny sen.

Rozległ się nagle głos Torana, który wybuchnął stekiem przekleństw.

Otworzyła oczy i napotkała utkwiony w nią wzrok męża. W jego spojrzeniu odmalowała się wyraźna ulga. Rzekł z wściekłością:

— Odpowiecie za ten rozbój przed imperatorem. Uwolnijcie nas!

W tym momencie Bayta uświadomiła sobie, że przeguby rąk i kostki nóg ma przykute do ściany i podłogi silnym polem krępującym.

Człowiek o ochrypłym głosie podszedł do Torana. Miał wydatny brzuch, podkrążone oczy i przerzedzone włosy. Nosił spiczasty kapelusz z barwnym piórem, a wyłogi jego kubraka haftowane były srebrzystą metalową pianką.

— Przed imperatorem? — zapytał drwiąco, z wyraźnym rozbawieniem. — Przed tym biednym wariatem?

— Mam od niego przepustkę. Nikt z jego poddanych nie ma prawa pozbawiać nas wolności.

— Ale ja nie jestem poddanym, ty śmieciu Kosmiczny. Jestem regentem i następcą tronu i tak należy się do mnie zwracać. Jeśli chodzi o mego biednego, głupiego ojca, to bawi go przyjmowanie od czasu do czasu gości. Pozwalamy mu na takie kaprysy, bo zaspokajają one jego komiczne rojenia o Imperium. Nie ma to, oczywiście, żadnego poważnego znaczenia.

Podszedł do Bayty, która zmierzyła go pogardliwym wzrokiem. Pochylił się nad nią, tak że czuła jego przesycony zapachem mięty oddech.

— Jej oczy pasują do reszty, Gommason — rzekł. — Z otwartymi wydaje się jeszcze ładniejsza. Myślę, że będzie dobra. To będzie egzotyczny kąsek dla takiego znudzonego smakosza jak ja, co?

Toran rzucił się, starając się podnieść, ale jego próby były daremne. Następca tronu nawet nie spojrzał w jego stronę. Po plecach Bayty przeszły ciarki. Ebling Mis był wciąż nieprzytomny, jego głowa zwisała bezwładnie na piersi, ale jak stwierdziła ze zdumieniem Bayta, Magnifico miał szeroko otwarte oczy i patrzył zupełnie przytomnie, jakby ocknął się już dawno temu. Przeniósł wzrok na Baytę i wpatrywał się w nią intensywnie swymi wielkimi, brązowymi oczami, które niemal wychodziły z jego ziemistej twarzy.

Wskazał głową na następcę tronu i rzekł płaczliwym głosem:

— On ma mój wizjofon.

Następca tronu odwrócił się gwałtownie w jego stronę.

— To twoje, poczwaro?

Zrzucił instrument z ramienia i dopiero teraz Bayta spostrzegła, że miał go tam cały czas, zawieszony na zielonym pasie.

Nacisnął niezgrabnie parę klawiszy, starając się wydobyć jakiś akord, ale nic z tego nie wyszło.

— Umiesz na tym grać, poczwaro? — spytał.

— Pan obrabował statek Fundacji. Jeśli nie ukarze tego imperator, zrobi to Fundacja — odezwał się znowu Toran.

Odpowiedział mu Commason.

— Jaka Fundacja? spytał przeciągle. A może Muł nie jest już Mułem?

Zapanowała cisza. Następca tronu skrzywił twarz w uśmiechu, ukazując nierówne zęby. Przerwał pole przytrzymujące błazna i szturchnięciem zmusił go do powstania. Wcisnął mu w ręce wizjofon.

— Zagraj nam, poczwaro — rzekł. — Zagraj miłosną serenadę dla tej damy. Zaśpiewaj jej o tym, że więzienie nie jest pałacem, ale że mogę ją zabrać w miejsce, gdzie będzie pływać w różanej wodzie i

przekona się, co to jest miłość następcy tronu. Śpiewaj o mojej miłości, poczwaro.

Przysiadł na marmurowym blacie stołu i zaczął kołysać grubą nogą, wpatrując się w Baytę. Jego pyszałkowata mina i głupkowaty uśmiech wprawiały ją we wściekłość. Toran mocował się z przytrzymującym go polem, aż nabrzmiały mu żyły na skroniach. Ebling Mis poruszył się i jęknął.

Magnifico wybąkał:

— Nie mogę grać… zesztywniały mi palce.

— Graj, poczwaro! — ryknął następca tronu. Skinął na Commasona, by wyłączył światło, skrzyżował ramiona na piersi i czekał.

Magnifico przebiegł szybko palcami po klawiaturze i w pokoju trysnęła oślepiająca tęcza światła. Rozległ się niski, smętny, pulsujący ton. Potem dźwięk wzniósł się, przechodząc w smutny śmiech na tle stłumionego jęku dzwonów.

Wydawało się, że mrok gęstnieje. Muzyka docierała do Bayty jakby zza niewidzialnej kurtyny z puszystych, tłumiących dźwięk koców, natomiast migocące światło było tak nikłe, jakby dawała je jedna jedyna świeczka umieszczona na dnie głębokiego szybu.

Mimo woli wytężyła wzrok. Światło stało się jaśniejsze, lecz nadal było zamglone. Niewyraźnie falowało, pulsując zmieszanymi bezładnie barwami. Rozległ się głos trąb, wznosząc się w wysokim crescendo. Światło zaczęło szybko migotać, w rytm potwornej muzyki. W jego kręgu coś wiło się konwulsyjnie. Coś pokrytego ohydnymi, metalicznymi łuskami skręcało się i wyło, a razem z tym skręcała się i wyła muzyka.

Bayta walczyła z jakimś dziwnym uczuciem, które nagle ją opanowało, kiedy dotarła do niej świadomość, że skądś już to zna. Przypomniał się jej ów dzień w Krypcie Czasu i ostatnie dni na Haven. Było to to samo uczucie trwogi i rozpaczy, oplatające człowieka niczym wstrętna, lepka pajęczyna. Skurczyła się, zupełnie stłamszona psychicznie.

Muzyka przewalała się nad nią z potwornym łoskotem brzmiącym jak szatański śmiech. Odwróciła gwałtownie głowę, by nie patrzeć na przerażającą, wijącą się postać, która w niewielkim, otaczającym ją kręgu światła wyglądała jak — obraz widziany przez odwrócony teleskop. Czoło miała zimne i zroszone potem.

Muzyka zamarła. Koncert musiał trwać dobry kwadrans i Baytę ogarnęło niewypowiedziane uczucie ulgi, że wreszcie się skończył. Zapaliło się światło i ujrzała nachyloną nad sobą, spoconą twarz Magnifica. Spoglądał ponurym, dzikim wzrokiem.

— Jak się czujesz, pani? — wykrztusił.

— Dość dobrze — szepnęła — ale dlaczego tak grałeś?

Wtedy zobaczyła pozostałych. Toran i Mis leżeli bezwładnie pod ścianą, ale jej wzrok prześliznął się tylko po nich. Obok stołu leżał dziwnie sztywny następca tronu. Przy nim spoczywał Commason, z którego szeroko otwartych, pokrytych pianą ust wydobywał się cichy jęk.

Commason wzdrygnął się i ryknął z bólu, gdy Magnifico zrobił krok w jego kierunku.

Magnifico odwrócił się i jednym skokiem uwolnił Misa i Torana.

Toran poderwał się na nogi i chwycił mocno Commasona za szyję.

— Pójdziesz z nami. Weźmiemy cię, żeby mieć pewność, że dostaniemy się na statek.

Dwie godziny później, w kuchni statku, Bayta postawiła przed nimi ogromny, domowy placek i Magnifico, świętując powrót w przestrzeń, rzucił się na niego z całkowitym lekceważeniem obowiązujących przy stole manier. — Smaczny, Magnifico?

— Hmm!

— Magnifico?

— Tak, pani…

— Co to było, co tam zagrałeś? Błazen skrzywił się.

— E… lepiej nie mówić. Nauczyłem się tego kiedyś, a wizjofon wywiera nader potężny wpływ na system nerwowy. Z pewnością była to rzecz niegodziwa i obrażająca twą niewinność, pani.

— Daj spokój, Magnifico. Nie jestem znowu taka niewinna. Nie przypochlebiaj się. Czyja widziałam to samo, co oni?

— Mam nadzieję, że nie. Grałem tylko dla nich. Jeśli widziałaś coś, pani, to zaledwie skrawek… z daleka.

— I tego było dosyć. Wiesz, że pozbawiłeś przytomności następcę tronu?

Magnifico rzekł ponuro, z ustami pełnymi placka:

— Zabiłem go, pani.

— Co? — wykrztusiła Bayta.

— Był martwy, kiedy przestałem, bo inaczej grałbym dalej. Nie dbałem o Commasona. On najwyżej zagroziłby nam śmiercią albo torturami. Ale następca tronu miał niegodziwe zamiary w stosunku do ciebie, pani i … — błazna aż zatkało z oburzenia i zakłopotania.

Baycie przyszły do głowy dziwne myśli, ale stanowczo odsunęła je od siebie.

— Masz rycerską duszę, Magnifico.

— Och nie, pani — wsadził swój czerwony nos w talerz, ale jakoś przestał jeść.

Ebling Mis wyjrzał przez iluminator. Trantor był już blisko, a jego metaliczny blask był wprost oślepiający. Obok Misa stał Toran. Powiedział z goryczą:

— Przybywamy tu na próżno, Ebling. Człowiek Muła uprzedził

nas. Ebling Mis potarł czoło dłonią, która straciła już swą dawną pulchność. Mruknął coś niezrozumiale.

Toran był przygnębiony.

— Mówię, że ci ludzie wiedzą, że Fundacja upadła. Mówię…

— Hę? — Mis spojrzał na niego ze zdziwieniem. Potem ujął go łagodnie za rękę i powiedział zupełnie bez związku z poprzednią rozmową:

— Toran, patrzę… patrzę na Trantora. Wiesz… mam bardzo dziwne uczucie… od czasu jak wylądowaliśmy na Neotrantorze. To jest wewnętrzny impuls, który mnie pcha do działania. Toran, ja mogę to zrobić, wiem, że mogę to zrobić. Zaczyna mi się to wszystko powoli układać w głowie w jasny obraz… jeszcze nigdy nie widziałem tego tak jasno.

Toran spojrzał na niego i wzruszył ramionami. Słowa Misa nie przekonały go. Spojrzał na niego badawczo.

— Mis?

— Tak?

— Nie widziałeś statku lądującego na Neotrantorze, kiedy odlatywaliśmy?

— Nie — odparł Mis po krótkim zastanowieniu.

— A ja tak. Myślę, że to wyobraźnia, ale zdawało mi się, że to tamten filijski statek.

— Ten z kapitanem Hanem Pritcherem?

— A przestrzeń wie z kim! Informacje Magnifica… Przyleciał tu za nami, Mis.

Ebling Mis nic nie odpowiedział.

— Coś ci jest? — spytał natarczywie Toran. — Źle się czujesz? Mis milczał. Miał dziwne, zamyślone i błyszczące oczy.

Ruiny Trantora

Znalezienie jakiegoś obiektu na wielkiej powierzchni Trantora jest problemem jedynym w swoim rodzaju w całej Galaktyce. Nie ma tam bowiem kontynentów ani oceanów, które można byłoby rozpoznać z odległości tysiąca mil. Nie ma też rzek, jezior ani wysp, które można by dostrzec przez pęknięcia w pierścieniu chmur.

Ten pokryty metalową skorupą świat był bowiem kiedyś jednym gigantycznym miastem i patrząc nań z przestrzeni przybysz mógłby zidentyfikować jedynie dawny pałac imperatora. „Bayta" wielokrotnie okrążała planetę, lecąc niemal na wysokości samochodu powietrznego.

Znad okolic polarnych, gdzie okryte lodowym płaszczem wieżowce były ponurym świadectwem awarii urządzeń klimatyzacyjnych lub braku opieki nad nimi, posuwali się na południe. Od czasu do czasu mieli okazję, żeby porównać to, co widzieli, z tym, co pokazywała niedokładna mapa, w którą zaopatrzyli się na Neotrantorze.

Kiedy jednak znaleźli się nad pięćdziesięciomilową luką w metalowej skorupie, nie mieli wątpliwości, że dotarli do celu podróży. Setki mil kwadratowych niezwykłej na Trantorze zieleni otaczały dawną rezydencję imperatora.

„Bayta" zawisła w powietrzu i wolno obrała właściwy kurs. Mogli się orientować jedynie według potężnych, napowietrznych dróg. Na mapie przedstawione one były jako długie, proste strzałki, ze statku wyglądały jak gładkie, błyszczące wstążki.

Na podstawie wyliczenia kursu statku i przebytej drogi odnaleźli miejsce oznaczone na mapie jako teren uniwersytetu i siedli na płaskim placu, który kiedyś musiał być ruchliwym lądowiskiem.

Dopiero kiedy statek osiadł pośród metalowych budowli, przekonali się, że to, co z daleka wydawało się piękne, gładkie i lśniące jest w istocie plątaniną chylących się ku ruinie, pogiętych i poszarpanych konstrukcji, wymownym świadectwem zniszczeń z czasów splądrowania planety. Wieżowce miały ścięte wierzchołki, gładkie niegdyś ściany były powyginane i pokryte plamami, a gdzieś pośród tych kup złomu mignęło im pasmo, może kilkaset akrów, czarnej, świeżo zaoranej Lee Senter przyglądał się lądującemu ostrożnie statkowi. Był to pojazd o obcych kształtach, wyraźnie różniący się od statków z Neotrantora. Senter westchnął. Obce statki i niepewne stosunki z ludźmi z odległej przestrzeni mogły oznaczać koniec krótkiego okresu pokoju i powrót do czasów niosącej śmierć i zniszczenie wojny. Senter był przywódcą grupy. Opiekował się starymi księgami i czytał o tych czasach. Nie chciał, żeby wróciły. Minęło może dziesięć minut od chwili, kiedy obcy statek zaczął zniżać się do

lądowania, ale przez ten czas Senter zdążył przypomnieć sobie całe swoje życie. Na początku była ta wielka farma, na której spędził dzieciństwo. Pamiętał tylko tłum krzątających się ludzi. Potem masowa emigracja młodych małżeństw na nowe tereny. Miał wtedy dziesięć lat i był wśród nich jedynym dzieckiem, zagubionym i przestraszonym.

Potem te nowe budynki — wielkie metalowe płyty, które trzeba było zedrzeć z ziemi. Ziemia, którą trzeba było odwrócić, odświeżyć i użyźnić. Sąsiadujące z nią budowle, które trzeba było rozebrać i usunąć, aby nie zasłaniały słońca, a niektóre z nich obrócić na budynki mieszkalne.

Trzeba było siać i zbierać plony, trzeba było zawrzeć pokojowe stosunki z sąsiednimi farmami…

Potem okres rozwoju, wydzierania nowych ziem pod uprawy i spokojnej, zaradnej samorządności. Urodziło się nowe pokolenie, twarde, nawykłe do życia na roli. I wreszcie nadszedł ten wielki dzień, w którym wybrano go przywódcą grupy i w którym po raz pierwszy od czasu ukończenia osiemnastu lat nie ogolił się, zapuszczając brodę będącą oznaką jego godności.

A teraz Galaktyka może położyć kres tej krótkiej idylli życia w izolacji…

Statek wylądował. Senter patrzył bez słowa, jak otwiera się właz. Wyszły ostrożnie, bacznie się rozglądając, cztery osoby. Trzej mężczyźni — jeden młody, drugi stary, a trzeci chudy i o ptasiej twarzy. Czwartą osobą była kobieta, która zachowywała się, jakby miała równą z nimi pozycję. Przestał gładzić lśniącą, czarną brodę i podszedł do nich.

Wysunął przed siebie w uniwersalnym geście pokoju obie twarde, spracowane dłonie.

Młodszy z mężczyzn zrobił dwa kroki w jego stronę i odwzajemnił jego gest. — Przybywamy w pokoju — rzekł.

Mówił z obcym akcentem, ale słowa były zrozumiałe i takie, jakie Senter pragnął usłyszeć.

— Pokój wam — odparł tubalnym głosem. — Witajcie w naszej grupie i bądźcie naszymi gośćmi. Jeśli jesteście głodni, nakarmimy was. Jeśliście spragnieni, damy wam pić.

Po chwili usłyszał odpowiedź.

— Dziękujemy wam za uprzejmość. Kiedy wrócimy na nasz świat, wystawimy dobre świadectwo waszej grupie.

Odpowiedź była dziwna, ale dobra. Za nim stali, uśmiechając się, mężczyźni z grupy, a z załomów otaczających ich budowli poczęły wyłaniać się kobiety.

Kiedy znaleźli się w jego mieszkaniu, wyjął ze skrytki pudełko o lustrzanych ściankach i poczęstował gości długimi, grubymi cygarami,

które trzymał na specjalne okazje. Podchodził z pudełkiem do każdego z nich. Przed kobietą zawahał się. Usiadła pośród mężczyzn. Cudzoziemcy najwidoczniej pozwalali jej na taką bezczelność, a nawet wydawali się oczekiwać tego. Sztywnym ruchem podsunął jej pudełko.

Przyjęła cygaro z uśmiechem i zaciągnęła się z lubością jego aromatycznym dymem. Lee Senter bardzo się zgorszył, ale nie pokazał nic po sobie.

Oczekując na posiłek, prowadzili sztywną rozmowę, która w końcu zeszła na temat rolnictwa na Trantorze.

— A co z hydroponiką? — spytał starszy z przybyszów. — Z pewnością na takim świecie jak Trantor rozwiązaniem byłaby hydroponika.

Senter wolno potrząsnął głową. Czuł się trochę niepewnie. Niewiele wiedział o tych sprawach, tyle tylko, ile zdołał zrozumieć z książek, które czytał.

— Chodzi chyba o sztuczną uprawę roślin? Nie, to nie na Trantorze. Do tego trzeba mieć przemysł, na przykład chemiczny. A w razie wojny albo jakiejś katastrofy, kiedy przemysł przestaje pracować, ludzie przymierają głodem. Zresztą nie wszystko można sztucznie uprawiać. Niektóre rośliny tracą wartość odżywczą. Ziemia jest tańsza i lepsza, zawsze pewniejsza.

— Macie dosyć żywności?

— Dosyć, chociaż jedzenie jest może monotonne. Mamy drób i jajka, i krowy mleczne, ale mięso sprowadzamy z zagranicy.

— Sprowadzacie — młodszy mężczyzna okazał nagłe zainteresowanie. — A więc handlujecie. Ale co wysyłacie?

— Metal — odparł krótko Senter. — Niech pan się rozejrzy. Mamy nieograniczone zasoby i to już obrobionego. Przylatują z Neotrantora, rozbierają wszystko na wyznaczonym obszarze, a za to zostawiają nam mięso, owoce w puszkach, koncentraty, maszyny rolnicze i tak dalej. Zabierają metal i obie strony mają zysk.

Podano jedzenie. Posiłek składał się z chleba, sera i duszonych warzyw, które okazały się nadzwyczaj smaczne. Przy deserze z mrożonych owoców, który był jedyną częścią obiadu pochodzącą z importu, cudzoziemcy po raz pierwszy przeszli do sprawy, która ich sprowadzała. Młodszy z nich wyciągnął mapę Trantora.

Lee Senter spokojnie ją studiował. Wysłuchał ich i rzekł uroczystym głosem:

— Teren uniwersytetu jest nietykalny. Nic tam nie uprawiamy. Celowo nawet tam nie wchodzimy.

To jedna z pamiątek innych czasów, którą chcemy zachować nienaruszoną.

— Poszukujemy wiedzy. Niczego nie zepsujemy. Dajemy w zastaw nasz statek — mówił gorączkowo starszy mężczyzna.

— Wobec tego mogę was tam zaprowadzić — powiedział Senter.

Tej nocy cudzoziemcy spali, a Lee Senter wysłał wiadomość na Neotrantora.

Odmieniony

Kiedy znaleźli się pośród potężnych gmachów uniwersytetu, otoczyła ich martwa cisza. Wątle życie Trantora nie sięgało bram uczelni.

Przybysze z Fundacji nie wiedzieli nic o tym, co działo się tu w krwawych dniach splądrowania Trantora, z których uniwersytet wyszedł nietknięty. Nie wiedzieli o tym, że po klęsce sił cesarskich studenci utworzyli ochotniczą armię i z pożyczoną bronią i zaciekłą determinacją bronili świątyni nauki. Nie wiedzieli nic o siedmiodniowych walkach ani o zawieszeniu broni, na mocy którego uniwersytet pozostał wolny, podczas gdy nawet pałac imperatora rozbrzmiewał echem podkutych butów żołnierzy Gilmera podczas jego krótkich rządów na Trantorze.

Przybysze z Fundacji, wkraczając po raz pierwszy na teren uniwersytetu, zdawali sobie sprawę tylko z tego, że w świecie znajdującym się w okresie przejściowym od strawionej ogniem przeszłości do pełnej trudu i mozołu przyszłości, obszar ten był muzealną pamiątką dawnej świetności.

W pewnym sensie byli tu intruzami. Znieruchomiała w ciszy, jakby zadumana, pustka tych gmachów wydawała się ich odtrącać. Wydawało się, że wśród tych pustych ścian nadal żyje duch nauki, który obrzuca gniewnym spojrzeniem zakłócających atmosferę skupienia nieproszonych gości.

Biblioteka mieściła się w niepozornym budynku, pod którym jednak znajdował się gigantyczny podziemny labirynt pogrążonych w ciszy sal i korytarzy. Ebling Mis zatrzymał się przed kunsztownymi freskami w halu.

Rzekł szeptem — nie sposób było tam mówić inaczej:

— Wydaje mi się, że minęliśmy pomieszczenia katalogu. Wrócę tam.

Miał wypieki na twarzy i drżały mu ręce. — Nie wolno mi przeszkadzać, Toran. Będziecie mi tam przynosić jedzenie, dobrze?

— Będzie, jak chcesz. Zrobimy wszystko, żeby ci pomóc. Może chcesz, żebyśmy ci pomogli w wyszukiwaniu…

— Nie. Muszę być sam.

— Myślisz, że znajdziesz to, co trzeba?

— Wiem, że znajdę! — odparł Ebling Mis z przekonaniem.

Toran i Bayta po raz pierwszy od czasu ślubu mieli coś w rodzaju własnego gospodarstwa domowego. Było to dziwne gospodarstwo. Żyli nad wyraz skromnie, pośród majestatycznych budowli. Żywność sprowadzali głównie z farmy Lee Sentera. Płacili za nią drobnymi artykułami jądrowymi codziennego użytku, jakie można znaleźć na

statku każdego handlarza.

Magnifico nauczył się obsługiwać projektory w czytelni i siedział tam całymi dniami, oglądając książki przygodowe i opowieści awanturnicze z takim zainteresowaniem, że zapominał o jedzeniu i spaniu, prawie tak jak Ebling Mis.

Ebling tak się zakopał w książkach, że zapomniał o świecie. Wymógł na Toranie, by zawiesił mu hamak w Czytelni Psychologicznej. Zeszczuplał i zbladła mu cera. Nie mówił już z takim wigorem jak dawniej i niepostrzeżenie przestał używać swych ulubionych przekleństw. Zdarzało się, że z trudem rozpoznawał Baytę czy Torana.

Był bardziej sobą będąc z Magnifikiem, który przynosił mu jedzenie i często siedział u niego wiele godzin, patrząc z dziwną fascynacją jak starzejący się psycholog przepisuje niekończące się wzory równań, sprawdza coś w niezliczonych kasetach książkowych i dąży z uporem do sobie tylko wiadomego celu.

Toran wpadł na nią w ciemnym pokoju i rzekł ostro:

— Bayta!

Bayta drgnęła, jakby przyłapał ją na czymś niestosownym.

— Tak? Chcesz coś ode mnie, Torie?

— Pewnie, że chcę. Po co, na przestrzeń, siedzisz tutaj? Cały czas od przylotu na Trantora dziwnie się zachowujesz. Co się z tobą dzieje?

— Och, Torie, przestań — rzekła zmęczonym głosem.

— Och, Torie, przestań! — powtórzył z irytacją Toran, ale natychmiast się uspokoił i spytał łagodnie: — Dlaczego nie powiesz mi, co ci dolega, Bay? Coś cię trapi.

— Skądże! Nic mi nie dolega, Torie. Jeśli będziesz dalej taki natarczywy, to chyba zwariuję. Po prostu myślę.

— O czym?

— O niczym. No dobrze, myślę o Mule, o Haven, o Fundacji, o tym wszystkim. O Eblingu Misie i o tym, czy uda mu się znaleźć coś na temat Drugiej Fundacji i czy to nam w czymś pomoże… i o tysiącu innych rzeczy. Jesteś zadowolony? — zakończyła z rozdrażnieniem.

— Jeśli to tylko takie rozmyślania, to może byś przestała? To nie jest przyjemne i w niczym nie poprawi sytuacji.

Bayta podniosła się i powiedziała: — W porządku, jestem szczęśliwa. No, patrz, jestem wesoła, uśmiecham się.

Z zewnątrz dobiegł podniecony głos Magnifica: — Pani…

— Co się stało? No, dalej…

Głos Bayty zamarł nagle. W otwierających się drzwiach stanął wysoki mężczyzna o surowej twarzy…

— Pritcher! — krzyknął Toran.

— Kapitan! — wykrztusiła Bayta. — Jak pan nas znalazł?

Hań Pritcher wszedł do środka.

— Teraz jestem pułkownikiem — w służbie Muła — powiedział czystym, równym głosem, bez śladu jakiejkolwiek emocji.

— W służbie… Muła! — powtórzył Toran, jakby nie dowierzał własnym uszom. Sytuacja stała się napięta.

W oczach Magnifica pojawiło się przerażenie. Schował się za Torana. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

— Aresztuje pan nas? — spytała Bayta, ściskając kurczowo trzęsące się dłonie. — Naprawdę przeszedł pan do nich?

— Nie przyleciałem tu po to, żeby was aresztować — odparł szybko Pritcher. — W instrukcji, którą dostałem, nie ma o was słowa. W stosunku do was mogę postępować jak chcę i jeśli nie macie nic przeciw temu, to wolę mówić jak stary przyjaciel.

Z twarzy Torana widać było, że z trudem się powstrzymuje, żeby nie wybuchnąć. — Jak pan nas znalazł? — spytał. — A więc był pan na tym filijskim statku? Śledził pan nas?

Na kamiennej twarzy kapitana pojawiło się na ułamek sekundy coś w rodzaju zakłopotania.

— Byłem na statku filijskim! To pierwsze spotkanie było… hmmm… zbiegiem okoliczności.

— Taki zbieg okoliczności jest matematycznie niemożliwy!

— Raczej nieprawdopodobny, ale musi wam wystarczyć moje wyjaśnienie. W każdym razie powiedzieliście Filijczykom — oczywiście w rzeczywistości nie ma w ogóle takiego narodu — że kierujecie się do sektora trantorskiego, a ponieważ Muł ma już od pewnego czasu kontakty z Neotrantorem, było rzeczą łatwą zatrzymać was tam. Niestety, odlecieliście przed moim przylotem, choć byłem tuż po was. Miałem więc czas postarać się, aby farmy na Trantorze dostały polecenie zawiadomienia nas o waszym przybyciu. No i jestem tutaj. Mogę usiąść? Przybyłem tu po starej przyjaźni, wierzcie mi.

Usiadł. Toran pochylił głowę i bezskutecznie usiłował zebrać myśli. Bayta w odrętwieniu, zupełnie wyprana z emocji, przygotowywała herbatę.

Toran podniósł wreszcie głowę i rzekł cierpko:

— No, na co pan czeka, panie pułkowniku? Na czym polega ta pańska przyjaźń? Jeśli to nie areszt, to co? Zatrzymanie podejrzanych? Proszę zawołać swoich ludzi — niech przystąpią do dzieła.

Pritcher cierpliwie pokręcił głową.

— Nie, Toran. Przyleciałem tu z własnej woli, żeby z wami porozmawiać i przekonać was, że to, co robicie, na nic się nie zda. Jeśli mi się nie uda, zostawię was i odlecę. To wszystko.

— To wszystko? No to przystępuj do agitacji. Wygłoś swoją mowę i możesz się wynosić. Nie chcę herbaty, Bayta.

Pritcher przyjął filiżankę i podziękował z namaszczeniem. Popijając herbatę, patrzył spokojnym, pewnym wzrokiem na Torana.

Potem odstawił filiżankę i powiedział:

— Muł jest mutantem. Jego mutacja jest tego rodzaju, że nie można go pokonać…

— A to dlaczego? Co to za mutacja? — rzekł

Toran z wisielczym humorem. — Myślę, że nam to zaraz powiesz, co?

— Owszem, powiem. To, że się o tym dowiecie, w niczym mu nie zaszkodzi. Widzicie, on potrafi dostosowywać ludzkie emocje do własnych potrzeb. Wydaje się, że to drobiazg, ale nie ma na to siły.

— Dostosowywać emocje do własnych potrzeb? — wtrąciła się Bayta. Zmarszczyła czoło — możesz to wyjaśnić? Niezupełnie rozumiem.

— To znaczy, że dla niego to fraszka natchnąć wybitnego generała niezłomną wiarą w zwycięstwo Muła i wywołać w nim uczucie bezgranicznej wierności. On kontroluje emocje swoich generałów. Nie mogą go zdradzić, nie mogą nawet osłabnąć w swej wierności… Co więcej, ta kontrola działa stale. Jego najgroźniejsi wrogowie stali się jego najwierniejszymi oficerami. Władca Kalgana poddał swoją planetę i został wicekrólem Fundacji.

— A ty — dodała zgryźliwie Bayta — zdradziłeś swoją sprawę i zostałeś jego specjalnym wysłannikiem na Trantora. Rozumiem!

— Jeszcze nie skończyłem. Ten dar Muła działa także w przeciwnym kierunku i to nawet skuteczniej. Przecież zwątpienie to emocja! W krytycznej chwili najważniejsi ludzie na Fundacji i najważniejsi ludzie na Haven zwątpili. Oba światy poddały się prawie bez walki.

— Chcesz powiedzieć — rzekła Bayta w napięciu — że to uczucie, które mnie opanowało w Krypcie Czasu, było dziełem Muła?

— Moje też. I wszystkich. Jak było pod koniec na Haven?

Bayta odwróciła się.

Pułkownik Pritcher mówił dalej z przekonaniem.

— Na pojedyncze osoby działa tak samo jak na całe światy. Czy można się przeciwstawić sile, która zmusza cię do tego, żebyś poddał się z własnej woli, która robi z ciebie wiernego sługę, kiedy jej się tak podoba?

— Skąd mogę wiedzieć, że to prawda? — spytał z namysłem Toran.

— A czy możesz inaczej wytłumaczyć upadek Fundacji i Haven? Możesz inaczej wytłumaczyć moją przemianę? Pomyśl tylko, człowieku, co ty, ja, czy cała Galaktyka zdziałaliśmy przez ten cały czas przeciw Mułowi? Podaj chociaż jeden przykład!

Toran przyjął wyzwanie.

— Na Galaktykę, podam! — I z dziką satysfakcją w głosie krzyknął: — Mówisz, że ten twój cudowny Muł ma kontakty z

Neotrantorem i że mieli nas tam zatrzymać, tak? Te kontakty są guzik warte! Zabiliśmy następcę tronu, a tego drugiego zostawiliśmy jako jęczącego idiotę. Mułowi nie udało się nas tam zatrzymać i w tym wypadku jego plany zostały pokrzyżowane.

— Ależ skąd, nic podobnego. To nie byli nasi ludzie. Następca tronu był przepitą miernotą. Ten drugi, Commason, jest niewiarygodnie głupi. Liczył się na Neotrantorze, ale to nie zmienia faktu, że był rozpustnym i do tego nieudolnym łajdakiem. Naprawdę nie mieliśmy z nimi nic wspólnego. Oni byli w pewnym sensie parawanem.

To właśnie oni zatrzymali, czy raczej próbowali nas zatrzymać.

— I znowu się mylisz. Commason miał prywatnego niewolnika — człowieka nazwiskiem Inchney. Zatrzymanie was to był jego pomysł. Jest stary, ale. na razie przydaje się nam. No i widzisz, jego nie zabiliście.

Bayta napadła na niego. Nawet nie tknęła swej herbaty.

— Ale, jak sam mówisz, twoje uczucia zostały zmienione. Zostałeś natchniony wiarą w Muła, nienaturalną, chorą wiarą. Jaką wartość mają twoje sądy? Straciłeś zdolność obiektywnego widzenia.

— Mylisz się — pułkownik wolno pokręcił głową. — Zostały zmienione tylko moje uczucia. Umysł mam taki sam jak zawsze. Moje uzależnione od woli Muła uczucia mogą w pewien sposób wpływać na kierunek myślenia, ale nie mogą zmusić umysłu, żeby działał tak a nie inaczej. I teraz, kiedy uwolniono mnie od poprzednich emocji, pewne rzeczy widzę jaśniej.

Widzę, że program Muła jest inteligentny i wartościowy. Od czasu jak zostałem… przemieniony prześledziłem całą jego dotychczasową karierę. Zaczął siedem lat temu, od pozyskania sobie pewnego kondotiera i jego bandy. Przy jego pomocy i z pomocą swoich niezwykłych zdolności zdobył planetę. Przy pomocy armii tej planety i dzięki swym zdolnościom rozszerzał swoje posiadanie, aż w końcu mógł się zabrać za władcę Kalgana. Każdy krok był logiczną konsekwencją poprzedniego. Mając Kalgan w kieszeni, zdobył pierwszorzędną flotę, a z nią i ze swoimi zdolnościami mógł zaatakować Fundację.

Fundacja jest kluczem do Galaktyki. Jest jej najbardziej uprzemysłowionym rejonem i teraz, mając w swych rękach atomowe technologie Fundacji, Muł jest faktycznym panem Galaktyki. Przy swych niezwykłych zdolnościach i dysponując tymi technologiami Muł potrafi zmusić resztki Imperium do uznania jego władzy i w końcu, po śmierci obecnego imperatora, któremu już nie zostało wiele lat życia, może sam zostać imperatorem. Wówczas będzie nie tylko faktycznym, ale i tytularnym władcą Galaktyki. Czy wtedy jakiś świat zdoła mu się oprzeć?

W ciągu ostatnich siedmiu lat ustanowił nowe Imperium… Innymi słowy, w czasie siedmiu lat dokona tego, czego cała psychohistoria Seldona nie jest w stanie dokonać w okresie krótszym niż siedem wieków. W końcu w całej Galaktyce zapanuje spokój i porządek.

A przy tym nie jesteście w stanie go powstrzymać, tak jak nie jesteście w stanie gołymi rękami wstrzymać biegu planety.

Pritcher skończył i zapanowała cisza. Herbata dawno wystygła. Pułkownik wychylił swoją filiżankę, napełnił ją ponownie i pił małymi łykami. Toran obgryzał ze złości paznokcie. Twarz Bayty była blada, a jej wzrok zimny i nieobecny. Po długiej chwili odezwała się.

— Nie przekonałeś nas. Jeśli Muł chce, żebyśmy się do niego przekonali, niech tu sam przyleci i zmieni nasze uczucia. Przypuszczam,, że walczyłeś z nim do ostatniej chwili, co?

— Tak — odparł poważnie pułkownik Pritcher. — r No więc nam też zostaw ten przywilej. Pułkownik Pritcher podniósł się. Rzekł z miną

wskazującą, że powziął nieodwołalne postanowienie:

— Wobec tego opuszczam was. Jak już powiedziałem, moje obecne zadanie nie ma nic wspólnego z waszymi osobami. Dlatego myślę, że nie muszę donosić o miejscu waszego pobytu. To nie jest zbyt wielka przysługa z mojej strony. Jeśli Muł będzie chciał was zatrzymać, to niewątpliwie wyznaczy do tego zadania innych ludzi i zostaniecie zatrzymani. Ale ja — możecie mi wierzyć lub nie — nie przyczynię się do tego i zrobię tylko to, co mi kazano.

— Dziękuję — powiedziała cicho Bayta.

— Aha, a gdzie jest Magnifico? Wyjdź, Magnifico, nie zrobię ci nic złego…

— A co masz do niego? — spytała Bayta z nagłym ożywieniem.

— Nic. W rozkazie, który otrzymałem, o nim też nie ma ani słowa. Słyszałem, że jest poszukiwany, ale Muł znajdzie go, kiedy nadejdzie odpowiedni moment. Ja nic nie powiem. Podacie mi ręce na pożegnanie?

Bayta potrząsnęła przecząco głową. Toran spojrzał na niego z pogardą.

Masywna postać pułkownika jakby się nieco zgarbiła. Podszedł do drzwi, ale obrócił się jeszcze i powiedział:

— Jeszcze jedno na koniec. Niech się wam nie wydaje, że nie wiem, dlaczego się tak upieracie przy swoim. Wiadomo, że poszukujecie Drugiej Fundacji. W odpowiednim czasie Muł podejmie właściwe kroki. Nic wam nie pomoże… Ale znaliśmy się w innych czasach… być może dlatego coś mnie pchało, żeby z wami porozmawiać. W każdym razie próbowałem wam pomóc, póki jeszcze nie było za późno. Żegnam.

Zasalutował i wyszedł.

Bayta odwróciła się do milczącego Torana i wyszeptała:

— Wiedzą nawet o Drugiej Fundacji.

W kącie biblioteki, w wąskim strumieniu światła pośród otaczającego go mroku, siedział przykucnięty, nieświadomy całego zdarzenia Ebling Mis i mruczał triumfalnie pod nosem.

Śmierć psychologa

Od tej pory Eblingowi Misowi pozostały już tylko dwa tygodnie życia.

W czasie tych dwóch tygodni trzykrotnie odwiedziła go Bayta. Pierwszy raz przyszła do niego tej nocy, kiedy widzieli się z pułkownikiem Pritcherem. Drugi raz tydzień potem. Trzeci raz, gdy minął kolejny tydzień. Był to dzień, w którym Misa dosięgła śmierć.

Najpierw była to noc po spotkaniu z pułkownikiem Pritcherem, noc, której pierwszą godzinę spędziła wytrącona z równowagi para na niewesołych, pełnych niepewności rozmowach.

— Torie, powiedzmy Eblingowi — rzekła Bayta.

— Myślisz, że on może coś pomóc? — odparł posępnie Toran.

— Jest nas tylko dwoje. Musimy się z kimś podzielić odpowiedzialnością. Może on potrafi nam pomóc.

— On się zmienił — rzekł Toran. — Schudł. Zrobił się taki zwiewny, kruchy — Toran kreślił ręką jakieś kształty w powietrzu, starając się zilustrować gestami swe słowa. — Czasami wydaje mi się, że on nam nigdy nie będzie mógł nic pomóc. Czasami wydaje mi się, że nic nam już nie pomoże.

— Nie — Bayta z trudem zapanowała nad swym głosem — Torie, nie mów tak! Kiedy tak mówisz, wydaje mi się, że Muł już się do nas dobiera. Powiedzmy Eblingowi, Torie… i to zaraz!

Ebling Mis podniósł głowę znad długiego biurka i zamrugał powiekami. Jego rzadkie włosy były zmierzwione. Mlaskał wargami, jak wyrwany ze snu.

— Hę? — rzeki. — Ktoś mnie szuka? Bayta przykucnęła przed nim.

— Obudziliśmy cię? Mamy wyjść?

— Wyjść? Kto to? Bayta? Nie, nie, zostańcie. Nie ma tam krzeseł? Widziałem je… — niezdecydowanie wskazywał gdzieś palcem.

Toran wyciągnął dwa krzesła. Bayta usiadła i ujęła wychudłą rękę psychologa w swoje dłonie.

— Możemy z tobą porozmawiać, profesorze? — normalnie nie zwracała się do niego w ten sposób.

— Coś nie w porządku? — W jego nieobecnych oczach zapaliła się drobna iskierka zainteresowania, a obwisłe policzki odrobinę się zarumieniły. — Coś nie w porządku?

— Był tu kapitan Pritcher — rzekła Bayta. — Pozwól, że ja będę mówiła, Torie. Pamiętasz kapitana Pritchera, profesorze?

— Tak… tak… — skubał palcami wargi, a potem zostawił je w spokoju. — Taki potężny chłop, demokrata.

— Tak, to właśnie on. Odkrył na czym polega mutacja Muła. Był

tu, profesorze, i powiedział nam.

— Ależ to żadna nowina. Mutacja Muła jest już rozszyfrowana. Nie mówiłem wam o tym? — spytał ze szczerym zdziwieniem. — Jak to się stało, że zapomniałem?

— O czym? — wtrącił się szybko Toran.

— O mutacji Muła, oczywiście. On panuje nad uczuciami. Kontrola uczuć! Nie mówiłem wam o tym? Ciekawe, dlaczego o tym zapomniałem — przygryzł dolną wargę i zamyślił się.

Potem ożywił się i otworzył szeroko oczy, jakby jego ospały mózg rozbudził się i myśli zaczęły podążać dobrze znanym torem. Mówił jak w transie, nie patrząc na nich, ale gdzieś w przestrzeń między nimi.

— To naprawdę takie proste. Nie trzeba posiadać żadnej specjalistycznej wiedzy, żeby na to wpaść. Oczywiście w matematyce psychohistorii daje się to rozwiązać od razu za pomocą równania trzeciego stopnia, uwzględniającego nie więcej niż… Mniejsza o to. Można to z grubsza przełożyć na język naturalny, czego nie można powiedzieć o innych zjawiskach psychohistorycznych.

Zastanówcie się sami… Co może popsuć tak starannie obmyślany przez Seldona plan historii, ha? — spoglądał z lekkim uśmiechem to na Baytę, to na Torana. — Jakie były pierwotne założenia Seldona? Po pierwsze, że w ciągu najbliższego tysiąca lat w społeczności ludzkiej nie zajdą żadne istotne zmiany.

Przypuśćmy, na przykład, że w znanej w Galaktyce technologii nastąpiłby jakiś przewrót, taki jak odkrycie nowych zasad wykorzystania energii czy udoskonalenie metod neurobiologii elektronicznej. Zmiany społeczne doprowadziłyby do tego, że pierwotne równania Seldona okazałyby się anachroniczne. Ale nic takiego nie miało miejsca, prawda?

Albo załóżmy, że gdzieś poza Fundacją wynaleziono by jakiś nowy rodzaj broni, wobec której cały potencjał militarny Fundacji okazałby się nieskuteczny. Aczkolwiek w tym przypadku nie można już mieć takiej pewności, jak w rozważanym poprzednio, to można przyjąć, że skończyłoby się to fatalnym zboczeniem z wytkniętej drogi. Ale i do tego nie doszło. Depresor pola jądrowego stosowany przez Muła nie był doskonałą bronią i można było zneutralizować jego działanie. A to była jedyna nowość w dziedzinie techniki wojskowej.

Ale było też drugie założenie, bardziej subtelne. Seldon zakładał, że reakcje organizmu ludzkiego na bodźce zewnętrzne pozostaną niezmienne. Pierwsze założenie okazało się prawdziwe, więc drugie musiało być niesłuszne. Jakiś czynnik musiał zniekształcać i zmieniać emocjonalne reakcje ludzi, bo w przeciwnym razie plan Seldona nie mógłby się załamać i nie mogłaby upaść Fundacja. A co mogło być tym czynnikiem, jeśli nie Muł? Zgadzacie się? Dostrzegacie jakąś niespójność albo lukę w tym rozumowaniu?

Bayta pogładziła go delikatnie po dłoni.

— Nie, Ebling.

Mis cieszył się jak dziecko.

— Przyszło mi to tak łatwo! Cała reszta też. Mówię wam — czasem sam się zastanawiam, co się ze mną dzieje. Wydaje mi się, że pamiętam czas, kiedy tak wiele było dla mnie zagadką, a teraz te rzeczy jawią mi się tak jasno. Przestały istnieć jakiekolwiek problemy. Jeśli zabieram się za coś, co kiedyś wydawałoby mi się trudnym problemem, to w jakiś sposób rozumiem wszystko wewnętrznie i dostrzegam rozwiązanie. A moje domysły i teorie zdają się zawsze znajdować potwierdzenie w faktach. Coś mnie pcha… wciąż do przodu… tak, że nie mogę się zatrzymać… nie odczuwam ani potrzeby snu, ani głodu… ale wciąż prę do przodu… wciąż do przodu…

Jego glos przeszedł w szept. Drżącą, wysuszoną dłonią, pokrytą bladoniebieską siatką żył, potarł czoło. Z oczu wyzierało szaleństwo, ale zaraz znikło.

Powiedział już spokojniej.

— A więc nie mówiłem wam wcześniej o nienormalnych zdolnościach Muła, tak? Ale przecież… czy nie mówiliście, że wiecie o nich?

— Powiedział nam o tym kapitan Pritcher, Ebling — rzekła Bayta. — Pamiętasz?

— On wam powiedział? — spytał Mis z ledwie wyczuwalną urazą w głosie. — Ale jak on na to wpadł?

— Muł go przestroił. Teraz jest jego człowiekiem. I pułkownikiem. Przybył tu, aby nam poradzić, żebyśmy się poddali i powiedział nam to samo, co ty.

— A więc Muł wie, że tu jesteśmy? Muszę się spieszyć… Gdzie jest Magnifico? Nie ma go z wami?

— Magnifico śpi — odparł niecierpliwie Toran. — Jest już po północy, rozumiesz.

— Naprawdę? Wobec tego… Czy ja spałem, kiedy tu przyszliście?

— Tak — odparła zdecydowanym tonem Bayta — i na razie nie wrócisz już do pracy. Idziesz do łóżka. No, Torie, pomóż mi. I przestań mnie odpychać, Ebling, bo i tak masz szczęście, że nie zaciągnęłam cię najpierw pod prysznic. Zdejmij mu buty, Torie. Przyjdziesz tu jutro i wyciągniesz go na powietrze, zanim zupełnie zniknie. Popatrz na siebie, Ebling, zaczynasz się pokrywać pajęczyną. Nie jesteś głodny?

Ebling Mis potrząsnął przecząco głową i popatrzył na nich ze swej. pryczy zły i zmieszany.

— Chcę, żebyście przysłali tu jutro Magnifica — mruknął.

Bayta aż po szyję otuliła go prześcieradłem.

— Jutro będziesz miał tu mnie, z upranym ubraniem. Weźmiesz

porządną kąpiel, a potem wyjdziesz na powietrze, przejdziesz się na farmę i trochę pobędziesz na słońcu.

— Nic z tego — rzekł słabym głosem Mis. — Słyszysz? Jestem za bardzo zajęty.

Jego rzadkie włosy rozpostarte na poduszce wokół głowy wyglądały jak srebrne frędzle. Rzekł konfidencjonalnym szeptem:

— Chcecie tej Drugiej Fundacji, prawda? Toran odwrócił się momentalnie i siadł na pryczy obok Misa.

— Co wiesz o Drugiej Fundacji, Ebling? Psycholog wyjął dłoń spod prześcieradła i zmęczonymi palcami schwycił Torana za rękaw.

— Decyzję o założeniu obu Fundacji podjęto na wielkim Zjeździe Psychologów, któremu przewodniczył Hari Seldon. Toran, udało mi się dotrzeć do opublikowanego protokołu tego zjazdu. W sumie dwadzieścia pięć grubych kaset filmowych. Przejrzałem już wiele sprawozdań.

— No i?

— Cóż, wyobraź sobie, że jeśli się wie cokolwiek o psychohistorii, to na ich podstawie bardzo łatwo ustalić położenie Pierwszej Fundacji. Często się o niej mówi. Wystarczy rozumieć równania. Nikt jednak nie wspomina o Drugiej Fundacji. Nie znalazłem nigdzie żadnej wzmianki.

Toran zmarszczył brwi.

— Nie istnieje?

— Oczywiście, że istnieje! — krzyknął Mis ze złością. — Kto mówi, że nie istnieje? Ale mało się o niej mówi. Jej znaczenie, w ogóle wszystko, co się z nią wiąże, jest lepiej ukryte, bardziej utajnione. Nie rozumiesz? Z tych dwu, ona jest ważniejsza. To jest ta ważna Fundacja, ta, która się liczy! A ja mam zapis zebrania. Muł jeszcze nie wygrał…

Bayta cicho zgasiła światło.

— Śpij — rzekła.

Toran i Bayta w milczeniu poszli na górę, do swoich pomieszczeń.

Nazajutrz Ebling Mis wykąpał się i ubrał, i po raz ostatni w życiu ujrzał słońce Trantora i poczuł powiew wiatru. Pod koniec dnia zaszył się znowu w zaciszu biblioteki, skąd nie miał już nigdy wyjść.

Przez cały następny tydzień życie toczyło się ustalonym torem. Słońce Neotrantora było jasną, spokojną gwiazdą widoczną na nocnym niebie nad Trantorem. Mieszkańcy farmy zajęci byli wiosennym siewem. Opustoszały teren uniwersytetu pogrążony był w ciszy. Galaktyka wydawała się pusta. Wszystko było tak, jakby Muł nigdy nie istniał.

O tym właśnie myślała Bayta patrząc jak Toran starannie zapala cygaro i spogląda na błękitne niebo przeświecające między mrowiem wieżowców zamykających horyzont.

— Ładny dzień — powiedział Toran.

— Tak, ładny. Zrobiłeś listę wszystkiego, co potrzeba, Torie?

— Oczywiście. Pół funta masła, tuzin jaj, fasolka szparagowa — mam tu wszystko zapisane, Bay. Kupię, co trzeba.

— Dobrze. Tylko uważaj, żeby ci sprzedali warzywa z ostatnich zbiorów, a nie jakieś zabytki muzealne. Aha, nie widziałeś gdzieś Magnifica?

— Nie widziałem go od śniadania. Jest na pewno na dole z Eblingiem i ogląda jakiś film.

— No, dobrze. Szybko wracaj, bo potrzebuję jajek do obiadu.

Toran uśmiechnął się i wyszedł, machnąwszy ręką na pożegnanie.

Bayta odprowadziła go wzrokiem. Kiedy zniknął w gąszczu metalowych konstrukcji, odwróciła się i poszła w stronę kuchni. Przed drzwiami zawahała się, wolno rozejrzała się dokoła i skręciła w stronę kolumnady prowadzącej do windy do podziemi.

Ebling Mis siedział nieruchomo, z głową pochyloną nad okularami projektora. Obok zastygłego w bezruchu badacza siedział wciśnięty w krzesło Magnifico — kłębek kościstych członków, z nosem podkreślającym chudość oblicza i przenikliwym, uważnym spojrzeniem.

Bayta rzekła miękko:

— Magnifico…

Magnifico powstał niezdarnie z krzesła.

— Tak, pani? — szepnął żarliwie.

— Magnifico — powiedziała Bayta — Toran poszedł na farmę i szybko nie wróci. Czy byłbyś tak dobry i zaniósł mu kartkę ode mnie?

— Z przyjemnością, pani. Jestem na twoje rozkazy, choć z mych skromnych usług niewiele możesz mieć pożytku.

Została sama z Eblingiem Misem, który nawet się nie poruszył. Położyła stanowczym ruchem dłoń na jego ramieniu.

— Ebling…

Psycholog drgnął i krzyknął ze złością:

— O co chodzi?

Zmrużył oczy i spojrzał na nią.

To ty, Bayta? Gdzie jest Magnifico?

— Wysiałam go stąd. Chcę przez chwilę być z tobą sama. Chcę z tobą pomówić, Ebling — rzekła dobitnie akcentując słowa.

Psycholog zrobił ruch, jakby chciał wrócić do swego projektora, ale Bayta mocno trzymała go za ramię. Pod rękawem wyraźnie wyczuwała kość. Od chwili przylotu na Trantora ciało Eblinga Misa wydawało się topnieć jak śnieg. Twarz mu wychudła i pożółkła. Pokrywał ją kilkudniowy zarost. Przygarbił się, co było widać nawet gdy siedział.

— Magnifico nie sprawia ci kłopotu, Ebling? Siedzi tu dzień i noc.

— Nie, nie! Skądże znowu? Dlaczego miałby mi sprawiać kłopot?

Siedzi cicho i nigdy mi nie przeszkadza. Czasem przynosi mi i odnosi filmy, wydaje się odgadywać moje myśli. Niech tu siedzi.

— Dobrze, Ebling… ale czy on cię nie zastanawia? Czy słyszysz mnie? Nic cię w nim nie zastanawia?

Przystawiła energicznie krzesło do jego krzesła i wpatrywała się w jego twarz tak intensywnie, jakby chciała wydobyć odpowiedź z jego oczu. Ebling Mis potrząsnął głową.

— Nie. O co ci chodzi?

— O to, że i pułkownik Pritcher, i ty utrzymujecie, że Muł potrafi manipulować ludzkimi uczuciami. Jesteś pewien, że to prawda? Czy Magnifico nie przeczy tej teorii?

Nie usłyszała żadnej odpowiedzi. Z trudem powstrzymała się, aby nie potrząsnąć psychologiem.

— Co się z tobą dzieje, Ebling? Magnifico był błaznem Muła. Dlaczego Muł nie wzbudził w nim wiary i miłości do siebie? Dlaczego on jeden jedyny ze wszystkich, którzy zetknęli się z Mułem, tak go nienawidzi?

— Ależ… ależ Muł ustawił jego uczucia. Oczywiście, Bay! — W miarę jak mówił, wydawał się być coraz bardziej pewny swoich słów. — Myślisz, że Muł traktuje swego błazna tak samo jak swoich generałów? Od nich potrzebuje wiary i wierności, ale od błazna tylko lęku. Czy nigdy nie zauważyłaś, że ten ustawiczny stan lęku, w którym żyje Magnifico, jest patologiczny? Myślisz, że to naturalne i normalne, że istota ludzka jest cały czas tak przerażona jak on? Taki lęk staje się komiczny. Taki prawdopodobnie wydawał się Mułowi, a przy okazji był mu na rękę, gdyż dzięki temu nie zorientowaliśmy się wcześniej w czym mógłby nam pomóc Magnifico.

To znaczy, że informacje Magnifica o Mule były nieprawdziwe? — spytała Bayta.

— Były mylące. Były zabarwione patologicznym lękiem. Muł nie jest, jak myśli Magnifico, żadnym olbrzymem. Bardziej prawdopodobne jest to, że poza swoimi niezwykłymi zdolnościami psychicznymi jest zwyczajnym człowiekiem. Ale jeśli podobało mu się być supermanem w oczach biednego Magnifica… — psycholog wzruszył ramionami. — W każdym razie informacje Magnifica nie są już ważne.

— A co jest wobec tego ważne?

Ale Mis, zamiast odpowiedzi, strząsnął jej rękę i wrócił do projektora.

— Co jest wobec tego ważne? — powtórzyła. — Druga Fundacja? Psycholog zerknął na nią.

— Czyżbym ci już coś o tym mówił? Nie przypominam sobie tego. Jeszcze nie jestem gotów. Co ci powiedziałem?

— Nic! — odparła Bayta gwałtownie. — Na Galaktykę, nic mi nie

powiedziałeś, ale chciałabym, żebyś to wreszcie zrobił, bo jestem już śmiertelnie zmęczona. Kiedy to się skończy?

Ebling Mis popatrzył na nią uważnie i powiedział ze smutkiem:

— No, moja… moja kochana, nie chciałem cię urazić. Czasami zapominam… kto jest moim przyjacielem. Czasami wydaje mi się, że nie wolno mi mówić o tym wszystkim. Trzeba utrzymać to w tajemnicy — przed Mułem, nie przed tobą, moja droga — pogładził ją przyjaźnie po ramieniu.

— Co z tą Drugą Fundacją? — spytała. Głos Misa przeszedł od razu w cichy szept.

— Wiesz jak starannie Seldon ukrył wszystkie ślady? Sprawozdania ze Zjazdu Psychologów nic by mi nie dały, gdybym, zaledwie miesiąc temu, nie doznał dziwnego olśnienia. Nawet teraz wydaje mi się, że to zbyt niepewne. Referaty przedstawione na zjeździe często nie mają ze sobą związku, a zawsze są niejasne. Wiele razy zastanawiałem się czy sami uczestnicy zjazdu wiedzieli dokładnie, o co chodzi Seldonowi. Czasem myślę, że ten zjazd był dla Seldona tylko olbrzymią fasadą, za którą on sam, w pojedynkę, wzniósł gmach…

— Obu Fundacji? — wtrąciła niecierpliwie Bayta.

— Drugiej Fundacji! Z naszą Fundacją sprawa była prosta. Ale o Drugiej Fundacji wiadomo tylko jak się nazywała. Wymienia się jej nazwę, ale jeśli są tam jakieś konkretne informacje o niej, to są one głęboko ukryte we wzorach matematycznych. Jest wiele rzeczy, których nadal ni w ząb nie rozumiem, ale od siedmiu dni te okruchy informacji, które udało mi się zebrać, zaczynają się układać w pewien, co prawda mglisty, obraz.

Fundacja Numer Jeden była światem naukowców zajmujących się materią. Skoncentrowano tam ginącą naukę Galaktyki w takich warunkach, żeby mogła ożyć na nowo. Nie było tam żadnego psychologa. Ten szczególny wyjątek musiał służyć jakiemuś celowi. Zwykle tłumaczono to tym, że psychohistoria Seldona działa najlepiej tam, gdzie poszczególne elementy tego procesu, jednostki ludzkie, nie wiedzą nic o tym, co ma nastąpić i dlatego we wszystkich sytuacjach reagują naturalnie. Czy mówię jasno… Tak, profesorze.

— Wobec tego słuchaj uważnie. Fundacja Numer Dwa była światem naukowców zajmujących się psychiką. Była lustrzanym odbiciem naszego świata. Tam królowała psychologia, nie nauki fizykalne. Rozumiesz? — zakończył triumfalnie.

— Nie.

— No, pomyśl, Bayta. Rusz głową. Hari Seldon dobrze wiedział, że jego psychohistoria jest w stanie przewidzieć tylko prawdopodobne sytuacje, że nigdy nie daje całkowitej pewności. Zawsze był pewien margines błędu i w miarę upływu czasu ten margines powiększał się w

postępie geometrycznym. Naturalnie, Seldon starał się przed tym zabezpieczyć najlepiej jak tylko mógł. Nasza Fundacja była światem kwitnących nauk ścisłych. Mogła zwyciężać armie i bronie. Sile mogła przeciwstawić siłę. Ale w przypadku agresji psychicznej takiego mutanta jak Muł?

— To byłoby zadanie dla psychologów z Drugiej Fundacji! — Bayta czuła rosnące podniecenie.

— Tak, tak, tak! Oczywiście!

— Ale dotąd nic nie zrobili w tej sprawie.

— Skąd wiesz, że nie? Bayta zastanowiła się.

— Nie wiem — odparła. — Masz jakiś dowód, że coś robią?

— Nie. Jest wiele czynników, o których nic nie wiem. Druga Fundacja nie mogła powstać od razu w pełni rozkwitu, tak jak i my. Rozwijaliśmy się i rośliśmy w siłę powoli. Z nimi musiało być tak samo. Gwiazdy tylko wiedzą, jak silni są teraz. Czy mają dość sił, aby walczyć z Mułem? A po pierwsze — czy w ogóle są świadomi tego niebezpieczeństwa? Czy mają zdolnych przywódców?

— Ale jeśli rozwijają się zgodnie z planem Seldona, to muszą pokonać Muła.

— Ba — rzekł Ebling Mis z zadumą, marszcząc chudą twarz — czy tak jest naprawdę? Druga Fundacja była o wiele trudniejszym zadaniem niż Pierwsza. Jest nieporównanie bardziej skomplikowana, skutkiem czego prawdopodobieństwo błędu jest tu również o wiele większe. A jeśli Druga Fundacja nie zdoła pokonać Muła, to źle — to bardzo źle. Być może będzie to koniec rodzaju ludzkiego, przynajmniej takiego, jaki znamy.

— Nie.

— Tak. Gdyby potomkowie Muła odziedziczyli jego zdolności psychiczne… Rozumiesz? Homo sapiens nie mógłby z nimi konkurować. Byłaby to nowa rasa panująca — nowa arystokracja, a homo sapiens zostałby, jako rasa niższa, zdegradowany do roli niewolnika. Nie mam racji?

— Masz.

— I nawet gdyby, dzięki jakiemuś przypadkowi, Mul nie założył dynastii, to na pewno założyłby nowe, zniekształcone imperium, które zespalałaby tylko jego osobista władza. Imperium to upadłoby wraz z jego śmiercią. Galaktyka znalazłaby się w tym samym punkcie, w którym się znajdowała przed jego pojawieniem się, z tą tylko różnicą, że nie byłoby już Fundacji, które mogłyby stać się zalążkiem prawdziwego, zdrowego imperium. Byłoby to równoznaczne z tysiącami lat barbarzyństwa. I nie byłoby widać końca.

— Co możemy zrobić? Możemy ostrzec Drugą Fundację?

— Musimy, bo w przeciwnym razie, wskutek swojej niewiedzy o tym, co się dzieje, mogą zginąć. Nie możemy tego ryzykować. Ale nie

ma sposobu, żeby ich ostrzec.

— Nie ma sposobu?

— Nie wiem, gdzie się znajdują. Są „na drugim końcu Galaktyki", ale to wszystko, co wiemy, a takich światów są miliony.

— No, Ebling, a tu nic o tym nie ma? — wskazała nieokreślonym ruchem na filmy pokrywające stół.

— Nie. Nic o tym, gdzie mogę ją znaleźć — na razie. Ta tajemnica musi coś oznaczać. Musi być jakiś powód… — w jego oczach znowu pojawił się wyraz zaintrygowania. — Chciałbym, żebyś już poszła. Straciłem już dosyć czasu, którego i tak jest coraz mniej — coraz mniej.

Skrzywiony i rozdrażniony zabrał się do swej roboty. Usłyszała zbliżające się miękkie kroki Magnifica.

Twój mąż jest już w domu, pani.

Ebling Mis nawet nie spojrzał na błazna. Znowu pochłonięty był odczytywaniem filmów.

Tego wieczoru Toran, wysłuchawszy Bayty, spytał:

— Więc naprawdę myślisz, Bay, że on ma rację? Nie myślisz, że on jest… — zawahał się.

— On ma rację. Tonę. Jest chory, wiem o tym. Ta zmiana w jego wyglądzie i zachowaniu, spadek wagi, sposób, w jaki mówi — to wszystko świadczy, że jest chory. Ale posłuchaj go tylko, kiedy mówi na temat Mulą czy Drugiej Fundacji, czy w ogóle czegokolwiek związanego z tym, nad czym pracuje… Jego wywód jest tak jasny i przejrzysty, jak niebo w przestrzeni. On wie o czym mówi. Wierzę mu.

— A więc jest jakaś nadzieja — było to raczej pytanie niż stwierdzenie.

— Ja… ja sama nie wiem. Może tak. Może nie. Od tej chwili noszę przy sobie miotacz — przy tych słowach w jej ręku pojawiła się broń o polerowanej lufie. — Tak na wszelki wypadek, Torie, na wszelki wypadek.

— Na wypadek czego?

Bayta zaśmiała się nieco histerycznie.

— Mniejsza o to! Może ja również, jak Ebling Mis, jestem trochę szalona.

W tym czasie Ebling Mis miał przed sobą już tylko siedem dni życia. Mijały szybko i niepostrzeżenie.

Toranowi wydawało się, że wszystkich ogarnęło odrętwienie. Ciepłe dni i panująca wokół głucha cisza sprawiły, że on sam zapadł w coś w rodzaju letargu. Wydawało mu się, że wszystko, co żyje, utraciło zdolność działania i pogrążyło się w bezdennym morzu hibernacji.

Mis był skrytym stworzeniem, którego podziemna praca nie dawała żadnych widocznych wyników i. o której w związku z tym nie było nic wiadomo. Zabarykadował się w bibliotece. Ani Toran, ani

Bayta nie mieli do niego dostępu. Tylko charakterystyczne dla roli pośrednika usługi, które spełniał Magnifico świadczyły, że Mis jeszcze żyje. Magnifico, który zrobił się cichy i zamyślony, nosił na palcach tace z jedzeniem i wytrwale, z czujną gotowością asystował Misowi.

Bayta stawała się powoli cieniem dawnej Bayty. Jej poprzedni wigor znikł bez śladu, straciła dawną pewność siebie i zaradność. Ona również szukała samotności, a pewnego dnia Toran naszedł ją, jak bawiła się miotaczem. Szybko go odłożyła i starała się uśmiechnąć.

— Co ty z tym robisz, Bay? Trzymam, go. Czy to przestępstwo?

— Jeszcze zdmuchniesz tę swoją durną głowę!

— No to zdmuchnę. Niewielka strata!

Życie małżeńskie nauczyło Torana, że nie ma sensu dyskutować z kobietą w złym nastroju. Wzruszył ramionami i odszedł.

Ostatniego dnia Magnifico wpadł bez tchu do pomieszczenia, w którym siedzieli Toran i Bayta. Złapał ich kurczowo za ręce.

— Wzywa was profesor. Źle z nim. Rzeczywiście, było z nim źle. Leżał w łóżku i patrzył na nich nienaturalnie rozszerzonymi i nienaturalnie jasnymi oczami. Był brudny i zmieniony nie do poznania.

— Ebling! — krzyknęła Bayta.

— Pozwólcie mi mówić — wycharczał psycholog, unosząc się z trudem na łokciu. — Pozwólcie mi mówić. Ze mną koniec — dalszą pracę zostawiam wam. Nie mam żadnych notatek, zniszczyłem wszystkie świstki z obliczeniami. Nie może się o tym dowiedzieć nikt inny. Musicie wszystko mieć w głowie.

Magnifico! — powiedziała Bayta z szorstką bezpośredniością. — Idź na górę.

Błazen podniósł się z ociąganiem i zrobił krok do tyłu, nie odwracając się od łóżka. Jego wzrok był cały czas utkwiony w Misa. Mis uczynił słaby ruch ręką.

— On się nie liczy, pozwólcie mu zostać. Zostań. Magnifico.

Błazen szybko usiadł. Bayta gapiła się na podłogę. Powoli, bardzo powoli przygryzła wargę.

Jestem przekonany — rzekł ochrypłym szeptem Mis — że Druga Fundacja jest wstanie wygrać. jeśli nie zostanie przedwcześnie zdobyta przez Muła. Utrzymywała swoje istnienie w tajemnicy, tę tajemnicę trzeba zachować, bo mają w tym pewien cel. Musicie się do nich udać: wasze informacje są najwyższej wagi… mogą wszystko zmienić. Słyszycie mnie?

— Tak, tak! — krzyknął Toran głosem bliskim rozpaczy. — Powiedz nam, jak się tam dostać, Ebling. Gdzie to jest?

— Mogę wam to powiedzieć — zabrzmiał słaby głos psychologa.

Nie zdążył.

Bayta z kredowo białą twarzą podniosła miotacz i strzeliła.

Podziemia odbiły echo wystrzału. Od pasa w górę nie było już Misa, za to w ścianie za nim ziała dziura o poszarpanych brzegach. Ze zdrętwiałych palców Bayty wysunął się miotacz i upadł na podłogę.

Koniec poszukiwań

Nie padło ani jedno słowo. Huk wystrzału przetoczył się echem przez położone wyżej pomieszczenia, spłynął w dół jak ochrypły szept i zamarł. Przedtem zdążył jeszcze zagłuszyć ostry brzęk padającego na posadzkę miotacza Bayty, stłumić przenikliwy krzyk Magnifica i wchłonąć nieartykułowany ryk Torana.

Zapadła męcząca cisza.

Bayta pochyliła głowę. Zabłysła w powietrzu łza, która stoczyła się z jej policzka. Bayta nigdy wcześniej nie płakała.

Napięte mięśnie Torana niemal trzeszczały, ale nie rozluźnił ich. Wydawało mu się, że nie zdoła już nigdy rozewrzeć zaciśniętych szczęk. Twarz Magnifica wyglądała jak trupia maska.

W końcu spomiędzy zaciśniętych zębów Torana wydobył się zduszony, zmieniony nie do poznania głos:

— A więc jesteś we władzy Muła. Dostał cię! Bayta podniosła głowę i wykrzywiła usta z bolesnym rozbawieniem.

— Ja we władzy Muła? Nie bądź śmieszny. Spróbowała się uśmiechnąć — bez większego rezultatu — i odgarnęła włosy do tyłu. Powoli jej głos wrócił do normy, a w każdym razie brzmiał w miarę normalnie.

— To już skończone, Toran. Teraz mogę mówić. Nie wiem, jak długo pożyję, ale mogę zacząć mówić…

Napięcie Torana zelżało pod swym własnym ciężarem i przerodziło się w apatię.

— O czym, Bay? O czym tu można mówić?

— O nieszczęściu, które ciągnie się za nami. Wspominaliśmy już o tym wcześniej, Torie. Nie pamiętasz? O tym, że klęska stale depcze nam po piętach, choć nigdy tak naprawdę nas nie dosięga. Byliśmy w Fundacji i upadła, kiedy Niezależni Handlarze nadal walczyli — ale nam udało się na czas dostać na Haven. Byliśmy na Haven i Haven padło, kiedy inni nadal walczyli — nam znowu udało się stamtąd wydostać na czas. Polecieliśmy na Neotrantora i do tej pory na pewno przyłączył się on już do Muła.

Toran słuchał i kręcił głową.

— Nie rozumiem.

— Torie, takie rzeczy normalnie się nie zdarzają. Ty i ja znaczymy zbyt mało, nie znajdowalibyśmy się zawsze w centrum wydarzeń … gdybyśmy nie nieśli ze sobą klucza do tych wydarzeń. Gdybyśmy nie nieśli ze sobą źródła infekcji! Rozumiesz teraz?

Toranowi zesztywniały wargi. Popatrzył ze zgrozą na krwawe szczątki, które jeszcze niedawno były istotą ludzką i zrobiło mu się niedobrze.

— Wyjdźmy stąd, Bay. Wyjdźmy na powietrze.

Na zewnątrz było pochmurnie. Wokół nich świstał wiatr, którego podmuchy rozwiewały włosy Bayty. Za nimi wywlókł się Magnifico i kręcił się w takiej odległości od nich, że musiały do niego docierać strzępy ich rozmowy.

Toran rzekł krótko:

— Zabiłaś Misa, bo uważałaś, że to on jest źródłem infekcji?

Uderzył go dziwny wyraz jej oczu. Spytał szeptem: — On był Mułem? — ale jego własne słowa wydały mu się absurdalne.

Bayta roześmiała się histerycznie.

— Biedny Ebling Mułem? Na Galaktykę, nie! Nie mogłabym go zabić, gdyby był Mułem. Odkryłby emocję towarzyszącą temu postanowieniu i natychmiast zmienił ją w miłość, przywiązanie, adorację czy paniczny strach, w to, co by mu się podobało. O nie, zabiłam Eblinga właśnie dlatego, że nie był Mułem. Zabiłam go, bo wiedział gdzie znajduje się Druga Fundacja i za chwilę wyjawiłby tę tajemnicę Mułowi.

— Wyjawiłby tę tajemnicę Mułowi — powtórzył Toran z głupim wyrazem twarzy. — Wyjawiłby Mułowi…

Nagle dotarło do niego znaczenie słów Bayty. Wydał zduszony okrzyk, obrócił się i spojrzał ze zgrozą na błazna, który mógł się kulić nieprzytomny ze strachu, zrozumiawszy o czym mówią.

— Chyba nie Magnifico? — wyszeptał.

— Słuchaj! — rzekła Bayta. — Pamiętasz, co się wydarzyło na Neotrantorze? Och, Torie, pomyśl trochę…

Ale Toran potrząsnął tylko głową i coś mruknął. Mówiła więc dalej, znużonym głosem:

— Na Neotranlorze zmarł człowiek. Zmarł, mimo iż nikt go nawet nie dotknął. Może to nieprawda? Magnifico grał na swym wizjofonie, a kiedy skończył, następca tronu już nie żył. Czy to nie dziwne? Czy to nie dziwne, że istota tak panicznie bojąca się wszystkiego, tak porażona strachem może zabijać, kiedy tylko zechce?

— Ta muzyka i efekty świetlne — rzekł Toran — mają wielki wpływ na uczucia…

— Właśnie — wpływ na uczucia. I to bardzo duży. Tak się składa, że wpływanie na uczucia to specjalność Muła. To jeszcze można by traktować jako zwykły przypadek. A istota, która potrafi zabijać siłą sugestii, jest tak pełna strachu. No, to też można wyjaśnić, bo rzekomo Muł manipulował jego umysłem. Ale ja, Toran, ujrzałam część tego, co zabiło następcę tronu. Zobaczyłam tylko malutki kawałek, ale to wystarczyło, żeby opanowało mnie to samo uczucie przygnębienia i rezygnacji, które opadło mnie w Krypcie Czasu i na Haven. Toran, ja to uczucie zawsze rozpoznam bezbłędnie. Twarz Torana pociemniała.

— Ja… ja też to czułem. Zapomniałem o tym. Nigdy nie

pomyślałem…

— Wtedy po raz pierwszy przyszło mi to do głowy. Było to właściwie jakieś nieokreślone uczucie — intuicja, jeśli wolisz to tak nazwać. Nie miałam się na czym oprzeć. I właśnie wtedy Pritcher powiedział nam o Mule i o charakterze jego mutacji i wszystko naraz stało się jasne. To Muł wytworzył atmosferę przygnębienia i rezygnacji w Krypcie Czasu. Magnifico wytworzył tę samą atmosferę na Neotrantorze. To było to samo uczucie. Dlatego Muł i Magnifico to jedna i ta sama osoba. Czy to się nie układa w zgrabną całość, Torie? Zupełnie jak aksjomat geometrii — jeśli dwa odcinki są równe temu samemu odcinkowi, to są równe sobie nawzajem.

Była o krok od histerii, ale opanowała się siłą woli i mówiła dalej:

— To odkrycie śmiertelnie mnie przeraziło. Jeśli Magnifico jest Mułem, to potrafi odczytać moje uczucia i ukierunkować je dla swoich potrzeb. Nie mogłam do tego dopuścić. Unikałam go. Na szczęście on mnie też, za bardzo interesował się Eblingiem Misem. Powzięłam decyzję, żeby zabić Misa, zanim zacznie mówić. Planowałam to w tajemnicy, w największej tajemnicy — w takiej tajemnicy, że bałam się o tym mówić nawet sama ze sobą. Gdybym mogła zabić Muła … Ale nie mogłam podjąć takiego ryzyka. Spostrzegłby się od razu i wszystko byłoby stracone.

Z emocji wydawała się zupełnie wyczerpana.

Toran rzekł szorstko i zdecydowanie:

— To niemożliwe. Spójrz na to nieszczęsne stworzenie. On miałby być Mułem? Nawet nie słyszy, co mówimy.

Ale kiedy spojrzał w stronę, w którą wskazał palcem, spostrzegł, że Magnifico stoi wyprostowany i bacznie się im przygląda przenikliwym i pochmurnym wzrokiem. Odezwał się bez śladu poprzedniego akcentu:

— Słyszałem, przyjacielu, co mówiła. Tylko że siedzę tu i myślę cały czas o tym, jak przy całym swoim sprycie i przezorności mogłem popełnić taki błąd i stracić tak dużo.

Toran cofnął się gwałtownie, jakby obawiał się, że błazen może go dotknąć albo że jego oddech może go skazić.

Magnifico skinął głową i odpowiedział na nieme pytanie:

— Ja jestem Mułem.

Nie wydawał się już groteskowy, jego tyczkowate nogi i ptasi nos nagle przestały być śmieszne. Jego lęk znikł bez śladu, a ruchy stały się pewne i stanowcze.

Był panem sytuacji i zachowywał się ze swobodą, którą daje duża wprawa.

Rzekł wyrozumiale:

Siądźcie sobie śmiało, możecie się nawet wyciągnąć wygodnie na trawie. Gra się skończyła i chciałbym wam opowiedzieć pewną

historię. To moja słabość — chcę, żeby ludzie mnie zrozumieli.

Kiedy spojrzał na Baytę, jego oczy były znów starymi, smutnymi i łagodnymi oczami błazna Magnifico.

— W moim dzieciństwie — zaczął — nie było naprawdę nic, co chciałbym pamiętać. — Mówił szybko i niecierpliwie, podkreślając to całym ciałem. — Może potraficie to zrozumieć. Z tym nosem już się urodziłem, a moja szczudłowata sylwetka to skutek pracy gruczołów. Nie mogłem mieć normalnego dzieciństwa. Matka zmarła, nim zdążyła mnie ujrzeć. Ojca nie znam. Rosłem bez żadnej opieki, psychicznie okaleczony i stłamszony, pełen litości do siebie i nienawiści do innych. Nazywano mnie dziwnym dzieckiem. Wszyscy mnie unikali — większość z niechęci, niektórzy ze strachu. Zdarzały się dziwne wypadki… Ale mniejsza z tym! Wydarzyło się dosyć, żeby kapitan Pritcher badając okres mojego dzieciństwa, doszedł do wniosku, że jestem mutantem, co ja sam uświadomiłem sobie dopiero po dwudziestce.

Jego głos dobiega! do Bayty i Torana jak z oddali. Błazen, czy Muł, przechadzał się przed nimi, mówiąc do swych założonych na piersiach rąk.

— Świadomość moich niezwykłych zdolności zdawała się docierać do mnie powoli, małymi krokami. Nawet pod koniec trudno mi było w to uwierzyć. Dla mnie umysł ludzki jest skalą ze strzałką wskazującą na dominujące uczucie. To słabe porównanie, ale jak inaczej mogę to wyjaśnić? Powoli przekonywałem się, że mogę sięgnąć w głąb ludzkiego umysłu i wychylić wskazówkę do dowolnego punktu tej skali, że mogę ją w tej pozycji ustawić na zawsze. A jeszcze więcej czasu potrzebowałem, żeby się przekonać, że inni tego nie potrafią.

Ale w końcu dotarła do mnie świadomość, że posiadam niezwykłą moc, a wraz z tym obudziło się we mnie pragnienie, żeby sobie wynagrodzić lata poniewierki. Może zdołacie mnie zrozumieć. Nie lekko jest być odmieńcem — być istotą rozumną, myślącą i odmieńcem. Wszędzie tylko śmiech i szykany! Odmieniec! Obcy!

Nigdy tego nie doświadczyliście.

Magnifico spojrzał w niebo, zakołysał się na piętach i ciągnął dalej kamiennym głosem:

— No, ale w końcu poznałem swoje możliwości i postanowiłem, że ja i Galaktyka zamienimy się rolami. Dotąd oni byli górą, a ja długo znosiłem to cierpliwie — przez dwadzieścia dwa lata. Nadeszła moja kolej! Od was, od całej reszty, zależało, czy mi się uda. Nikt nie powie, że Galaktyka miała słabe szansę. Ja jeden, a ich biliony.

Przerwał na chwilę i szybko zerknął na Baytę.

— Ale miałem słaby punkt. Sam w sobie byłem niczym. Władzę mogłem zdobyć tylko za pośrednictwem innych. Sukcesy odnosiłem

przez pośredników. Zawsze! Było tak, jak mówił Pritcher. Przy pomocy pewnego pirata uzyskałem swoją pierwszą bazę wypadową na asteroidzie. Przy pomocy pewnego przemysłowca zdobyłem pierwszą planetę. Przy pomocy mnóstwa innych osób, kończąc na władcy Kalgana, zdobyłem sam Kalgan i flotę wojenną. Następnym celem była Fundacja — i tu wy się pojawiacie w tej historii.

Fundacja — mówił cicho — była najtrudniejszym zadaniem. Aby ją pokonać, musiałem pozyskać, zniszczyć lub unieszkodliwić znaczną część jej klasy rządzącej. Mogłem to zrobić, zaczynając z punktu zerowego, ale możliwa też była krótsza droga, więc szukałem jej. W końcu jeśli ktoś jest na tyle silny, żeby podnieść pięćset funtów, to nie znaczy, że chce to stale robić. Kontrola emocji nie jest wcale łatwym zadaniem i tam, gdzie to nie jest naprawdę konieczne, wolę jej nie stosować. A więc przed swoim pierwszym atakiem na Fundację postanowiłem poszukać sojuszników.

Podając się za swojego własnego błazna, szukałem agenta lub agentów, których Fundacja musiała przysłać na Kalgan w celu zdobycia informacji o mojej skromnej osobie. Teraz wiem, że osobą, której szukałem, był Hań Pritcher. Dziwnym zrządzeniem losu, zamiast niego, znalazłem was. Jestem co prawda telepatą, ale nie doskonałym, a ty, pani, byłaś z Fundacji. To mnie wprowadziło w błąd. Nie był to błąd fatalny, bo później przyłączył się do nas Pritcher, ale było to początkiem błędu, który okazał się fatalny.

Siedzący dotąd spokojnie Toran obruszył się. Rzekł z oburzeniem:

— Chwileczkę. Chcesz powiedzieć, że kiedy postawiłem się temu porucznikowi na Kalganie, mając w ręku jedynie pistolet oszałamiający i uratowałem cię… to zmusiłeś mnie do tego wpływając na moje uczucia? — Pienił się wprost z oburzenia. — Chcesz powiedzieć, że manipulowałeś mną cały czas?

Na twarzy Magnifico pojawił się lekki uśmiech.

— A dlaczego nie? Myślisz, że to niemożliwe? Zastanów się sam… Myślę, że kiedy później zastanowiłeś się nad tym na zimno, sam byłeś zaskoczony swoim zachowaniem.

Tak — rzekła Bayta sztywno. — Był zaskoczony. To zupełnie jasne.

— W rzeczywistości — podjął Muł — Toranowi nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Porucznik otrzymał surowe polecenie, żeby nas puścić wolno. Tak więc my troje i Pritcher polecieliśmy na Fundację — i popatrzcie tylko, jak od razu zaczęły się urzeczywistniać moje plany. Kiedy Pritcher stanął przed sądem wojennym i byliśmy obecni ha rozprawie, nie próżnowałem. Wojskowi, którzy byli sędziami w tym procesie, później, w czasie wojny, byli dowódcami eskadr. Poddali się raczej łatwo i moja flota wygrała bitwę o Horleggor i inne, mniejsze bitwy.

Przez Pritchera poznałem doktora Misa, który wpadł na pomysł, żeby przynieść mi wizjofon, i w ten sposób niesłychanie uprościł mi całą sprawę. Tylko że nie był to całkowicie jego własny pomysł.

Te koncerty! — przerwała mu Bayta. — Usiłowałam je dopasować do całości. Teraz rozumiem.

Tak — rzekł Magnifico — wizjofon działa jako urządzenie skupiające. W pewnym sensie wizjofon jest sam w sobie prymitywnym przyrządem służącym do kontrolowania emocji. Za jego pomocą mogę manipulować pojedynczymi ludźmi i ich zbiorowiskami bardziej intensywnie. Koncerty, które dawałem na Terminusie przed jego upadkiem i na Haven przed jego upadkiem, przyczyniły się do powstania atmosfery defetyzmu. Bez wizjofonu mogłem wywołać u następcy tronu na Neotrantorze bardzo złe samopoczucie, ale nie mógłbym był go zabić. Rozumiecie?

Jednak moim największym sukcesem było odkrycie Eblinga Misa. Mógł on być… — Magnifico rzekł to ze smutkiem, a potem pośpiesznie podjął na nowo swoją opowieść.

— Jest pewien aspekt kontroli uczuć, o którym nic nie wiecie. Intuicję, przeczucie, olśnienie, czy jak tam chcecie to nazwać, można traktować jako emocję. Przynajmniej ja tak to mogę traktować. Nie rozumiecie mnie, co?

Nie czekał na odpowiedź.

— Umysł ludzki pracuje mało wydajnie. Zazwyczaj szacuje się, że wykorzystuje dwadzieścia procent swoich możliwości. Kiedy w jakimś momencie zadziała na pełnych obrotach, to określa się to jako przeczucie, olśnienie czy intuicję. Już dawno odkryłem, że jestem w stanie pobudzić mózg do stałej wysoko wydajnej pracy. Jest to proces zabójczy dla osoby, którą się zmusza do takiego wysiłku, ale za to bardzo użyteczny… Depresor pola jądrowego, którego użyłem w wojnie przeciw Fundacji, był efektem pracy poddanego takiej presji technika kalgańskiego. I znowu działałem przez innych.

Ebling Mis to był strzał w dziesiątkę. Jego możliwości były wielkie i potrzebowałem go. Jeszcze przed rozpoczęciem wojny z Fundacją wysłałem delegatów na negocjacje z Imperium. Właśnie wtedy rozpocząłem poszukiwania Drugiej Fundacji. Naturalnie, nie znalazłem jej. Naturalnie, wiedziałem, że muszę ją znaleźć — i Ebling Mis był kluczem do tej zagadki. Korzystając w pełni z możliwości swego mózgu, mógł być może powtórzyć pracę Hariego Seldona.

Częściowo zrobił to. Eksploatowałem go do granic możliwości. Było to bezlitosne, ale zadanie musiało być wykonane. Pod koniec był już umierający, ale jeszcze żył… — znowu zamyślił się posępnie. — I żyłby wystarczająco długo. Polecielibyśmy w trójkę do Drugiej Fundacji. Byłaby to ostatnia bitwa… gdyby nie mój błąd.

Toran przerwał mu brutalnie:

— Dlaczego to tak przeciągasz? Powiedz, na czym polegał twój błąd i… i skończ tę przemowę.

— No jakże, przecież to twoja żona była tym błędem. Twoja żona jest niezwykłą osobą. W całym swoim życiu nie spotkałem drugiej takiej. Ja… ja… — zupełnie niespodziewanie załamał mu się głos. Z trudem opanował się. Podjął z dziwną zawziętością. — Lubiła mnie, mimo że nie wpływałem na jej uczucia. Nigdy nie czuła do mnie odrazy ani nie bawił jej mój widok. Żałowała mnie. Lubiła mnie!

Nie rozumiesz tego? Nie rozumiesz, co to dla mnie znaczyło? Nigdy przedtem nikt… No więc… hołubiłem to uczucie. Panowałem nad uczuciami innych, ale zdradziły mnie moje własne uczucia. Widzisz, trzymałem się z dala od jej umysłu, nie manipulowałem nim. Za bardzo ceniłem to naturalne uczucie. To był mój błąd — pierwszy błąd.

Ty, Toran, byłeś stale pod kontrolą. Nigdy mnie nie podejrzewałeś, nigdy o nic nie wypytywałeś, nigdy nie dostrzegałeś we mnie nic dziwnego czy szczególnego. Na przykład wtedy, kiedy zatrzymał nas statek „filijski". Nawiasem mówiąc, znali nasze położenie, bo cały czas byłem z nimi w kontakcie, tak jak przez cały czas byłem w kontakcie ze swoimi generałami. Kiedy nas zatrzymali, zostałem zabrany na pokład ich statku, aby nastawić uczuciowo Hana Pritchera, który znajdował się tam w charakterze więźnia. Kiedy opuszczałem ich statek, był już pułkownikiem, człowiekiem Muła i dowódcą statku. Ta cała gra była zbyt przejrzysta nawet dla ciebie, Toran. Mimo to przyjąłeś moje wyjaśnienie tej sprawy, chociaż roiło się w nim od sprzeczności. Rozumiesz, co mam na myśli?

Toran skrzywił się i rzekł wyzywającym tonem:

— Jak utrzymywałeś kontakt ze swoimi generałami?

— Nie było z tym żadnych problemów. Ultrafalówki są łatwe w obsłudze i mają niewielkie rozmiary. Zresztą tak naprawdę nikt nie mógł mnie nakryć! Każdy, kto by mnie zastał przy nadajniku, odszedłby z luką w pamięci. Zdarzyło się tak parę razy.

Na Neotrantorze moje durne uczucia zdradziły mnie raz jeszcze. Bayta nie była pod moją kontrolą, ale mimo to być może nigdy nie zaczęłaby mnie podejrzewać, gdybym nie stracił głowy i postąpił inaczej z następcą tronu. Jego zamiary w stosunku do Bayty zdenerwowały mnie. Zabiłem go. Było to głupie. Wystarczyłaby nie wzbudzająca podejrzeń walka.

Jednak nawet mimo tego jej podejrzenia nie przerodziłyby się w pewność, gdybym powstrzymał Pritchera i nie pozwolił mu na tę paplaninę tutaj, albo gdybym poświęcił mniej uwagi Misowi, a więcej wam… — wzruszył ramionami.

To koniec opowieści? — spytała Bayta.

— Koniec.

— No i co teraz?

— Będę kontynuował swój program. Wątpię, żebym w tych zdegenerowanych czasach znalazł drugiego człowieka o takim mózgu i tak wykształconego jak Ebling Mis. Będę musiał szukać Drugiej Fundacji w inny sposób. W pewnym sensie pokonaliście mnie.

Bayta poderwała się na nogi i krzyknęła triumfująco:

— W pewnym sensie? Tylko w pewnym sensie? Pokonaliśmy cię całkowicie! Wszystkie twoje zwycięstwa, poza Fundacją, nic się nie liczą, gdyż Galaktyka jest teraz barbarzyńską pustką. Zresztą pokonanie Fundacji jest też niewielkim sukcesem, gdyż nie została ona zaprojektowana po to, żeby pokonywać kryzysy takiego rodzaju, jak ten, który ty wywołałeś. Musisz zwyciężyć Drugą Fundację — Drugą Fundację, a to właśnie jest ta Fundacja, która cię pokona. Twoją jedyną szansą było zlokalizować ją i pokonać, zanim zdąży się przygotować. Teraz ci się to nie uda. Z każdą minutą będzie bardziej gotowa na odparcie twojego ataku. Przekonasz się o tym, kiedy uderzy w ciebie i zakończy się krótki okres twego panowania i staniesz się jednym z tych dumnych zdobywców, którzy przemykają jak meteor po krwawym niebie historii.

Oddychała z trudem, tracąc prawie głos ze wzburzenia:

— I to my cię pokonaliśmy — Toran i ja. Umrę z pogodną twarzą.

Ale smutne, brązowe oczy Muła były znowu smutnymi, brązowymi, pełnymi miłości oczami Magnifica.

— Nie zabiję ani ciebie, ani twojego męża. W końcu nie możecie mi już bardziej zaszkodzić, a zabicie was nie wskrzesi Eblinga Misa. Ja sam ponoszę odpowiedzialność za swoje błędy. Możecie odejść, twój mąż i ty. Idźcie w pokoju, w imię tego, co nazywam… przyjaźnią.

— A tymczasem — dodał w nagłym przypływie dumy — jestem wciąż Mułem, najpotężniejszym człowiekiem w całej Galaktyce. I mimo wszystko pokonam Drugą Fundację.

Bayta ze spokojem i pewnością wypuściła swą ostatnią strzałę.

— Nie pokonasz! Mam jeszcze wiarę w mądrość Seldona. Będziesz nie tylko pierwszym, ale i ostatnim władcą ze swojej dynastii.

Coś ubodło Magnifica.

— Z mojej dynastii? Owszem, często o tym myślałem. O tym, że mógłbym założyć dynastię. Że mógłbym mieć odpowiednią małżonkę.

Bayta nagle zrozumiała jego spojrzenie i zmartwiała ze zgrozy.

Magnifico potrząsnął głową.

— Wyczuwam twoją odrazę, ale to niemądre. Gdyby rzeczy miały się inaczej, bez trudu uczyniłbym cię szczęśliwą. Byłaby to sztuczna ekstaza, ale nie różniłaby się od naturalnej emocji. Ale rzeczy nie mają się inaczej. Nazwałem się Mułem… ale oczywiście nie z powodu mojej siły…

Odszedł, nie obejrzawszy się ani razu.